

Patrycja Pustkowiak

# **NOCNE ZWIERZĘTA**

W dniu, w którym ją zabiła, nic nie zapowiadało katastrofy.

Przynajmniej na pierwszy rzut oka, bo przecież któryś z samochodów ruszających tego dnia z piskiem opon z wymuskanego – bądź przeciwnie, zagrzebanego w rupieciach – podwórka musiał wpaść z impetem na inny, nadjeżdżający z przeciwka samochód i wyrzucić całą swoją ludzką zawartość wysoko w powietrze, by przecząc grawitacji, latała wkoło zdumiona brakiem niezbędnych do przeżycia części.

Jeśli miało się większego pecha, mógł to być nawet pociąg. Niby wyruszył z peronu, może nawet punktualnie, majestatycznie, coraz szybciej sunął przed siebie, przesuając za oknami dobrze znany, uporczywie leśny krajobraz, ale w kluczowym momencie wypadł z torów i syjąc wkoło iskrami, udowodnił, że dzisiejszy gwizdek był sygnałem do odjazdu w innym niż zwykle sensie.

Może były i inne ślady, bardziej subtelne, rysowane na zaparowanym lustrze. Może gdyby Tamara patrzyła uważniej, dostrzegłaby czarnego kota przebiegającego ulicę, którą niebawem miała przeciąć ona – jak zwykle pijana. Może dodałaby wtedy do siebie jakieś dziwne cyfry i zmieniła kolejny niepozorny dzień w złowrogą datę i przed jej zamroczonymi oczami pojawiłby się ten obrazek, kiedy to używa puchowej poduszki niezgodnie z przeznaczeniem, przykłada ją mianowicie do twarzy koleżanki i śmierć – ta wielka terrorystka – zbiera swoje żniwo.

Na złodzieju czapka gore, mówią. Ale jeśli chodzi o Tamarę, od kilku godzin świeżo upieczoną morderczynię, rzeczy mają się zgoła inaczej. Nic nie gore na niej ani w niej – Tamara jest jak latarnia morska, która uległa awarii. Siedzi na brzegu swojego własnego łóżka jak manekin z gabinetu figur woskowych, nieruchoma, otępiała i bez czucia. Jej ręce, które zaledwie godzinę temu trzymały narzędzie zbrodni, teraz wiszą bezwładnie po obu stronach ciała i nawet nie mają siły sięgnąć po papierosa. Zresztą nie ma chyba po co sięgnąć – w jej domu nie ma już papierosów. Są tylko niedopałki, wypalone jak ona. Nie ma żaru, jest popiół.

I rzeczywiście, gdyby rozejrzeć się po tym pokoju, który w bladym świetle wpełzającego przez okno świtu ujawnia swoje ponure kształty, nie dostrzegłoby się niczego, co nadaje się do użycia. Wszystko jest zużyte, zjedzone i przetworzone – jak ona. To, co siedzi tu na łóżku, owo opakowanie po przeszłym człowieku, nie jest nawet w połowie tak atrakcyjne jak doszczętnie wyżarta zawartość.

Nasza morderczyni siedzi na łóżku zasłanym granatową narzutą i obserwuje ten świt pełznący po podłodze aż pod jej brudne, wczorajsze stopy. Stopy Chrystusa w godzinę po Drodze Krzyżowej. Świt przedziera się z gadzim mozołem przez nieszczelne zasłony, podchodzi coraz bliżej, na palcach, jak potwór. Z ciemności wyłaniają się pierwsze kształty – komoda, stolik nocny, telewizor. Nie da się ukryć, że są to zarazem kształty ostatnie – jeśli chodzi o wystrój wewnątrz, panuje tu absolutny minimalizm, natomiast diabeł, ten ulubiony przez wszystkich, epizodyczny bohater, jak zwykle tkwi w szczegółach. To one, rozpanoszone po całym pokoju niczym średniowieczna zaraza, robią tutaj za wystrój właściwy, tak zwaną kwintesencję. To z nich można odtworzyć tryb życia naszej Tamary z precyzją dorównującą tej, z jaką naukowcy odtwarzają jadłospis i intensywność życia erotycznego dinozaurów na podstawie ich kości.

Co my tu mamy? Brudne ubrania. Zmarłe muchy i komary. Dwie puste butelki po winie, jedną po wódce. Parę opakowań po papierosach. Popielniczkę wypełnioną petami. Fikę do palenia haszu i marihuany. Dwa opakowania po lekach przeciwbólowych. Resztki substancji psychoaktywnych na lepkiej od brudu podłodze. Jej pokój przypomina pokoje hotelowe gwiazd – te, w których znajduje się je martwe.

Jest tu mnóstwo rzeczy, lecz wielu też nie ma. Na przykład wyrzutów sumienia. Gdyby

Tamarze zrobić test na ich obecność, wynik byłby ujemny. Brak też zewnętrznych oznak zdenerwowania – na jej twarzy nie pojawia się najmniejszy grymas. Inna sprawa, że po dwudniowym imprezowym maratonie, w którym brała udział, jej twarz mogłaby z powodzeniem zdobić plakat wstrząsającej kampanii antynarkotykowej. Dominują w niej szarość i fiolet, źrenice są rozszerzone, włosy potargane i wzbogacone czymś w rodzaju krajobrazu cementarnego: zeschniętymi liśćmi, błotem, kurzem, pajęczyną, krwią, śladowymi ilościami wszystkiego, co można znaleźć w świecie, szczególnie w jego nocnych powiatach. Makijaż należy do kategorii wczorajszych wspomnień, a z siniaków, zadrapań i cieni występujących na jej ciele można by ją lepiej odczytać niż z linii papilarnych. Jeśli chodzi o urodę tej dziewczyny, to z całą pewnością poprosiła ona dzisiaj o L4 – gdyby dziś było Halloween, to Tamara mogłaby przebrać się za samą siebie i wygrać konkurs.

Jednak jej ciało to nie tylko zniszczenia i ubytki – nawet w tej strefie zero coś się wybija. Są to fragmenty innego ciała. Odrobina zabitej dziewczyny kryje się pod paznokciem Tamary, w postaci strzępu naskórka, a gdzieś na jej ubraniu znalazłoby się również parę należących do denatki włosów. W niej natomiast znajduje się czyjaś sperma. Teraz właśnie wypływa z Tamary, strużką po jej udach płynie żalodne wspomnienie po kimś, kto nieproszony wpadł w gości. Zdaje się, że Tamara, to znaczy jej ciało, znów była torami dla tego słynnego tramwaju zwanego męskim pożądaniem. Obiektem jej pożądania zaś były narkotyki twarde – w toku badań toksykologicznych z pewnością można by stwierdzić w jej organizmie obecność kokainy, mefedronu, ketaminy i alkoholu, a może i czegoś jeszcze. Tamara stanowiłaby duże wyzwanie dla studentów chemii. Mimo to nie czuje się pobudzona, przeciwnie – jest dziwnie opanowana. Wprawdzie nie może zasnąć, ale jest to raczej spowodowane skupieniem, jakiego doświadczają wyćwiczeni w praktykach medytacyjnych mnisi, a nie zażyтыми środkami. Tamara ma wrażenie, jakby w jej ciele zacumował gigantyczny transatlantyk. Wzburzone wody wygładziły się. Nie ma nic poza lodowatym opanowaniem, poza pustką.

Podjeżdżają, że trupa jeszcze nie odkryto. Jest na to za wcześnie. Tak oto śmierć zarazem stała się faktem i nie stała – zabita jest teraz czymś w rodzaju kota Schrödingera. Chociaż umarła, to wciąż jeszcze żyje w umysłach ludzi nieświadomych jej śmierci. Dopóki ktoś nie znajdzie zwłok, nie zawiadomi policji, dopóki wieść nie rozprzestrzeni się jak nasiona dmuchawca – będzie trwał stan przejściowy między życiem a śmiercią.

Może za parę godzin ktoś wejdzie do pokoju, który był miejscem zbrodni, zaniepokoi się

leżącą w nim nieruchomo trzydziestolatką, zdejmie z jej twarzy poduszkę i zakryje usta dłonią. Swoje usta. Osoba nieżyjąca zawsze wzbudza w żyjących panikę.

W życiu umieranie jest nieodwołalne i jednorazowe, „a kto umarł, ten nie żyje”, jak to mówią. Trupy występują tu wyłącznie jako portrety trumienne lub manekiny w wizji lokalnej, tylko ci żywi są żywi naprawdę, czego dowodem ich nieustające czynności życiowe: od pochłaniania i wydalania po miłość, budowę domów, dbałość o lokaty oszczędnościowe. Tymczasem powieść nie zna takich ograniczeń. Tu można sobie pozwolić na więcej wobec tak przykrych faktów jak śmierć i jej następstwa.

Bo oto mamy piątek, dwa dni wcześniej. Zapada zmierzch, szare mgły wschodzą nad Warszawą, tym udręczonym miastem – jeńcem wojennym, którego tożsamość w wyniku rozlicznych przykrości została rozdarta na kawałki i naprędce sklecona na nowo z tego, co było pod ręką. To miasto odpala nad głowami swoich mieszkańców race bezwzględności, wyciąga po nich ręce rosnące szybko jak pędy fasoli. Gdzieś po tym mieście krąży dziewczyna, która za dwa dni przeobrazi się w zwłoki, tymczasem ta, która ją zabije – Tamara Mortus – leży na podłodze w swoim mieszkaniu i czuje się jak wrak małego samolotu, namierzony gdzieś w przestworzach i strącony w przepaść przez nieznaną sprawców. Zawija długie włosy na drżących palcach, zapala papierosa, pozwala, by dym leciał w górę, niemal pod sam sufit, i ma wrażenie, że jest ułożonymi na stosie zwłokami.

Tamara wciąż żyje – wbrew swemu nazwisku i temu, co robi, by mu sprostać. Od dawna już kolaboruje ze śmiercią, prowadzi z nią negocjacje w sprawie rychłej fuzji. Kartą przetargową jest alkohol oraz używki innego typu; to za nie Tamara jest skłonna oddać śmierci swoje udziały, ta jednak wciąż się nie zjawia, ciągle kpi z jej wysiłków.

Dziś znów, od południa, Tamara prowadzi z nią rozmowy. Zdążyła już, do osiemnastej, która wybija na zegarach, wypić trzy duże cytrynowki i butelkę wina, a całość doprawić odrobiną haszu. Przed oczami ma obraz jak z płócien impresjonistów – stado migoczących, różnobarwnych plamek. Mówi się, że alkoholik nie pije z byle kim. Tamara myśli więc, że pijąc samotnie, nigdy nie będzie alkoholiczką.

Upewniła się, że ma w domu solidny zapas substancji psychoaktywnych: chce bowiem przebywać w nim (w domu, jak i w błogosławionym stanie upojenia) jak najdłużej, najlepiej przez cały, właśnie rozpoczynający się weekend, na który – tak się od paru lat składa – nie ma

żadnych towarzyskich planów. Jedyńm towarzyszem, a zarazem świadkiem jej upadku, jest to miasto, Warszawa. Jego wielkie cielsko poprzetykane ciągiem kolumn, kamienic, wieżowców z wielkiej płyty, rozjaśnione tysiącem migających neonów. Stosunki na linii Tamara–Warszawa przypominają te między kibicami zwaśnionych klubów sportowych. Mimo to dziewczyna nie umie stąd wyjechać, nie wiadomo, jak to wytłumaczyć, to rodzaj uzależnienia, syndrom sztokholmski. Jeszcze jakiś czas temu Tamara wyszłaby z domu i otworzyła się na rozległą propozycję miasta, na wszystkie jego guzy, zrosty, wyrzutnie i zapadnie, na te miejsca, w których ono odstaje od normy, wskazuje podwyższone, chorobowe markery. W te właśnie miejsca chciałaby dojść, zlizać z nich całą sól nocy, tak jak zwierzęta zlizują ją w zimie z ulic. Jednak od dłuższego czasu tego nie robi. Zamiast wyjść do miasta, woli wyjść po wino.

Właściwie nie pamięta czasu, w którym nie piła. Musiał być taki okres w jej życiu, jakaś młodość, ale Tamara ma z niego wspomnienia jak ze snu – wiązka dziwnych, nieprzystających do siebie obrazów, jakieś twarze, cienie, słowa, czy raczej strzępy słów. Gdyby zrobić na tej podstawie film, byłaby to trudna do zniesienia awangarda. Zresztą podobne wspomnienia miała, jeśli chodzi o długotrwałe relacje miłosne. O tak, Bergman mógłby czerpać z jej życia nieustanną inspirację; prawdopodobnie gdyby przyłożyć do niej ucho, można by usłyszeć słynny, głuchy i przejmujący skandynawski wiatr.

Nie umiała za wiele powiedzieć o tym, czego nie ma, nie umiała za wiele powiedzieć o braku, a jednak to on był szarą eminencją jej życia. Kiedy próbowała czymś wypełnić te długie godziny, które dzieliły przebudzenie od zaśnięcia, prawie zawsze ponosiła porażkę. To znaczy, owszem, działo się mnóstwo, wręcz za dużo, samochody jeździły, porzucone śmieci przewalały się przez ulice, komputery pulsowały milionem zapalonych monitorów, w telewizji ktoś kogoś mordował, a nawet jakiś meteoryt zmierzał nieubłaganie ku planecie Ziemia, jednak życie Tamary pozostawało puste i tylko alkohol wydobywał ją ze stanu nieważkości.

Przyszłość wydawała jej się czarną wstęgą, która przewiąże butwiejące od jakiegoś czasu życie. „Ja nie szukam, ja znajduję” – przypominała sobie maksymę słynnego malarza nazwiskiem Picasso i zastanawiała się, jak on to, do kurwy nędzy, robił? U niej było na odwrót. Wciąż szukała, jednak proces ten charakteryzował się wysokim poziomem bezproduktywności. Wszystko, co udawało jej się znaleźć, to zużyta prezerwatywa na ulicy, porzucona akurat pod jej nogami jak złośliwy komentarz na temat jej nieistniejącego życia płciowego.

„Zawsze myślałem, że w życiu chodzi o zdobywanie rzeczy. Teraz wiem, że ważniejsza jest ich utrata”. Od niedawna autorytetem w dziedzinie duchowości był dla niej Mike Tyson. Kiedy usłyszała w telewizji jego słowa, pomyślała sobie, że niepotrzebnie kupiła książkę *Umysł zen, umysł początkującego* i wszystkie części Osho. Mike potrafił zamknąć całe jej doświadczenie w dwóch zdaniach. Utrata towarzyszyła jej w życiu na każdym kroku i miała różne oblicza. Od utraty pracy aż po utratę wiary w siebie. Utrata była czymś, z czego mogła się doktoryzować, i może kiedyś to zrobi, na Uniwersytecie Trzeciego Wieku.

W sukurs jej smutkowi przyszła ezoteryka. Wprawdzie najlepsze programy ezoteryczne



nadawano w nocy, ale to nie było dla Tamary problemem. Wręcz przeciwnie, noc była wodą na jej młyn! „Spanie? Jakie spanie?! Już dawno z tym gównem skończyłam!” – mogłaby powiedzieć. Zwolnienie z pracy tak wiele umożliwia. Wolność od jest wolnością do: picia, bezsenności, ćpania, nocnej telewizji. „My, kurwy, nie śpimy w nocy!” To było ostatnio motto Tamary, oczywiście nie wymyśliła tego sama, skopiowała od kolegi pedała.

Zresztą od pewnego czasu wydawało jej się dziwne, że ludzie mają czas na pracę. Przecież samo picie tyle zajmuje! Poza tym joga, medytacja, trening osobisty, palenie fajek, odsypianie kaca, komentowanie wpisów na Facebooku, często nie starczało jej dnia! Nie da się ukryć, że od kiedy straciła pracę, patrzyła na klasę pracującą z coraz większym podziwem.

I tak spędzała długie godziny, oglądając wróża Macieja, Ezoteriusza, jasnowiedzkę Amalę. Oglądanie telewizji uważała zresztą za formę kontestacji, bowiem zgodnie z obowiązującymi trendami najmodniej było telewizora nie mieć i ostentacyjnie to głosić. Gdziekolwiek zdarzyło jej się ostatnio zawitać, którąkolwiek gazetę otworzyć, wszędzie słyszała albo czytała: „Doprawdy, to ktoś sławny? Ostatnią sławą, jaką widziałam w telewizji przed wyrzuceniem odbiornika, był Borys Jelcyn”. Albo: „Od trzech lat nie mamy w domu telewizora. Zdecydowaliśmy się wychowywać Polę w kulcie natury. Może ciasteczko? Nie, nie to! To są orzechy piorące!”. Oraz: „Dlaczego brałem tyle kokainy? A oglądał pan kiedyś kabareton na Dwójce?”.

Zatem dla Tamary odbiornik telewizyjny był jak ostatni bastion niezależności. Oglądała telewizję non stop: talk-shows, talent-shows, seriale, kabaretony, filmy, olimpiada, żużel, cała magma telewizyjna przykrywająca ją po sam czubek głowy, unieruchamiająca, przynosząca ulgę. Telewizor był dla niej lepszym znieczulaczem niż antydepresanty – które również ochoczo brała. Mimo niepodważalnego działania przepisanych jej kiedyś prochów nic nie działało wieczorem tak uspokajająco jak jednostajny, płynący niemal morską falą szum telewizyjnych obrazów: a to lampart rozszarpujący łąkę w dzikim buszu, a to ocean, który akurat postanowił poszerzyć swą przestrzeń życiową o ludzkie osady, a to auta wyrzucające swoją pędzącą na wakacje, rodzinną zawartość hen, w pola zboża. Nie rozumiała, czemu inni nie podzielają jej entuzjazmu wobec telewizora, jej po telewizji się naprawdę dobrze spało („Co tam u ciebie, Tamara?” „Wszystko okej, myślisz, że lepiej cięć nadgarstki czy aortę?”).

Programy ezoteryczne fundowały jej tyle niezapomnianych przeżyć. Ilekroć po pijaku włączała sobie Ezo TV, już po paru minutach rechotała tak, że jej śmiech budził po nocach sąsiadów.

– Pani Amalo, czy dostanę emeryturę?

– Nie.

– A to dziękuję bardzo.

– Panie Ezoteriuszu, czy zajdę w ciążę?

– Już, już puszczam w ruch wahadełko. Oj, coś tu się nie do końca pojawia. Nie najlepsza aura. Ale czy to wina pani czy pani partnera? I już widzę, że to partner, jego niemrawe plemniczki, trzeba zmienić dietę. I tu już widzę sałatki!

– Pani Isadoro Mayo Anakme, co jeszcze czeka mnie w życiu?

– Chwileczkę, już rozkładam karty. Czeka panią mięśniak macicy. Możliwa operacja. Widzę problemy w lewym jajniku. Miażdżyca. Czyrak. Osteoporoza. Przerzut mózgu do kości, wielokrotne przemieszczenie się nóg i ramion w obrębie całego ciała. Dziękuję za telefon, drodzy państwo, dzwońcie! Jesteśmy tu do waszej dyspozycji całą dobę!

Tamara zadzwoniłaby, ale stopień alkoholowego upojenia mógłby utrudnić jej wybranie numeru. Zamiast tego rzuca więc tylko do telewizora:

– Panie Macieju, najebałam się. Czy będę mieć jutro kaca?

Lecz ezoteryka nie była w stanie zapełnić pustki jej istnienia. W dodatku coś, co miało nieść pocieszenie, zastraszało ją, i można by w tym upatrywać ponurej złośliwości losu. Od dłuższego czasu z rozmaitych ezoterycznych portali i telewizji przychodziły do niej esemesy. Działo się to z regularnością i perfidią godną najbardziej wyrafinowanych tortur. Esemesy te charakteryzowały się zadziwiającym dramatyзмом leksykalnym. Brzmiały tak, jakby redagował je copywriter wyspecjalizowany w redagowaniu ulotek poświęconych końcowi świata: „WPADNIESZ W PUŁAPKĘ, bo nie przewidzisz, czego się nie spodziewasz! To będzie szok i ogromna strata, popłyną smutne łzy!”. Inne działały jak totalitarne władze, nakazując pełną lęku czujność: „Obserwuj pole bitwy. Właśnie ktoś wysłał do ciebie swoich posłańców. Ważna wróżba, lekceważenie oznacza punkt dla drugiej strony”. Jeszcze inne operowały poetyką rodem z antycznej tragedii: „GRZECH POKOLEŃ – to powód twojego pecha i trudności! Grzech pokoleń blokuje szczęście i odbiera ci miłość, zdrowie i pieniądze!”.

Tamara się nawet tą całą klątwą przejęła. Myślała, by ją z siebie zdjąć. Cała sprawa nie była w końcu taka droga – zdjęcie klątwy proponowano po rozsądnej cenie trzech złotych od esemesa, ostatecznie jednak Tamara nie zdecydowała się na to rozwiązanie. Zdecydowała się na inne, nieco droższe, choć dużo bardziej skuteczne, wręcz niezawodne. Trzeba bowiem dodać, że

jest na tym świecie coś, co nie podlega utracie, zawsze obecne i dostępne, przychodzące na wezwanie, o ile zawniasz zadba się o zakupy – alkohol.

I teraz właśnie jest pod jego kojącym wpływem. Od paru godzin, w czasie których zwiększyła procentowy udział alkoholu w swoim organizmie, dodając do tego lokatę w postaci haszyszu, ma dobre samopoczucie.

Co więcej, chce te rzeczy pomnożyć. Odnajduje w domu kolejną butelkę wina, białego wytrawnego – już dawno przestała sobie zawracać głowę nazwami – i próbuje teraz w swojej stajni Augiasza namierzyć korkociąg. A kiedy butelka jest otwarta, nie kłopotczy się nawet szukaniem kieliszków, tylko stojąc na drżących nogach przy szafkach w kuchni, bierze z gwinta wielki łyk i to jest jak wypłynięcie na powierzchnię po długotrwałym, uporczywym nurkowaniu. Tamara bierze wielki, zwycięski haust powietrza, alkohol rozlewa się w niej dobrze znanym ciepłem, wypełnia ją jak płód, którego akurat nigdy w sobie nie miała. A po triumfalnej sekundzie coś w niej wykonuje w tył zwrot, jak nieposłuszny pułk wojskowy, i Tamarze robi się niedobrze. Przez chwilę stoi niepewnie nad zlewem, nie wie, w jakim kierunku potoczy się życie: czy jej ciało stanie się inkubatorem dla tego alkoholowego intruza, czy też zbuntuje się przeciw niemu i w niekontrolowanym spazmie wyrzuci go z powrotem na powierzchnię. Znowu jej się udaje – wygrywa z alkoholem, pokonuje zaciskające się raz po raz na żołądku kleszcze torsji.

Bierze głęboki oddech i wypływa na spokojne wody. Choć boi się, że to jej zaszkodzi – zapala papierosa. I kiedy chmura dymu leci w powietrze, ona, śledząc jej lot, uspokaja się jeszcze bardziej. Powoli rodzi się chęć na kolejny łyk alkoholu, ale tymczasem Tamara zwraca swoją wymiętą twarz ku oknu. Zawiesza wyblakłe, martwe spojrzenie na tym, co widać przez szybę – zresztą coraz słabiej w tym gęstniejącym, listopadowym mroku.

Tamara mieszka tam, gdzie stary świat walczy z nowym, na styku – w nowym bloku z widokiem na kamienicę przeznaczoną do wyburzenia. Kamienicy z dnia na dzień ubywa, ekipa odpowiedzialna za rozbiórkę stopniowo ujawnia jej wewnętrzne organy, obnaża jej tkanki i betonowy szkielet. Podobnie w jej przypadku – zdarzenia przychodzą i zdzierają kolejne płyty jej skóry, ujawniając rybi, chwiejny i wątły kręgosłup – również ten moralny.

Zawsze kiedy patrzy w ciemne okna starej, znikającej kamienicy, robi jej się żal. Gdy pali papierosa na balkonie i zagląda w te nagie, pozbawione szyb okna, w te blade – jak trupie ciało – mury, zastanawia się, kiedy życie wyprowadzi się z niej, tak samo jak wyprowadza się ze starych

domów. Kamienica doskonale współgra z jej nieco skrywaną melancholią. Tamara, jak wielu pijaków, jest bardzo przywiązana do przeszłości. W przeszłości wszystko musiało być większe, lepsze i jaśniejsze, nawet jeśli słabo się ją pamięta. Często więc za nią tęskni i wspomina miniony czas – jak zdeklasowana szlachta albo aktor epoki kina niemego po słynnej premierze *Śpiewaka jazzbandu*. Choć ona sama nic nigdy nie posiadała – ani majątku, ani talentu – a jej osobista przeszłość nie obfitowała w spektakularne wydarzenia. Wszystko, co miała, to siebie samą i brzmiało to jak marsz pogrzebowy.

Myśli więc, że umrze szybko i spektakularnie. Może w ciele jakiegoś rozbijającego się na autostradzie samochodu – jak Jonasz w wielorybie wyskoczy w powietrze, a potem rozpadną się razem na tysiąc tłustych kawałków? To niezła śmierć – myślała wiele razy – byle tylko nie bolało, byłem od razu obróciła się w proch, spłonęła prędko jak papierowa chusteczka. Nie potrzeba mi żadnych dogorywań, leżenia w kołnierzu ortopedycznym na oddziale dla umarłaków. Stan zawieszenia między życiem a śmiercią uważała zawsze za podejrzany. Jest zdania, że między jednym a drugim winna przebiegać wyraźna linia demarkacyjna.

Ekipa remontowa nie przejmowała się jej ponurą przemyśleniówką. Pewnego dnia, pod jej nieobecność, zdjęła dach starego budynku, szybko i sprawnie, jakby był on domkiem dla lalek, i ujawniła te niezamieszkane wnętrza, w których, gdyby dobrze się przypatrzeć, z pewnością można by dojrzeć ślady dawnego życia – napis nabazgrany na ścianie ręką dawno nieżyjącego siedmiolatka, skrawek spalonego materiału ukrywający się przez lata w kącie jak uciekinier z zimnego kraju, kamyk, który ktoś kiedyś przywiózł znad morza. Kiedy Tamara wróciła do domu i zobaczyła te rozbebeszone wnętrza, poczuła się tak, jakby to jej ktoś otworzył kopułę czaszki i zajrzał do środka. Teraz już dobrze widać te martwe pokoje, po których biega stado przerażonych mrówek, aż prosi się, by zapuścić tam lepki język, wyskrobać z tej dziewczyny odrobinę strachu.

Z drugiej strony świat się panoszy jak chwast na grządce, w ciszy rujnuje dawną bujną roślinność i w jej miejsce, pod osłoną nocy, sadi własne, trujące potomstwo. Nowe bloki otaczają stary budynek jak wilki ofiarę. Tamara czuła, że napierają i na nią, zwiększając uścisk. Z daleka majaczą wody basenu, w którym pływają sąsiedzi, ich głowy mieniają się w wodzie jak radioaktywne ozdoby choinkowe. Za rozbieraną kamienicą wschodzi osobne słońce – billboard reklamy Lay's, teraz, po zdjęciu dachu budynku, już bardzo dobrze widoczny, jego neonowe światło wpada wieczorami do sypialni Tamary i oświetla ją sztuczną, chorobliwą żółcią.

Każdego dnia, kiedy kładła się spać, wpatrywała się w sąsiedni blok, w którego oknach kolejno gasły światła – pierwsze, drugie, trzecie, aż w końcu przed jej oczami stawała niewzruszona, przytłaczająca ciemność. Wydawało jej się to doskonałą metaforą losu. Szczególnie zaś podobał jej się jeden z tych budynków, najwyższy z nich, tak wysoki, że wydawał jej się często tylko dodatkiem dla przelatujących nad nim samolotów. Idealne miejsce do popełnienia samobójstwa, które planowała regularnie i intensywnie – jakby była jednoosobowym rządowym zespołem do spraw planowania samobójstw, wciąż ulegających odroczeniu przez tajemniczą dziurę budżetową bądź z innych, niepodanych do publicznej wiadomości przyczyn.

Picie, szczególnie picie wina, ułatwiało tyle spraw. Sprowadzało jej wszystkie dylematy, niegdyś obejmujące Boga, religię, duchowość, politykę i ekologię, do jednego: białe czy czerwone? Jedno tylko ją martwiło – dlaczego nawet rozważania na temat wina muszą mieć barwy narodowe? Ale kiedy była szczelnie otulona alkoholową mgiełką, świat wydawał jej się ślizgawką, po której mogła sunąć żwawo, z lekkim rozbawieniem, a jedyne, co jej groziło, to siniak, gdy przez przypadek uderzy w słup. Nawet siejące grozę esemesy zdawały się łagodnieć i zamiast, jak zwykle, przerażać, bawiły. Na przykład teraz na jej komórkę przychodzi powiadomienie następującej treści: „Ze snu wyrwał mnie krzyk: powiedz jej, że kocham! Nie mogę milczeć i zatajać prawdy. Musisz wiedzieć, kto kocha cię do utraty tchu!”.

Bezceremonialność pracowników ezostajni przypominała jej tę, z jaką traktowali ją ginekolodzy. Choć wartość jej życia była w ich oczach niska, nierozzerwalnie związana z zawartością macicy, która nieodmiennie klasyfikowana była jako „pusta”, to podobnie jak zastępy wróżbitów, i oni próbowali wygenerować w niej odrobinę łączności z kosmosem. Najkrótszą z możliwych dróg.

– Kiedy planuje dzieci? – Ginekolog pytała ją o to podczas każdej rutynowej wizyty, często jeszcze trzymając w niej palce. Tamarze zawsze wydawało się to kiepską okolicznością do pogawędki, po prawdzie trudno jej było się wtedy skupić, tłumaczyła sobie jednak, że ginekolodzy to odmienny rodzaj człowieka. Rzeczy dla nich naturalne Tamarze wydawały się nieporozumieniem – już sam pomysł, żeby w biały dzień wskakiwać na fotel i rozchyłać nogi przed zupełnie nieznaną osobą, był dla niej absurdem.

– Nie wiem, nie mam *partnera* – mówiła z przekąsem Tamara, kładąc nacisk na tę intrygującą nowomowę, opracowaną jej zdaniem po to, by kobietom łatwiej było przełknąć

opieszalność, z jaką ich mężczyźni podejmują decyzję o małżeństwie. I dodawała: – A nie słyszałam, żeby mieli wznawiać *Randkę w ciemno*.

Pojawiający się w reakcji na jej wyznania wzrok groźnej ginekolożycy musiał przypominać ten, którym w hitlerowskim bunkrze obdarzali się wysoko postawieni esesmani po odebraniu niewesołych wieści. Porażona wyznaniem, przerywała na chwilę swoje zajęcie, podnosiła oczy na Tamarę i wygłaszała wykład o tym, jak to płodność kobiety spada o połowę po trzydziestce piątej, a zanieczyszczenie środowiska, stres i tym podobne czynniki sprawiają, że szybkie zapłodnienie i tak jest zjawiskiem coraz bardziej odosobnionym. Tamarze wydawało się wtedy, że słyszy słowa: „Wróg przedarł się przez nasze linie. Udało się im przejść Zossen na południu”, a teraz przemieszczają się w kierunku Stahnsdorfu. Są na północnych obrzeżach pomiędzy Frohnau a Pankow. Dotarli do Lichtenbergu, Mahlsdorfu i Karlshorstu na wschodzie.

– Atak Steinera powinien nad tym zapanować – odpowiadała stanowczo nieugięta Tamara, a tak naprawdę bąkała coś na temat swojego wciąż młodego wieku i zalet późnego macierzyństwa.

– *Mein Führer...* Steiner... Steiner nie był w stanie zmobilizować wystarczająco wielu ludzi. – Ginekolożycy, z politowaniem zaglądając jej w twarz, doradzała, by nie karmiła się popeliną z kolorowych gazet. Tymczasem kończyła wykopki, ostentacyjnie zdejmowała gumowe rękawice i pozwalała swej ofierze powstać oraz wciągnąć majtki. Tamara powracała do stanu jako takiej godności.

– Wszyscy poza Keitelem, Jodlem, Krebssem i Burgdorfem niech wyjdą. – Tu Tamara posyłała ostrzegawcze spojrzenie pomocnicy swej ginekolog; z bezczelnym, pełnym zainteresowania uśmiechem na twarzy kobieta przysłuchiwała się konwersacji, wodząc palcem po zdjęciach swoich dzieci. Niestety, nie była ona tak posłuszna jak wysocy rangą naziole i Tamara musiała kontynuować, znosząc jej wścibskie spojrzenia. – To był rozkaz! Atak Steinera był rozkazem! – podnosiła głos, sugerując ginekolożycy, że w razie potrzeby pójdzie do banku spermy albo zamówi sobie ją przez internet i podda się in vitro. – Nasi generałowie to banda niekompetentnych i niełojalnych tchórzy! – wciąż podniesionym głosem informowała lekarkę, że medycyna powinna zrobić wszystko, by umożliwić kobiecie zajście w ciążę w każdym wieku. A na koniec, prawie krzycząc, dodawała: – Wielka zdrada wobec Niemiec, ale wszyscy zdrajcy zostaną ukarani! Zapłacą własną krwią! – Teraz lekarka dowiadywała się, że Tamara pierdoli konieczność rozrodu i prędzej zajmie się hodowlą rododendronów niż *homo sapiens* we własnej

macy! A kiedy pani ginekolog z osłupiałą miną wręczała jej rachunek za wizytę, Tamara mruczała już tylko do siebie, z gniewem: – Przegraliśmy tę wojnę.

A teraz to ona ma rozdziawione usta i wpatruje się w komórkę wzrokiem przechodnia, który natknął się na ofiary wypadku drogowego. Dramatyzm tego esemesa i jego leksykalna nędza sprawiają, iż dziewczyna zastanawia się, kto za nim stoi, człowiek czy wódka. Ona dobrze zna ten problem (nie ma się czym chwalić). Pamięć pijaka to królik wyskakujący z kapelusza. Przeszłość Tamary była jak stary, pocięty na kawałki film ORWO. Pamiętała coś z lutego 2011 roku, później nagły skok do marca następnego roku. I tak dalej. Totalny eksperyment narracyjny. Tamara żyła tak, jakby chciała wszystkim udowodnić, iż chronologia zdarzeń jest absolutnym przeżytkiem.

W każdym razie teraz jest całkiem zainteresowana. „TAK”, odpisuje więc na otrzymanego esemesa, stan środków na koncie zmniejsza się o 3,49 złotego. Tak, owszem, Tamara chce się dowiedzieć, kto ją kocha aż tak dramatycznie.

„Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale ty jesteś brakującym elementem tej układanki”, napisane jest w pierwszej części odpowiedzi. – Nie przypominam sobie, żebyśmy przechodziły na ty, pierdolnięta Aisho – mówi na głos Tamara, gestykulując żywo nad telefonem; strzepuje popiół z właśnie zapalonego papierosa na swoje nieświeże ubranie i swoją *hand made* melinę, złożoną z permanentnej niechęci oraz składników organicznych, które weszły – jak ona – w stan rozkładu, i czyta dalej: „Ta osoba wysyła bardzo silną energię, bym mogła ci przekazać ważną wiadomość. Czy mam teraz zdradzić imię i nazwisko tej osoby?”.

Drżącymi palcami Tamara wybiera literkę T, przesuwa palec pod A. Chwila pełna napięcia, jakby właśnie odpalała ładunek wybuchowy; już zaraz się dowie, kto ją kocha, choć ma podejrzenia, że jedyna prawidłowa odpowiedź brzmi: jej diler. Jednak skąd wróżka miałaby znać jego nazwisko, skoro zna je tylko Interpol? Tymczasem jednak wszechświat oddała rozwikłanie tajemnicy tej miłości, oto bowiem telefon komórkowy zaczyna wibrować w ręce Tamary tak, jakby był przestraszonym chrząszczem. Żukiem gnojakiem, granatowym skarabeuszem, który chciałby zagrzebać się w tkankach, żyłach jej ręki i ryje wytrwale, drażniąc jej nerwy, próbując przebić się do spodu, naruszyć fakturę skóry.

Dziewczyna nie spodziewała się takiego obrotu zdarzeń, jej paranoje skaczą o jedną kreskę na nieistniejącej skali pomiaru paranoi. Zwłaszcza że przyszedł jej na myśl akurat ten diler, który był tak miły i dał jej ostatnio na kreskę (kreskę na kreskę, gwoli ścisłości),



zważywszy na długotrwałą znajomość, a długi u dilerów – wiadomo, co to oznacza. Tamara dyskretnie zerka więc na leżącą na łóżku poduszkę, sprawdza, czy aby nie ma na niej głowy konia.

Cóż, telefon Tamary dzwonił rzadko, a jeśli już, to najczęściej po to, by głosem z automatu zachęcić ją do kupna wszechstronnej golarki do nóg bądź szczoteczki do zębów, która po ostatnich udoskonaleniach inteligencją dorównywała podobno pracownikom Doliny Krzemowej.

Nie wiedziała, co robić.

A zawsze gdy nie wiedziała, co robić, zaczynała pić.

Na początku mówiła sobie: „A co tam, można chyba czasem trochę się podjechać!”. Sęk w tym, że „czasem” i „trochę” nie szły w parze ze stylem jej alkoholowej konsumpcji. „Trochę alkoholu” to był oksymoron, a przedrostek „pod”, dodany do tego wulgarnego czasownika, trzeba by gwoli ścisłości w te pędy zmienić na „na”.

I teraz właśnie znów to zrobiła, wypila swój przydziałowy alkohol i leży na podłodze, obejmując rzeczywistość jogińskim oddechem, a świat jest jak papieros bez filtra – z każdym wdechem wnikają w nią tysiące substancji smolistych. I byłaby dalej tak podróżowała do wnętrza ziemi swoim małym, ważącym ledwie czterdzieści osiem kilo pojazdem kosmicznym o nazwie Tamara Mortus, gdyby nie ten telefon. – Co jest, kurwa? – mruczy Tamara głosem osoby moczającej swe struny głosowe w denaturacie. Gapi się na komórkę jak na nieznaną, niewprowadzony jeszcze do obrotu gadżet. Jakby nie rozumiała zasad działania telefonu: kiedy dzwoni, trzeba odebrać. Wydaje jej się może, że jeśli odbierze, to słuchawka oparzy ją w ucho, że wyjdzie stamtąd jakieś ciało obce i wessie ją do środka, od ucha poczynając, a na stopach wraz z paznokciami kończąc.

Wyświetlający się numer nic Tamarze nie mówi. Wygląda jak dowolnie wybrany przez komputer. Może to data urodzenia, data pierwszego pocałunku, data rychłej śmierci. Tamara nie ma pamięci do dat, nie ma też profetycznego daru. Ale wycofanie z rzeczywistości po paru sekundach mija. Tamara znowu wie, do czego służy telefon, i po chwili wahania odbiera go, zastanawiając się, co też jej zechcą wcisnąć tym razem: nisko oprocentowany kredyt, wielofunkcyjnego robota kuchennego czy może wibrator z funkcją zdalnego pilotowania statków kosmicznych?

Ale czeka ją niespodzianka! To nie przedstawiciel handlowy, to ktoś osobiście jej znany.

Dawny kolega z jej byłej pracy, szef działu czegoś tam. Który to fakt ją zresztą zawsze dziwił – bo zdaniem Tamary jego zdolności interpersonalne oraz cechy charakteru kwalifikowały go raczej na szefa jednoosobowej barki poławiacza perelę pośrodku Oceanu Spokojnego. Przy tym jednak, trzeba przyznać, był on jedyną osobą wyrażającą jakikolwiek żal, kiedy niemal rok temu „optymalizacja kosztów prowadzenia firmy” przesunęła Tamarę w kierunku osób, którym zoptymalizowano zatrudnienie – do zera. Nie byli jednak w żadnej przyjaźni. Tamara dziwi się więc temu, że czuje się on uprawniony do dzwonienia do niej w piątek wieczorem po rocznym milczeniu. Przeczuwa, że taki telefon nie wróży nic dobrego – taki telefon oznacza, że będzie trzeba robić za wolnego słuchacza. Rzeczywiście, głos dzwoniącego brzmi jak głos człowieka zdruzgotanego. Można podejrzewać tak zwane życiowe zakręty. Tamara nie wie, co zrobić – dzwonienie do niej ze swoim życiowym problemem akurat teraz, kiedy ona sama jest zdezelowana jak stary ciągnik i marzy wyłącznie o tym, by ktoś ją zaniósł do serwisu, zakrawa na ironię losu.

– Pomyślałem, że zadzwonię, zapytam, co u ciebie. Pamiętam, jak dobrze nam się gadało przy kawie... – mówi smętny głos w telefonie. I dalej produkuje grzecznościowe formułki, które mają ukryć jego samotność i desperację. Tamara pamięta go dość dobrze, wyróżniał się na tle innych pracowników niemal całkowitym brakiem tak zwanej urody oraz imieniem. Bernard. Rodzice, jak widać, mieli poczucie humoru. Nadali imię odpowiednie dla łagodnego właściciela pasieki lub miłego hodowcy kminku, garbatemu pokrace, który mógłby stanąć w szranki z samym Quasimodo. – ...na kolację? – słyszalny wręcz znak zapytania wyrывa Tamarę z rozmyślań. Zdaje się, że Quasimodo chciałby ją wyciągnąć do miasta, żeby podczas opowieści o swej traumie życiowej mieć komu patrzeć w oczy. Dlaczego nie wie, że dla takich jak on powstały specjalne lokale, w których na ścianach wiszą wielkie lustra? Wznosząc kolejne toasty do własnego odbicia, można poczuć się tam odrobinę mniej samotnym. Miasto nie ustaje w próbach pomocy zbłąkanym duszom, takim jak Bernard i, co tu dużo mówić, ona sama.

A jednak propozycja jest w jakiś sposób kusząca. Jest piątek, dzień, w którym możliwość odmiany swojego losu wydaje się najbardziej prawdopodobna. W piątkowym, przesyconym substancjami psychoaktywnymi powietrzu wibruje zapowiedź czegoś nowego. Los, do tej pory przypominający nieczynną, stojącą w zajezdni lokomotywę, zmienia się w TGV. Sygnał oczekiwania na zmianę przeznaczenia zostaje włączony.

Oczywiście odmiana losu jest czymś w rodzaju Godota, który raczej się nigdy nie pojawi,

choć, proszę bardzo, można na niego czekać. Prawda wychodzi na jaw w okolicach niedzielnego kaca: piątek jest zawsze czymś w rodzaju małej śmierci; oto umarłeś i pukasz do nieba bram, niewykluczone, że ci otworzą.

Tamara nie wie, jak się zachować. Kusi ją, by zostać w domu, bowiem właśnie przed chwilą znalazła w internecie film pokazujący sekcję zwłok i z zaciekawieniem przyglądała się, jak zgrabnie i szybko można po śmierci wydobyć z człowieka jego treść: patolog usunął już z truposza jego fioletowożółtą zawartość, a teraz przeciął skórę na szyi i wsunął tam dłoń, jakby wsuwał ją w rękawiczkę. Nie wiedzieć czemu, Tamara wyobraziła sobie siebie na miejscu tego nieszczęśnika, a przed sobą wszystkich swoich kochanków, zaskoczonych jej nagłym przeobrażeniem. Po cichu liczyła na to, że może znalazłby się jakiś perwers, który wykradłby jej zwłoki, zakonserwował w formalinie i brał ostro w zimowe wieczory. Musiałoby mu to przypominać seks z marynowanym kabaczkim.

Jednak film może zaczekać; co innego towarzystwo, miły dodatek do dalszej alkoholizacji. Dlatego Tamara decyduje się wyjść. Wzdycha głęboko, odganiając radioaktywną chmurę własnych myśli, i próbuje w swym alkoholowo-narkotycznym zamroczeniu wymamrotać słowa wyrażające zgodę na propozycję kolegi.

Dwie godziny później jest na Starówce – tej części stolicy, której nie cierpi chyba najbardziej. Wiedza historyczna w niczym nie pomaga: warszawskie Stare Miasto przypomina jej makietę wyhodowaną w umyśle szurniętego architekta i powoduje, że jej rozbrat z rzeczywistością staje się jeszcze bardziej dojmujący.

Oczywiście w dzielnicy, w której mieszka, nie jest lepiej, ale przynajmniej nęcza stosunków międzyludzkich jest tu autentyczna i adekwatna do perfekcyjnie jednakowych, przytłaczających rozmiarem budynków mieszkalnych. Nikt nie próbuje jej przełamać lukrowaną otoczką różnokolorowych domków z pudełek od zapalek. To wszystko sprawia, że Tamara przynajmniej nie sprawdza codziennie rano przed lustrem, czy nie zmieniła się w Smerfетkę.

Zawsze zastanawiała się, czemu tak źle się czuje, spacerując po Starówce – bo przecież w przeszłości spacerowała, snuła się tymi symulującymi przytulność uliczkami, samotnie, człowiek widmo w wymarłym mieście. I wreszcie to odkryła – jej niechęcią rządziła zasada podobieństwa. Przez długi czas Tamara, tak jak Starówka, prezentowała swoją fasadę, jak umiała najlepiej, byle ktoś się na toabrał. Jak wszystkie dziewczyny w newralgicznym wieku, wieku generującym największe potrzeby seksualne, wsłuchana w pieśń brzmiącej jak Enya macicy, zastawiała wnyki na tych, którzy byli skłonni uczestniczyć w tym tańcu godowym. Do czasu kiedy poczuła do tego tak głęboki wstręt, że nie mogła już patrzeć na siebie inaczej niż jak na mieszkańca krainy skorupiaków, które urządzają swoim odwołkom konkurs piękności. Decyzja przyszła wtedy, gdy poczuła, że jej cipa przypomina rondo de Gaulle’a w godzinach szczytu. Ogłosiła moratorium na swoje seksualne usługi.

Co chciała działać tą śmiałą postawą? Prawdopodobnie z jednej strony miała nadzieję ograniczyć swój własny miłosny marketing bazujący na niezłomnym przekonaniu, że za rogiem czeka na nią jeszcze korzystniejsza oferta, więc nie warto poprzestawać na obecnej, z drugiej zaś kierował nią wyuzdany pomysł, jakoby *zakazany owoc* miał smakować lepiej. Była nauczona tego, że za każdym sukcesem stoi odpowiednia strategia, ale jako że – odczuwając głównie pustkę, gorycz i rozczarowanie – za cholerę nie wiedziała, czym jest dla niej sukces, poprzestała na razie na strategii.

Niestety, pomyliła się – takie sztuczki działały może za czasów pramatki Ewy i praojca

Adama, ale na pewno nie w czasach szybkiego łącza z Nielimitowanym transferem w godzinach nocnych. Telefon przestał dzwonić. Jeśli ktoś miał darmowe minuty, na pewno nie wykorzystał ich na Tamarę. Skrzynka mejlowa powoli wypełniała się wiadomościami o możliwości przedłużenia penisa i rabatach na Tele Pizzę. Po gromkiej ciszy, z jaką na Facebooku obchodzono jej urodziny, Tamara ze wstydem usunęła stamtąd swój profil. W jej życiu towarzysko-seksualnym zapanowała cisza jak na polu bitwy po zakończeniu działań wojennych.

Odkrycie, że posiada niezaprzeczalną urodę, stało się dla niej kulą u nogi. Kiedy ciało ma wysoki stopień atrakcyjności, zupełnie nie wiadomo, jak z nim postępować – oto były refleksje Tamary na nowy wiek, które chciała spisać jak najprędzej w formie eseju i wysłać do odpowiednich redakcji. Kiedy w okolicach osiemnastego–dziewiętnastego roku życia odkryła, że upodobanie do jej tkanek jest powszechne i może przebierać w ofertach seksualnych niczym w ulęgałkach, poczuła się oszołomiona jak Kolumb dobijający do wybrzeży Ameryki. Ta świadomość otworzyła puszkę Pandory, w której do tej pory szczelnie upchnięte było jej życie. Teraz wybuchło, z sykiem, i rozlało jej się pod nogami. Nowe odkrycie spowodowało, że urocza gimnastyka z korkociągiem do wina, jaką uprawiała co weekend, a później już co drugi dzień, zmieniła się w gimnastykę bardziej namacalną, sprzyjającą utrzymaniu odpowiedniej wagi ciała. Seks sprzyja dobrej figurze, owszem, sprawdziła to. Jej oczy, jej włosy, jej cały układ kostny i mięśniowy, wszystko, co tworzy się w łonie matki, a czasem zostaje przedwcześnie rozpoznane jako patologiczna zmiana i wycięte – mały potwór z włosami i skórą – podobało się bardzo i Tamara mogła z tego do woli korzystać, próbując różnych pozycji z Kamasutry.

Po latach, dobijając do trzydziestki, przerażona tym, że ma już gotowy materiał do rewolucyjnego podręcznika *Jak przelecieć armię Wojska Polskiego w tydzień*, zamknęła swe podwoje, ale nie przysporzyło jej to ani fanów, ani radości. Znudzona bezruchem w interesie i zachęcana przez podręczniki dla wytrwałych joginów do tego, by wprowadzać w swe życie harmonię, wpadła więc na pomysł cofnięcia nałożonego na cipkę embargo. Ściągnie na nowo simlocka i znów udostępni kod do swojej waginy, która teraz stała smętnie w porcie jak nieużywana, rdzewiejąca barka. Brak seksu zmieniał ją w wędną roślinę ogrodową – pożółkłą, zeschniętą, zmurszałą. Niechętną wszystkiemu, obojętną. Z drugiej strony, kiedy jej cipa pędziła na złamanie karku za każdym co okazalszym bywalcem męskich bokserek, wcale nie było lepiej. Wtedy czuła się zużyta niczym wzięta w leasing sztuczna szczeka. Nijak nie potrafiła rozsypać tego węzła gordyjskiego, słynny złoty środek w postaci tak pożądanego społecznie związku

miłosnego nie był dla niej żadnym rozwiązaniem.

Kiedy tak sunęła z oporami przez te rozległe przestrzenie wypełnione ludźmi, ptakami, roślinami w różnych kolorach, małymi chińskimi filizankami, fotelami obitymi skórą, autami o różnym przebiegu i drogami łączącymi wszystkie, najbardziej odległe zakątki globu, miała wrażenie, że życie jest nieuporządkowanym pasem startowym, a ona wielką, stalową maszyną lotniczą, o którą to wszystko się rozbija i ginie gdzieś w dole, pod małymi kołami. Wszystko, co nie było nią, oblewało ten beznamiętny, szary kadłub, którym była, i rozstępowało się przed nim jak masy gorącego powietrza. I wciąż uparcie śpiewało tę groteskową piosenkę: Otwórz te zalakowane drzwi, zabierz na pokład jakichś pasażerów. Chcemy do ciebie przywrzeć jak ciepłe usta do umarłej osoby. A ona, ta maszyna, którą była, sunęła dalej niewzruszenie w stronę drwiącej z niej plamy słońca.

Tamara stoi w umówionym miejscu, próbuje przypomnieć sobie jakieś hasła, których uczono jej na treningach rozwoju osobistego, jakieś afirmacje, coś, co ma moc rozpraszania mroku. Szuka w głowie jakiegoś wymaginanego włącznika światła, ale nie może go znaleźć. Wciąż natrafia na nagie, zimne ściany, po których ślizga się jej naga świadomość. Twoje myśli tworzą rzeczywistość – przypomina się Tamarze, musiała to przeczytać w jakimś podręczniku do nauki zwiększania własnej aury oraz podnoszenia wibracji. I widzi nagle swoją rzeczywistość jako sklejoną bryłkę brunatnych odchodów, toczoną pod górę przez żuka gnojaka. Oczywiście bez większych sukcesów, syzyfowe prace.

Dziewczyna jednak pociesza się, że mimo braku uroku osobistego, mimo samopoczucia pacjenta zakładu psychiatrycznego po serii elektrowstrząsów oraz spokoju żołnierza przedzierającego się przez wietnamską dżunglę, chyba wciąż jeszcze jako tako wygląda. Choć oczywiście metrykalnie jest już ciastem z zakalcem, ryczącą trzydziestką. Cokolwiek mówiłyby na ten temat gazety, oto nadchodzi mityczny kryzys wieku średniego. Rzeczy, które nie miały mieć wpływu na twoje zdrowie, były niewinną rozrywką młodzieży, nagle okazują się zagrożeniem – na przykład palenie. Kilka miesięcy temu Tamara dowiedziała się od lekarki, że ma czterdziestoletnie płuca. W oszołomieniu wodziła wzrokiem po karteczce z wynikiem badań. Owszem, od piętnastu lat robiła sobie zdrowotne inhalacje z nikotyny, a raz nawet z heroiny, ale przecież ludzie postępują tak latami i nic im się nie dzieje. Umierają na coś zupełnie innego. Na przykład na marskość wątroby.

Życie jest niesprawiedliwe – Tamara odkryła głęboką prawdę, na której mogłaby zbić

fortunę, gdyby tylko opublikowała ją w formie książki.

Kolega wyłania się zza rogu, nagle. Spada na Tamarę niczym kłątwa. Niestety, w jego nieźle zapamiętanej przez Tamarę kontrowersyjnej urodzie nie nastąpił żaden progres. Jego nos dalej przypomina abstrakcyjną rzeźbę wykonaną przez niezdolnego artystę, bruchowi przybyło dodatkowych parę centymetrów, a włosy, jak to zwykle bywa, zdecydowały się na masowy exodus z okolic głowy, by dokonać desantu na niczego nieprzeczuwające brwi i uszy. Cały wygląda jak kartofel wygrzebany z ziemi w nieodpowiednim czasie. Jednak dodaje sobie animuszu firmowym płaszczem. Tani Armani? – zastanawia się Tamara.

Nie wie, czy się roześmiać, czy rozplakać. To coś w jej środku, co powinno być ciałem stałym, rozplywa się jak tłuszcz na rozgrzanej patelni, Tamara czuje, że pod jej nogami formuje się ciepła kałuża jej rozbeltanych resztek. Chce, by jej ciało miało umiejętność rozpuszczania się, jak zwłoki w kwasie. Jednak jest za późno, sputnik namierzył cel, atakuje widzianą na celowniku planetę z całą siłą swego uzbrojenia.

Bernard podchodzi do Tamary i całuje ją w policzek. Kiedy to robi, ta czuje kropelki potu na jego skórze. Wprawia ją to w lekkie obrzydzenie. Znow drętwieje, ale nie wie, co zrobić, pozwala mu dokończyć przywitanie. Wciąż musi doprowadzać się do porządku – mimo nieznośnego nerwowego napięcia zna przecież obowiązujące w świecie zasady postępowania i wie, co grozi za ich złamanie. Mimo wszystko nie może opanować silnego drżenia. Bernard robi stosowną do swojego imienia minę mnicha zatroskanego o dobro ludzkości:

– Chłodno ci? Chodźmy szybko do lokalu, zarezerwowałem stolik tu w knajpie obok.

Tamara zgadza się, cóż jej pozostaje. Idzie za nim jak baran na rzeź. Takie ma też samopoczucie.

Kiedy już moszczą się na swoich krzesłach w całkiem przytulnej, choć spreparowanej na potrzeby turystów warszawskiej restauracji, robi jej się ciut lepiej. Oczywiście dlatego, że na stole ląduje alkohol. Już pierwszy kieliszek wina, który Tamara wypija niemal haustem, sprawia, że mrok zostaje rozjaśniony o jeden odcień. Wewnętrzne napięcie staje się mniej dokuczliwe, odrobinę.

Po kwadransie kulturalnych rozmów o niczym znow robi się niebezpiecznie. Bernardowi wyraźnie zbiera się na zwierzenia. Odczuwa potrzebę wyrzucenia z siebie nagromadzonych lęków, rozczarowań, frustracji. Na nieszczęście Tamary nie chce już dłużej tłumić swoich emocji. Bierze więc głęboki wdech, upija łyk swojego wina, a na jego twarzy pojawia się taki wyraz,

jakby cała jego rodzina przed sekundą zginęła w wypadku drogowym.

Tamara zastanawia się, czy nie wyjść do toalety i nie uciec przez znajdujący się tam lufcik, widziała coś takiego wiele razy na amerykańskich filmach. Obawia się, że nie zniesie jego wyznań, nie nadąży z dostarczaniem swojej twarzy odpowiednio zatroskanego wyrazu – przy stopniu jej obecnego emocjonalnego wyrażenia trudno sobie nawet przypomnieć, jak wyglądają te pełne empatii miny. Dlatego chce uciec. Ta myśl pociąga ją tak mocno, jak maklera giełdowego pociąga ryzykowna operacja finansowa. W mózgu Tamary wytwarzają się endorfiny. Czuje się tak, jakby przed chwilą wzięła kreskę koksu, ale taką przedobrzoną, długości Muru Chińskiego.

Kurczowo zaciska dłoń na trzymanej pod stołem torebce. Bieleją jej kostki, wilgotnieją dłonie, ale nie zwalnia uścisku. Żałuje, że to nie nóż – wyobraża sobie, jak ten powoli wchodzi w jej ciało, jak robi coraz głębsze nacięcie, jak krew powoli zaczyna kapać na podłogę, formując pod ich stolikiem wielką, czerwoną kałużę.

Mija może minuta – tak wiele wydarzyło się w wyobraźni, rzeczywistość jak zwykle pozostała na nią obojętna. Bernard, nieświadomy tego milczącego dramatu, jaki rozegrał się w głowie Tamary, zaczyna tłumaczyć, co leży mu na wątrobie. Otóż odkrył zdradę swojej żony i w związku z tym odczuwa duży *dyskomfort*. Tak właśnie mówi, duży dyskomfort, jakby zdrada była czymś w rodzaju świądu sromu.

– Boję się – kontynuuje – że stracę twarz w oczach moich podwładnych, rozwód zawsze wygląda źle. W końcu pokazujesz wtedy innym, że nie powiodło ci się w życiu, że nie potrafisz nawiązać trwałych relacji. Tymczasem trwałość jest kwestią kluczową, również jeśli chodzi o budowę solidnego, zwartego działu pracowników, trwałość stanowi *fundament*, element konstytutywny – z ust Bernarda pada jeszcze mnóstwo słów jak z tekstu naukowego dla studentów pierwszego roku dowolnego kierunku.

Tamara, skupiona na swoim winie, zastanawia się, czy nie podrzucić mu jeszcze paru określeń: „transcendować”, „postrefleksyjny”, „fenomenologiczno-egzystencjalny” czy wreszcie – „odsyłający do heideggerowskiej analityki *Dasein* w interpretatywnym procesie myślącego jestestwa”.

Tymczasem on przerywa i patrzy na nią wzrokiem pełnym smutku.

Tamara przez chwilę nie wie, co powiedzieć. Komora maszyny losującej jest pusta. „Żona cię zdradza? Tak strasznie mi z tego powodu wszystko jedno” – chce mu oznajmić, ale wie, że to



nieładnie, więc milczy. Zaczyna się zastanawiać, czy to jest wzrok używany do patrzenia na żonę w momencie, gdy już wiesz, że z erekcji nici, i próbujesz usprawiedliwić brak pociągu do starzejącego się ciała jakąś obiektywną przyczyną typu zmęczenie czy niepowodzenia w pracy. Nagle nachodzi ją straszna myśl, że może on chce właśnie tego – wzbudzić w niej litość, by pójść z nią do łóżka. To dlatego umówił się z nią właśnie tutaj, w jednej z najbardziej jałowych części tego miasta, w której pełno drogich hoteli.

Wyobraża sobie, jak Bernard delikatnie całuje jej wargi, głaszcząc opuszkami palców jej włosy i materiał jej sukienki – oglądał to z żoną tysiąc razy na filmach romantycznych i widział, że żona reagowała entuzjastycznie, a zatem tak właśnie należy, to część strategii uwodzenia.

Teraz prawda dociera do niej z całą mocą: wszystko się zgadza – droga restauracja, czerwone wino, świece i miły kelner. Kiedy to sobie uświadamia, ogarnia ją dojmujący strach. Czy wytłumaczyć mu, że seks ją brzydzi, że od dłuższego czasu, od około trzech lat go nie uprawia i nie wyobraża sobie, że mogłaby znowu zacząć? Nie wyobraża sobie tego, że mogłaby znów brać do rąk te ciastowate, białe członki, wkładać je w usta i inne części ciała, wykonywać te żalosalne ruchy, słuchając czyjś oddechu. Nie wyobraża sobie wypowiedzania tych idiotycznych formułek, wymieniania się nikomu niepotrzebnymi numerami telefonów, na które natrafiasz przypadkiem wiele miesięcy później i nie możesz ich skojarzyć z żadną realnie istniejącą osobą.

No nic, myśleniem bomby nie rozbroisz. Dlatego Tamara decyduje się coś powiedzieć, żeby przerwać ciszę, odgonić to seksualne zagrożenie. Odzywa się jej skłonność do teoretyzowania – zaczyna więc tłumaczyć Bernardowi, że rozwód to dziś powszechne zjawisko, czy Bernard wie na przykład, że już połowa małżeństw zawartych w USA kończy się rozwodem? Przynajmniej dane znalezione w jakimś magazynie obok interesującego artykułu z zakresu ajurwedy.

– Uczucia są czymś, co podlega wyczerpaniu, jak środki na koncie – mówi to głosem pełnym przekonania, choć czuje się jak silący się na dowcip ekspert z telewizji śniadaniowej. Chociaż to do niej niepodobne, rozpędziła się i nie może przestać: – Jeszcze w czasach licealnych to wszystko może się udać, mogą się pojawić te przysłowiowe motyle w brzuchu, później ze wszystkich organizmów żyjących w ludzkim ciele można liczyć głównie na grzyby, drożdżaki i pleśń. Nuda i rozczarowanie, oto para współczesnych kochanków, kopulujących przez łącza internetowe – dorzuca ze sporym zapalem i choć z jednej strony wstydy się tego, co mówi, z drugiej jest to wyzwajające; oto rzeczy, które w tym klasztorze Shaolin, zwanym także Życiem,

przekazał jej wielki mistrz Osobista Autopsja.

Wreszcie spogląda na twarz kolegi – ten słucha jej z kompletnym brakiem zrozumienia, z narastającym zdziwieniem, jakby tłumaczyła mu teorie budowy atomu.

– Przeżyłem z żoną dziesięć lat – protestuje – rzadko się kłóciliśmy, mamy dwójkę dzieci. Owszem, małżeństwo jest trudne – mówi – małżeństwo to kompromisy i wyrzeczenia, ale też dążenie do konsensusu. Cały sęk w tym – kontynuuje – by sprawiać komuś codziennie małe przyjemności, by nie zapominać o partnerze. W toku życia nie stracić go z oczu. Jego i jego potrzeb.

Tamara po pełnej napięcia chwili konsternacji wzmagą tempo picia. Kończy kolejny kieliszek, niby naturalnym ruchem dłoni nalewa sobie następny. W butelce pojawia się mało oczekiwane dno – tak się składa, że prawie wszystko wypła sama, Bernard męczy się wciąż z pierwszym kieliszkiem.

Ale Tamara jest z siebie zadowolona – skoro już ma wysłuchiwać tych bzdur, to chociaż się upije za cudze pieniądze. Niestety, ma pewne obawy w związku z tym całym *równouprawnieniem*, które stanowi zagrożenie dla jej portfela. Mimo niepokoju finansowego (wprawdzie ma jeszcze jakieś pieniądze, resztki oszczędności, kartę kredytową z przyznanym niegdyś, za czasów prosperity, na wyrost limitem, debet w innym banku, ale nie chce ich tracić w tak głupi sposób, jako wolny słuchacz podstarzałego idioty), słucha go dalej z udawaną uprzejmością, zdobywając się nawet raz po raz na coś w rodzaju pełnego zrozumienia uśmiechu.

– Uważam nasze małżeństwo za udane – kontynuuje Bernard – mieliśmy podobne zainteresowania, cele. No i dzieci, przecież mamy dzieci, przede wszystkim łączą nas dzieci! To skandal, że ona zdecydowała się tak po prostu odejść i zabrać mi dzieci, bo wiadomo, że dzieci zostaną z nią, w tym względzie sądy są takie stronnicze. Do tego za parę miesięcy walentynki, nasza rocznica ślubu.

Tamara przez chwilę nie jest pewna, czy dobrze usłyszała. Trudno jej samej stwierdzić, na którym etapie choroby alkoholowej się znajduje, a czytała gdzieś, że na którymś pojawiają się omamy słuchowe.

– Walentynki? – mówi niepewnie, jakby była lekarzem próbującym zachęcić pacjenta do zwierzeń na temat przebytych chorób wenerycznych.

Bernard kiwa głową w milczeniu.

Tamara wpada w nagłą wesołość. Sytuacja wydaje jej się absurdalna, zaczyna się czuć jak

Bronisław Malinowski badający zwyczaje seksualne dzikich. Zbiera jej się na dowcip, dlatego opanowuje znudzenie, przybiera pozę mędrca, nasuwa na nos wymaginowane okulary i mówi z powagą, profesorskim tonem:

– Walentynki. Niewielu ludzi wie, że walentynki tak naprawdę wymyślił radziecki badacz, myśliciel i ekonomista, Valentiej Valentiejew Valentynowicz, który jako pierwszy, podczas mroźnej zimy 1918 roku, wysłał Leninowi wyrazy uznania i uwielbienia na czerwonej kartce pocztowej. Moda przedostała się na Zachód, do Meksyku, wraz z uciekającymi trockistami, jednak w zderzeniu z lokalną kulturą i tradycją religijną zmieniła nieco formę i rozpowszechniła się jako obchody dnia świętego Walentego... patrona umysłowo chorych.

Bernard reaguje dopiero po minucie konsternacji. Tłumaczy Tamarze, że może się śmiać, może kpić, ale pewnego dnia sama zrozumie, jak trudno pogodzić się z tym, że miłość umiera, że ta świeca gaśnie. A ludzie przecież stworzeni są, by spoglądać w jej płomień. Upija jeszcze łyk wina i patrzy przed siebie z melancholijnym wyrazem twarzy. A co do pochodzenia święta walentynek, doskonale wie, iż jest ono anglosaskie.

Tamara kiwa głową, udając zrozumienie, choć tak naprawdę obawia się, że jej mózg robi sobie z niej żarty i każe jej słyszeć słowa, które nie mogły być wypowiedziane poza murami zakładu dla obłąkanych. Zaczyna myśleć, że słabo znała Bernarda, teraz widzi, iż jest on osobą, która nie tylko nazbyt często musi googlować siebie, on musi googlować Google.

Nerwowo wypija ostatni łyk wina, zerkając na kelnera. Czy nie mógłby znów podejść, zainteresować się losem kieliszków? Niestety, tak się nie dzieje, kelner jest zajęty innym stolikiem, może państwo zamówili więcej żurawiny, więcej pestek z dyni, więcej grillowanych karaluchów w sosie z pajęczyny.

Na kursach medytacji uczyli Tamarę, żeby koncentrować się na danym zagadnieniu, na tym, co chcesz do siebie przyciągnąć. Więc Tamara myśli: alkohol, alkohol, wino, wino, wódka! Robi to tak intensywnie, że jej myśli aż odbijają się echem po całym lokalu. Niestety, nikt ich nie słyszy, nie ma tu żadnych dyplomowanych mediów, wędrowni w zaświaty się nie powiodą. Cóż więc. Tamarze pozostaje pysk tego dzwonnika z Notre Dame, tego mnicha od siedmiu boleści; o nie, po jednej sekundzie wahania Tamara już wie, że nie da rady, wbije mu nóż kuchenny w dłoń, nie zniesie go bez alkoholu.

– Może jakiś alkohol? – mówi.

Cisza, jaka zapada, przypomina tę, jaka spada na miasta po kurtuazyjnym

bombardowaniu ich przez państwa wrogie. Nie usłyszysz nawet muchy.

– Naturalnie – mówi w końcu Bernard. Ale jego słowa są jakieś nieostateczne. Jakby mierzył do celu, ale jeszcze nie nacisnął na spust, dopiero opukiwał go spoconym palcem. Powie, że zatrzymał się w pobliskim hotelu, obstawia Tamara. Zdaje się, że już brała udział w tym teleturnieju.

– A wiesz, zatrzymałem się w pobliskim hotelu – mówi Bernard.

Tamara myśli: miałam niedawno możliwość zamieszkania w mieszkaniu na jedenastym piętrze ze spadem na beton, dlaczego nie skorzystałam?

Myśli nad innymi, prędkimi sposobami samobójstwa, takimi instant. W jednej sekundzie żyjesz, a w następnej woda się zagotowała, zalewasz produkt i już bawisz w świecie uprzywilejowanych względem żywych truposzy. Ale nie przypomina sobie takich, zawsze są jakieś atrakcje: rzyganie, śpiączka. Odechciewa jej się. Może zatruć się kalmarami? – myśli. Na pewno mają nieświeże. Kalmary w Warszawie! Kalmary z pobliskiej Wisły! Radioaktywne kalmary w sosie z rybiego gówna i sałatką z wiślanego błota, *spécialité de la maison. El secreto de la casa.*

Tamara myśli, że chyba będzie rzygać. Czuje, że ten kompost, który zajął miejsce jej wnętrzości, będzie się domagał wybicia na niepodległość. Ale ten tani Armani, ten garnitur Bernarda ją powstrzymuje, co on powie w pralni? Z jakim nieodpowiedzialnym towarzystwem był na mieście? Powstrzymuje więc napierające rzygi, myśli: bądź grzeczna, jutro też jest dzień, aviomarin. Również ludzie słonie mają prawo do bezrzygowych kolacji na mieście, w kulturalnej restauracji.

– Jesteś śliczna – mówi Bernard i nie pytając o zgodę, przesiada się na miejsce obok Tamary, chyba zachęcony tym całym jednym kieliszkiem wypitego wina. Aż poczerwieniał na twarzy. Teraz wygląda już nie jak kartofel, ale jak burak wykopany z ziemi. – Nie chciałabyś przejść się ze mną na spacer? – pyta. – Strasznie tu gorąco. Poza tym możemy się jeszcze napić w moim pokoju hotelowym. Będzie można spokojnie pogadać.

Tamarę zawsze dziwiło, że mężczyźni – nawet wyglądający jak ofiary nowatorskiej kuracji pestycydami – nigdy nie mieli problemów z wysuwaniem propozycji seksualnych. Jakby kutas w garści zdawał im się tak cennym dobrem, że przyćmi wszelkie niedostatki urody i charakteru.

– Może tu się jeszcze napijemy? – z ust Tamary wydobywa się coś zdławionego,

głuchego, coś co przypomina odgłos kauczukowej piłeczki toczącej się po blacie.

Bernard zdaje się jej nie słyszeć. Patrzy na nią na poły żalonym, na poły przejętym wzrokiem. Tamara nie wie, co robić, nie wypada jej zostać samej w restauracji, tymczasem Bernard już podnosi się od stołu, ściąga jej płaszcz z wieszaka i staje obok, by zarzucić go jej na ramiona, dzentelmen w każdym calu. Widać, że spędził lata dziewięćdziesiąte na oglądaniu komedii romantycznych z VHS-ów.

– Chodźmy, będziemy mogli spokojnie pogadać – powtarza. Pryszcze świecą mu na twarzy jak radioaktywny odpad.

Tamara sięga do zasobów swojej wyobraźni. Przed oczami staje jej jego białe, tłustawe ciało, kręcone, ciemne włosy na rękach, nogach, klatce piersiowej, jego wykrochmalone specjalnie na dzisiejszą okazję kalesony, na co dzień zastępowane bielizną szarawą, przybrudzoną, na której odchody pozostawiły różnorakie, abstrakcyjne wzory.

Jest pewna, że nie mogłaby się zmusić do tego, by wziąć do ręki ten żalony kawałek skóry wypełniony mięsem. Chyba odwiozłoby ją pogotowie na sygnale, pokrytą własnymi wymiocinami. Strach pomyśleć, że jej pochwa stanowiła niegdyś ideał demokracji – wpuszczała na swój pokład wszystkich pasażerów, nie pytając o wiek, kolor skóry i narodowość. Dziś Tamara słabo pamięta nie tylko tych mężczyzn, ale nawet ich członki.

Lecz zaraz czuje, jak płaszcz opada jej na ramiona, niczym wieko trumny na umarłego. Ten stojący za nią to grabarz, sęp.

I nagle wzbiera w niej jakiś potok nienawiści. Czuje, jakby uaktywniła się w niej jakaś istniejąca do tej pory w stanie utajonym komórka. Dlaczego temu gnomowi w ogóle przychodzi do głowy, że mógłby ją zerznąć? Budzi się w niej agresja wywołana jakimś dziwnym rodzajem podległości, upokorzenia. Jakby przysła na wielką fiestę, cholernie głodna, ale i cholernie spóźniona, a na stole, niegdyś obfitym jak uda arabskiej tancerki, zostały głównie plamy po winie i ogryzione, żalose szczątki kurczaka. Gdy patrzysz na to dłużej, zdaje ci się, że to jakaś koszmarna fatamorgana, czujesz się, jakbyś wstąpił na cmentarz dla zwierzaków – wszędzie tylko kości, białe resztki, szpik i marny kawałek wątróbki, na który rzucasz się wygłodniały niczym ofiara polityki Stalina i wtedy okazuje się, że to ktoś zrobił ci psikusa, bo to, co wylądowało w twoich ustach, to – jak dokładnie poznajesz po zapachu, smaku i fakturze – wcale nie kurza wątróbka, ale pospolite psie odchody.

I kiedy tak stoisz z rękami wiszącymi po obu stronach jak bezwładne gałęzie, śmierdząca

maż wycieka ci z szeroko otwartych ust, a inni na twój widok śmieją się do rozpuku, to to jest właśnie upokorzenie.

Zaciska dłonie w pięści. Patrzy na leżący na stole nóż. Ma nieodpartą potrzebę sięgnięcia po niego, odwrócenia się i wbicia go w tętnicę tego tłustego potwora, a potem patrzenia z satysfakcją, jak na bielone ściany luksusowej restauracji tryska fontanna krwi, wszyscy klienci są w tej krwi skąpani jak w finałowej scenie filmu *Carrie*. Wszyscy elegancyści państwo w toczkach, futerkach, frakach nagle widziani przez czerwony filtr. Ufajdani posoką od stóp do głów, taki pomysł na szybki makijaż sylwestrowy. A później, gdy będą zajęci swoją złością, przerażeniem, moczeniem swych cennych ubrań w soli celem wywabienia plam, podchodziły do każdego i podcinała gardło, szybko i z precyzją, a może i niektórych potraktowałyby z większą fantazją i wyrwałyby im krtań.

Tamara kręci sobie ten miły film okiem miniaturowej, zainstalowanej w głowie kamery. W jej żołądku zaciska się pięść, ścisza ją od wewnątrz, dławi wszystkie narządy wewnętrzne. Teraz właśnie przydałaby jej się joga, medytacja lub choćby szybki telefon do powiatowego guru.

Tymczasem Bernard już zdążył zapłacić i popycha Tamarę delikatnie, acz stanowczo, do wyjścia. I kiedy tylko szklane drzwi restauracji zamykają się za nią, niemal uderzając ją w plecy, a Bernard niby-naturalnym ruchem próbuje umościć swoją niezgrabną dłoń na jej ramieniu, Tamara nie wytrzymuje, odwraca się do niego z impetem i syczy, niewyraźnie, pijana, swoimi ustami upstrzonymi czerwonym winem:

– Dlaczego myślisz, że mogłabym się ruchać z kimś tak obleśnym jak ty?! Nie widzisz, jak wyglądasz?! Wyglądasz jak warzywo wywleczone z ciemnej piwnicy! Jesteś obleśny, rozumiesz?! Obleśny i głupi! Nic dziwnego, że żona cię nie chce!

Bernard robi się czerwony na twarzy. Przez chwilę wygląda, jakby się miał rozpłakać, potem jakby był na skraju jakiegoś nerwowego załamania, wybuchu, wyciągnięcia karabinu i wystrzelania wszystkich przechodniów wkoło. Kolory na jego twarzy zmieniają się jak światło stroboskopu na dyskotecie. Otwiera usta i po chwili je zamyka.

– No co, panie sflaczały kutasie? – dorzuca Tamara. – Potrzebny ci numer do burdelu?! A w ogóle to dentysta się pytał o ciebie! – Tu pije do jego zębów ustawionych po całych ustach z ułańską fantazją, przypominających powojenną zabudowę Warszawy.

Bernard odzyskuje władzę w swoim ciele, zasysa w płuca ogromny haust powietrza.

– Co ty sobie wyobrażasz? – pyta. – Że kim niby jesteś? Wszyscy wiedzą, że jesteś

alkoholiczką i ćpunką, myślisz, że dlaczego wypierdolili cię z pracy? Powinnaś zapłacić za tę kolację! Powinienem cię zostawić z rachunkiem, szmato!

– Ha, może i powinieneś – mówi Tamara – ale podobnie jak twój kutas, jesteś frajerem!

Bernard waha się przez chwilę, po czym bierze wielki zamach i uderza Tamarę prosto w twarz, na odlew. Tamara przewraca się pod restauracją, w której klienci właśnie lekkim ruchem ręki domawiają kolejne wina, frykasy. Elegancką atmosferę lokalu podkreśla wystrój – lawendowe obrusy, świece w kolorze zgaszonej oberżyny. Dyskretne, ciepłe światło oświetla pełne spokoju i zadowolenia twarze klientów. Ich toczki, futra, fraki wiszą grzecznie na wieszakach. Zdarza się, że czasem spadną na nie drobne, niewidoczne gołym okiem cząsteczki kurzu.

Świat składa się z cząsteczek. Cząsteczek układających się w przedmioty. Zatem zawsze, gdy otwierasz oczy, masz przed sobą jakąś postać świata: drzewo, krzesło, stół. Kawałek kołdry, twarz osoby, z którą dzielisz łóżko. Butelkę wódki, kałużę rzygów, cokolwiek – w zależności od trybu życia. Kiedy z jakichś przyczyn istniejąca obiektywnie materia odmawia współpracy z tobą, znaczy to, że albo jesteś krótkowidzem, albo osobą pijaną, naćpaną, oszołomioną poczynionymi na twym ciele torturami lub zwyczajnie nieżywą.

Kiedy Tamara otwiera oczy, zaczyna zastanawiać się nad właściwą dla siebie wersją zdarzeń. Świat, który przed sobą widzi, nie jest bowiem ciałem stałym, ale mieszaniną cząsteczek, których nijak nie da się poskładać, nawet gdyby się było mistrzem w scrabble. Dopiero po chwili coś zaczyna przed nią majaczyć, jakby ktoś łapał ostrość w aparacie, i z trudem układa się w kształt przywodzący na myśl białego mężczyznę w wieku rozrodczym.

– Ma pan może kwasa? – pyta go Tamara głosem, którego sama nie rozpoznaje; brzmi, jakby dostała rolę opętanej w najnowszym *Egzorcystcie*. Nie wiadomo, czy to szatański, chrapliwy głos, czy treść pytania sprawia, że mężczyzna cofa się o dwa kroki; wygląda na to, że nie zostaną przyjaciółmi na Facebooku. – No, podobno jak się weźmie kwasa, to świat składa się z idealnie przystających do siebie części – obrusza się Tamara. – Można go ułożyć w całość, jak puzzle.

– Dzwonię po policję – mówi ten nieprzejednany osobnik.

Tamara spogląda przed siebie i zaczyna powoli łączyć fakty: białe wdzianko, wypolerowane paznokcie, bliskie sąsiedztwo restauracji – ten pan to kelner.

– Nie, nie! – protestuje z nagłą siłą. – My z narzeczonym mieliśmy sprzeczkę. Wie pan, żyjemy jak pies z kotem. – Kiedy próbuje się uśmiechnąć, z kącika ust spływa jej krew. Wyciera ją rękawem płaszcza, mimochodem, jak zaprawiony w bojach bokser. Wstaje, czując się jak pasażer statku cierpiący na wyjątkowo silną chorobę morską. Jej ciało przechyla się raz w prawo, raz w lewo, niezgodnie z intencjami Tamary, jakby ta była kurczakiem z uciętą głową. Uderza o jakieś kanty, nagie mury, natrafia na sprzeciw miasta. – Nic takiego, wie pan. Do wesela się zagoi. – Coś tam jeszcze mówi, kręci głową (którą jednak, co zauważa z ulgą, ma na karku), przeprasza i mimo dywersji ciała, które wybiło się na niepodległość i samo sobą steruje, próbuje



szybko oddalić się z tego miejsca, gdzieś dalej, w miasto, tak żeby to miasto zakryło ją swoim czarnym skrzydłem.

Miasto jest jak ciemne płótno upstrzone kilkoma jasnymi plamkami – światłami wież kontrolnych, zagubionych samochodów i szyldów sklepowych. W witrynach sklepowych odbijają się twarze pojedynczych przechodniów. Przechodnie unikają wzroku Tamary, myśląc: biedna narkomanka. A i ona nie chce na nich patrzeć. O wiele bliższe zdają jej się sklepowe manekiny, białe i głuche, patrzące na świat martwym wzrokiem. W ich zimnym spojrzeniu znajduje jakieś dziwne zrozumienie. Czasem wydaje jej się, kiedy tak idzie, nie wiedząc do końca, gdzie jest, oszołomiona alkoholem, narkotykami, otrzymanym w twarz ciosem, że może znalazła się w tajemnym świecie manekinów, w ich mieście. Rządzi nim Pan Manekin wraz z żoną, Panią Manekin, wystawiają tu dziwne przyjęcia, dzieją się na nich rzeczy, o których trzeba milczeć. Pan Manekin jest mistrzem ceremonii, a Pani Manekin jego pomocnicą, ze wszystkich ludzi na ziemi wybrali tylko ją, Tamarę, żeby asystowała przy ich obrzędach.

Coraz wyraźniej słyszy, że do niej mówią. Cały świat, który znany jest innym jako niemy, do niej mówi, a ten, który rzekomo jest we władzy języka, z jej punktu widzenia wypowiada puste i niezrozumiałe komunikaty.

Ludzie wydają jej się należeć do innego gatunku. Jakby jej skóra, włosy, dwie ręce i dwie nogi to był tylko sen o lepszym, bardziej uprzywilejowanym istnieniu, podczas gdy tak naprawdę Tamara jest jakimś gigantycznym, odrażającym ptaszyskiem, którego wszyscy chcą się pozbyć i dawno już by to zrobili, gdyby nie obowiązywały ich resztki samokontroli narzuconej przez cywilizację. Zdaje się jej, że padła ofiarą jakiegoś oszustwa. Świat ludzki tworzy wspólnotę wyglądu i mowy, tymczasem ona jako gigantyczne ptaszysko nie dość, że zdradza się swoimi piórami, rosnącymi wszędzie tam, gdzie inni mają nagą lub owłosioną skórę, to jeszcze nie może mówić – wszystko, co potrafi, to wydać jakiś niezrozumiały dla nikogo dźwięk, otwierając swój wielki, zakrzywiony dziób. Woli więc milczeć, żeby przynajmniej głosem się nie zdradzić, lepiej grać w tę grę pozorów tak długo, jak się da. Ale głęboko w środku przeszywa ją straszna i dziwna świadomość: jest olbrzymem na wyspie liliputów albo liliputem na wyspie olbrzymów.

Czuje się nagle jak ci seryjni mordercy, którzy w mediach utrzymują, że są spoza tego świata. Że niby spadli na niewłaściwą planetę jako wyjątkowo zgnuśniała drobina kosmosu i teraz, umownie nazwani ludźmi, robią te wszystkie okropne rzeczy, których od nich wymaga ich osobność. Niweczą obowiązujący we wszystkich ludzkich społeczeństwach zakaz „nie

zabijaj”. Gwałcą owce. Mimo zakazu palą papierosy w miejscach publicznych. Pokazują gołą dupę. Krzyczą. Są totalnie aspołeczni. Uważają się za Chrystusów i są pewni, że przeszliby rzekę Wisłę, gdyby tylko ktoś na chwilę wypuścił ich z tego zakładu. W którym nie wiadomo czemu się znaleźli, skoro siedzą tu same świry.

Tamara czuje teraz z nimi dziwne powinowactwo. Nie ma wprawdzie żadnej fauny, którą mogłaby ostentacyjnie zgwałcić, nie ma miejsca odpowiedniego ku temu, by się obnażyć, ukazując skuteczność brazylijskiej depilacji („brazylijska depilacja zmienia wszystko!” – czytała o tym ostatnio), a jednak ma wrażenie, że przestała cokolwiek z czegokolwiek rozumieć.

Coraz częściej, patrząc w oczy zwierząt, zastanawiała się, kim są. Kim jest ten pies, który na mnie patrzy? I w jego oczach odszukiwała coś, czego nie potrafiła nazwać, ale co powodowało, że stawała twarzą w twarz z nieznanym wcześniej rodzajem przerażenia.

I teraz też, idąc tym ciemnym miastem, miastem, które nie ma konturów, czuje się samotna jak zwierzę prowadzone na rzeź. Przynajmniej tak jej się wydaje, to musi być taki typ samotności: wiesz, że przechodzisz ostatni odcinek swojego życia, i nikt ci w tym nie towarzyszy, otaczają cię obce twarze, nikt nie dotyka twojej skóry i nie próbuje opanować twojego bezgranicznego strachu. Myślała zawsze, że skoro cały arsenał osvajania śmierci – kwiaty na wodzie, łódki, całuny, zgromadzenia, modlitwy, urny, minuty ciszy – należy do świata ludzi, to zwierzę nie umiera, ale znika – bo *umieraniu* należą się obrzędy. I że gdyby zajrzeć w oko cyklonu oraz do rzeźni, prawdopodobnie można by zobaczyć ten sam rodzaj przerażenia.

Przez dłuższy czas wydaje jej się, że jej nie ma. Kiedy przechodzi obok witryn sklepowych, luster, nie potrafi dostrzec w nich swojego odbicia. Jedyнным sygnałem świadczącym o tym, że być może jednak istnieje, jest to, że za każdym razem, gdy próbuje przełknąć ślinę, czuje w ustach smak ciepłej krwi. Po dłuższym czasie dociera do niej także do tej pory nieobecny świat, najpierw tylko majaczy przed oczami, a wraz z upływającymi minutami tężeje i przybiera kształt poszczególnych budynków, ulic, murów. Stare Miasto.

Jest piątek, wczesna noc, pewnie około dwudziestej drugiej. Jesień przestała już kryć się ze swoją obecnością i sunie dumnie rynkiem, strącając ludziom czapki z głów. Raz po raz ktoś ją mija, najczęściej grupki roześmianych, zagranicznych turystów. Tamara rzuca im czasem krótkie, nerwowe spojrzenia, kręci głową na prawo i lewo jak przestraszony ptak. Przez chwilę myśli sobie, że może wmiesza się w ten radosny tłum, popłynie wraz z nim, jak płyną łodzie w dół rzeki. W ten sposób się oszuka, przekona siebie samą, że ma dokąd pójść i z kim się spotkać. Ot

właśnie, jak inni, spieszy na umówione piątkowe spotkanie z grupą przyjaciół w jednym z pobliskich pubów.

A tymczasem miasto znów wymierza jej siarczasty policzek. Jego kontury wypełniają się, powstaje wyraźny, odpychający kształt. Strup miasta.

Być samej w mieście w nocy – sytuacja trochę jak we śnie, trochę jak na haju (na którym Tamara zresztą ciągle jest). Masz nadzieję, że miasto cię gdzieś poprowadzi, przede wszystkim poza siebie, że będzie jak ten słynny grajek przygrywający szczurom, zwabi cię pięknem swojej melodii i pójdiesz za nim ochoczo, jak szczur, którym w końcu jesteś. Weźmie cię za rękę i poprowadzi sobie tylko znanymi ścieżkami aż ku krawędzi nocy, tam, gdzie należy wypatrywać rozwiązania.

Nadzieja, ta wyrodna matka, którą dobrze znają policjanci z oddziału prewencji.

Co więc, kłaść na nią łaskę? – myśli Tamara i nieco się rozpogadza. Nadzieję można wyrzucić z Facebookowych kontaktów, inna sprawa to znajomość Tamary z piwem, z alkoholem, to jest przyjaźń głębsza, bardziej zaawansowana i lepiej rokująca. Pod palcami zanurzonymi w kieszeni czuje zwitek banknotów. Równouprawienie ją jeszcze z niego nie ogołociło. Wkoło migoczą zapalone okna pubów, wabią przechodniów jak syreny zbłąkanych żeglarzy. Tamara jest takim żeglarzem, dryfującym na jednoosobowej barce po niechętnych wodach Warszawy. W miejscu, w którym się znajduje, jest ciemno i mokro, ale przecież tam, tam jest światło. Nawet jej ciało zachowuje się teraz jak pokorny majtek – słucha swego pana kapitana, chodzi tak, jak pan mu zagra. Teraz więc – myśli Tamara – zachowam się jak należy. Teraz, jak prawdziwy marynarz, wejdę do tawerny i porządnie się napięrdolę.

Mówią, że życie to żart ze złą puentą, nie wiadomo, czy temu wierzyć, pewne jest natomiast, iż żartem jest lokal, do którego wchodzi Tamara. Wygląda on jak pokój kogoś, kto nie może się zdecydować, czy lepiej być poddanym Pana Szatana, czy miłośnikiem kultury ludowej w jej odmianie disco. Ozdoby po jednej stronie baru dostarczyła najwyraźniej firma produkująca gadżety z przeznaczeniem na czarne msze – świeczniki w kształcie głowy diabła, bordowe serpentyny niby zrobione z jelit, wielkie, miedziane donice pozbawione kwiatów, służące zapewne do przelewania niewinnej krwi, wreszcie mały zestaw rycerza ciemności – miecze, szable, noże, oczywiście ułożone na opak, ostrzem do góry. No i skóra dzika zawieszona nieśmiało w rogu, jego szklane oczy omiatają to wszystko pełnym powątpiewania spojrzeniem.

Tymczasem z drugiej strony baru wiszą plakaty z kobietami krzepkimi, szczególnie w okolicach biustu, kobietami ludycznej urody, w zdekompletowanej garderobie. Niektóre z nich siedzą na motorach, inne prężą swe wdzięki na tle osiedlowego lasu udającego dżunglę amazońską, krople oliwy spływają im po brązowych, uformowanych idealnie jak dobrze wyrobione ciasto ciałach. Plastikowa, wielobarwna kula kręci się ospale, oświetlając ten świecki ołtarzyk.

W jeszcze innym miejscu, w dalszych zakamarkach baru stoi figurka Matki Boskiej w aureoli złotych promieni – i ten obraz sprawia, że Tamara wpada w przestkach. Czyżby to wszystko było zwidem, zmorą nocną, czyżby to już było *delirium tremens* i obecnie Tamara stoi u progu Królestwa Niebieskiego po to tylko, aby się przekonać, że ma zakaz wjazdu, bo jest full gości, Niebo musi przestrzegać przepisów przeciwpożarowych, gdyż w tej sprawie istnieje podejrzenie celowego działania ze strony tego rajy dla piromanów, czyli położonego piętro niżej Piekła? Tamara myśli teraz, że wcale nie miała ochoty wchodzić do tych klubów; skoro jej nie przyjęli, to nie warto było należeć.

Po chwili jednak wraca myślami do rzeczywistości – to jednak lokal, miasto Warszawa, czas teraźniejszy, wcale nie rojenia jej umysłu. Matka Boska jest figurką ukradzioną prawdopodobnie z któregoś z praskich podwórek i na pewno nie przemówi do niej, i jej dusza, której zresztą prawdopodobnie wcale nie posiada, nigdy nie będzie zbawiona. Szczególnie że wzrok Tamary kieruje się ponad tę wątpliwą ozdobę knajpy, tam, gdzie wisi tabliczka „Po

skończonej pracy załóż majtki” i parę podobnych, z amerykańskim wezwaniem do armii, z reklamami papierosów; prócz tego nad barem zalegają rozmaite świecidełka, stare samochodowe karoserie, świece, zwiędły rododendron, pocztówki z wojska, jelenie poroża z milionem dzikich, niepłacących czynszu mieszkańców: pluskiew, bakterii i roztoczy. Nad tym wszystkim tłą się nerwowo zdjęte z choinki lampki. Całość robi piorunujące wrażenie, coś jak muzeum całego świata.

Tamara przeżywa dysonans poznawczy. Podobnych uczuć doświadczyła, gdy kiedyś zaprosił ją na randkę doktor filozofii i fizyki, usztywniony pan w garniturze; godzinami rozprawiali o emergentnych fotonach wynurzających się z multiversum na jeden jedyny moment interferencji z fotonami naszego świata, jak również o tradycyjnym paradygmacie klasyfikowania Hume’owskiej teorii moralnej i wielu innych ciekawych sprawach, choć może nazywanie tego rozmową jest jednak nadużyciem, był to raczej monolog uczonego, który po skończonym wykładzie zapytał Tamarę, jak sądzi, gdzie leży prawda, na co ona, przerywając wreszcie milczenie, odrzekła hardo, z pełnym przekonaniem i z kamienną twarzą: *in vino*. I wychyliła swój kieliszek. Po skończonej kolacji poszła oczywiście do niego, mając nadzieję na kolejny kieliszek wina i kulturalne zakończenie wieczoru, jednak pan doktor zmienił dyskurs z prędkością światła; gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi jego kanciapy, spojrzął na Tamarę wzrokiem nazistowskiego oprawcy, przyparł ją do ściany, włożył jej rękę między uda i wycedził jej prosto w twarz:

– Rozbieraj się, rozkładaj nogi. Widzisz to, tam, w tym wazoniku przy ścianie? To mój dyplom doktorski, teraz będę cię nim ruchał, mam nadzieję, że masz okres.

Tamara nigdy nie dowiedziała się, z którego kierunku był to dyplom.

Tak czy siak, wtedy została wytrącona z poznawczych kolein. Teraz też tak jest, przez chwilę. Bowiem jednak Tamara ma to gdzieś. Ma gdzieś wystrój baru. Równie dobrze mogłaby zstąpić do prawdziwych piekieł, na grilla do prawdziwego Pana Szatana – nie interesuje jej dobór mebli w knajpie ani towarzystwo. Liczy się to, co się liczy dla każdego szanującego się alkoholika – alkohol w dużej ilości. Więc dobrze trafiła, bar ugina się pod ciężarem butelek, rzecz można, ważą się jego losy w zetknięciu z tyloma litrami płynów.

Siada przy barze, z trudem. Decyduje, że będzie pić alkohol wysokoprocentowy. Kiedy przychodzi do niej barman, zamawia pięćdziesiątkę piołuna. Jakby chciała się ukarać, bowiem nie cierpi piołunówki – po zmęczonej głowie Tamary kołacze się jednak odległe wspomnienie

piołunówki pitej gdzieś w parku, lata temu, po liceum. Boi się, że zaraz odezwą się w niej jakieś sentymenty, boi się, że zaraz poprosi barmana, żeby zagrał *Nie płacz, Ewka*, żeby przyznał się do prenumerowania „Bravo” albo wspomniał swojego pierwszego walkmana. Postanawia więc zająć się alkoholem, szybko podnosi kieliszek do ust i wypija jednym haustem całą jego zawartość. I nie musi uruchamiać oczu duszy swojej, aby wyczuć, że już ma tak zwany ogon – już uaktywnia się ciekawość jakiegoś mężczyzny siedzącego dwa krzesła dalej, Tamara czuje na sobie jego palący wzrok, nocny radar łowcy został uaktywniony.

Skręca głowę w lewo i przygląda mu się z uwagą – na tyle, na ile pozwala jej stan oszołomienia alkoholowego i otrzymany nie tak dawno cios w twarz. Facet nie jest lepszy od tamtego. Kolejne kłaczki ziemniaka występujące pod szumną nazwą „człowiek”. A może to po prostu upojenie alkoholowe Tamary powoduje, że chłopak przypomina kubistyczny obraz Picassa – nos, usta, oczy, wszystko niby ma, ale nie na swoim miejscu. Początkowo Tamara zamierza nadać prosty komunikat, zamykający się w żołnierskim słowie „spierdalaj”. Po chwili jednak mięknie, jej stanowczość rozplywa się jak asfalt pod wpływem słońca. Niby dlaczego ma się tu sama frajerować, stawiać sobie alkohol? Jest jakiś ziemniak obok, w to jej graj. Uśmiecha się więc uprzejmie w kierunku jego twarzy, starając się usilnie namierzyć jego oczy, ze zmiennym szczęściem. Przynęta została zarzucona, a rybka złapana – mężczyzna wstaje ze swojego krzesła, przesiada się na miejsce obok niej, uśmiecha się swoją szczerą twarzą, wygląda jak wielkie, szczerbate słońce, które przez przypadek zabłąkało się w swoich wędrówkach, wpadło za horyzont, w objęcia nocy.

– Przepraszam cię na chwilkę, szefie. Muszę koniecznie skorzystać z toalety, lecz do twojej wiadomości: piję tylko najlepszą whisky z colą – informuje uprzejmie Tamara w myśl zasady, że tylko pewność siebie jest wózkiem, na którym można gdziekolwiek zajechać, po czym łapie torebkę w jedną rękę, przezorny zawsze ubezpieczony, i posyłając jeszcze jeden hollywoodzki uśmiech, leci w kierunku zakładowej ubikacji.

Kiedy zamyka za sobą drzwi i spogląda na swoje odbicie w lusterku, zaczyna docierać do niej znaczenie słowa „apokalipsa”. To nie może być ona! To, co się odbija w lustrze, to jakiś bazyliżek! To jest zdjęcie skazańca pojmanego po tygodniowej ucieczce przez bagna dżungli amazońskiej! Ta twarz, zresztą rozjeżdżająca się też kubistycznie na wszystkie strony, delikatnie mówiąc, wygląda na obcą – jest wymęczona, wymięta; szara kartka wyrwana z brulionu i zmięta w kulkę. Pod nosem zastygła jej strużka krwi, nie wspominając o tym, że zrobiły jej się pijackie

zajady – w kącikach ust uformował się biały nalot. Powieki zatrzymały się jak zatrzymany w połowie zwodzony most. Wygląda jak chomik wyprany w pralce automatycznej. Zastanawia się, o co chodzi temu tam koleśowi, przecież nie o kradzież komórki, tego już się chyba od dawna nie praktykuje, poza tym wzięła ze sobą torebkę! Skoro jej uroda jest dziś na zwolnieniu, to o co, u diabła, mu chodzi?! Przecież tylko na urodę da się złapać tę rybkę, jaką jest mężczyzna, uroda jest tym patykiem, który mu się rzuca, krzycząc: aport! Chyba że to wszystko było fatamorganą, zwidem nocnym. Ale nie dotarła chyba jeszcze do stadium delirycznych wizji. Przestraszona Tamara uchyla nieco drzwi, wystawia przez nie głowę i omiata wzrokiem bar. Jest, jest, siedzi tam, gdzie siedział, a do tego przed nim stoją dwa równiutkie drinki! Problemy ze wzrokiem, ma z okulistą na pieńku? Tamara nie znajduje rozwiązania.

Spogląda więc znowu w lustro, napawa się przez chwilę obrzydzeniem do samej siebie, po czym odkręca wodę, nabiera jej w dłonie i chlusta sobie w twarz, co za orzeźwiający kompres. Czyści twarz z zajadów, krwi, brudu miasta, który na niej tłumnie osiadł, próbuje również nieco przywrócić do pionu swoje roztrzęsione myśli. Piątek wieczór, środek miasta, lokal pod tytułem bar – przemawia sobie do rozsądku Tamara. Pora się napić, pora działać. Zgodnie z tym postanowieniem rozsuwa drzwi, jakby była szeryfem wchodzącym do saloonu. i dosyć pewnym krokiem wraca na swoje miejsce przy barze.

– Czemuś mi nie powiedział, że wyglądam tak nieprzystojnie? – próbuje obrócić wszystko w żart, biorąc solidny łyk whisky.

– No co ty, wyglądasz świetnie! – mówi koleś. – Od początku miałem ci powiedzieć: podobasz mi się, nie spierdol tego.

O mój Boże, nie jest dobrze – myśli Tamara – co to za grepsy sprzed dekady. Ale nic, whisky jest, jak jest whisky, to inna rozmowa.

– Jak ci na imię? – zapytuje go, sadowiąc się grzecznie na krześle obok.

– Alan – odpowiada facet, szczerząc zęby w uśmiechu.

Alan. Ha, ha – jego imię bawi Tamarę, jednak pojęcie pokerowej twarzy nie jest jej obce, zatem powstrzymuje się od komentarzy i innych niekulturalnych reakcji.

– Tamara. – Podaje mu swą dłoń.

– Zawsze tak dużo pijesz? – pyta Alan.

– Tylko wtedy, kiedy jestem zjarana. – Tamara się śmieje.

Kiedy następuje etap amerykański – wyznanie profesji – Tamara dowiaduje się, że

chłopak jest artystą. Gra w zespole rockowym o nazwie Steal This You Die.

– Steal This You Die? To jakaś akcja przeciw kleptomanii? – Tamara znowu się śmieje, whisky jest paliwem, które na nowo zasila jej dogasający silnik. Dowcipy zaczynają kręcić się jak koła samochodu, a dźwignia ustawiona jest na błogosławiony i tak pożądaną luz.

– A ty czym się zajmujesz? – pyta chłopak, ignorując pytanie, którego, jak można mniemać, nie zrozumiał.

– Jestem dopychaczem w metrze.

– Nie no, ale serio.

– Serio to gram Dariusza w *Trudnych sprawach*.

Chłopak wygląda, jakby ktoś mu opowiedział za trudny dowcip, uśmiech wstępuje mu na twarz, ale połowicznie, jakby był nakręconą tylko do połowy zabawką na sprężynie. Ale zaraz ten muzyk estradowy przechyla się przez bar i mówi pracownikowi lokalu, aby połał bez wahania następną kolejkę. Cieszy to Tamarę, cieszy to ją bardzo, kątem ucha słucha więc różnych jego morskich opowieści, w których porusza on tematy związane z nietrzeźwością i kopulacją. Uwalniane z jego ust słowa wirują wokół Tamary, jakby była rozpaloną w letni wieczór lampą, a one sierpniowym robactwem. Prawie że czuje na sobie trzepot ich wątłych, mglistych skrzydełek. Ma wrażenie, jakby opadał z nich pył, już za chwilę umrą, bo żywot owadów, tak jak żywot słów pozbawionych adresata, jest krótki. I kiedy Alan wyrzuca z siebie mrozące krew w żyłach opowieści o tym, z kim pił, co pił, co ćpał, jakie miał kace, ona, w której alkohol coraz mocniej wybija rytm, czuje się jak żeglarz na morzu odpływający coraz dalej i dalej od ludzkich osad. Słowa Alana brzmią coraz ciszej, jakby ktoś uparcie ściszał magnetofon, już po chwili w ogóle ich nie słychać, jakby ktoś uwięził Tamarę w szklanym naczyniu i zakręcił pokrywkę; widzi, że chłopak otwiera usta i coś mówi, ale słowa do niej nie docierają – trochę jak w koszmarnym śnie, kiedy ktoś próbuje usilnie ci coś wytłumaczyć, ale okazuje się niemową. Otulona szczelnie swoim kokonem, Tamara przypomina sobie te wszystkie chwile, kiedy dryfowała po ciemnych, wzburzonych falach miasta i dopiero świt wyrzucał ją na brzeg, jak wielkiego wieloryba – w nagłym słońcu widać było wszystkie jej blizny, startą skórę, była jak pasażer tonącej szalupy, tonącej bardziej z każdą godziną, która zbliżała ją do krawędzi dnia, a wraz z jego nastaniem nieuchronnie posyłała jej małą żaglówkę z papieru na dno, licha moneta wrzucona do wulkanu.

Przypomina sobie, jak pewnego wiosennego poranka wytoczyła się z klubu w centrum



Warszawy. Była tak pijana, że z trudem utrzymywała się w pozycji pionowej, a tuż po wyjściu z lokalu utrudniło jej to jeszcze słońce, które uderzyło w nią z impetem. Zasłoniła twarz dłonią, jak przed napastnikiem, a kiedy wreszcie podniosła wzrok, próbując zorientować się, gdzie jest, który to ze światów, co to za miasto i co to za część miasta, zaczęła się zastanawiać, czy występuje jeszcze pod pojęciem człowieka, czy może tej nocy nastąpiła w końcu jej straszna przemiana w podziemne, nocne zwierzę? Czy w okolicach ust będzie mogła wyczuć lepki, ruchliwy ryjek doskonale przystosowany do chwytania larw, a jej nagle wyrosłe łapy będą ryły już tylko w głąb ziemi, do wewnątrz, już tylko tam będzie mogła iść, w nieodwołalnie podziemnym kierunku, zostawiając za sobą na powierzchni niepozorne kopce? I kiedy tak myślała, jej umęczony wzrok padł na dziecko wychodzące z mamą z kościoła – jedną ręką trzymało się kurczowo jej ręki, a w drugiej równie kurczowo ścisnęło małą, kolorową palmę wielkanocną. Światło uderzyło także w tę parę, a Tamara przez chwilę myślała tylko o tym, żeby do nich podbiec i zamienić się z dzieckiem miejscami. Ale jedyne, co mogła zrobić, to przesunąć się dalej, w cień.

Do rzeczywistości przywraca ją dłoń Alana lądująca na jej kolanie. Tamara myśli, że kiedyś, będąc tym, czym jest, to znaczy tak zwaną kobietą, czyli ciałem o specyficznej konstrukcji, będąc tym, co z dwojga złego zawsze jest tym większym złem, nie mogłaby nic zrobić i pewnie chciałaby wszystkiego, dziś natomiast, kiedy wszystko mogła, już niczego nie chciała. Tylko siedzieć na balkonie, kupować kolejne paczki papierosów, palić te papierosy metodycznie, jeden za drugim, urządzać sobie ciche zawody w paleniu na czas, ćwiczyć się w obserwacji równomiernie rosnącego przed nią stosiku niedopałków o ukręconych głowach: martwego jak oczy lisów na wystawach salonów kuśnierskich. Sama była takim lisem, choć akurat oczy pozostały w niej żywe, tylko one.

A po chwili myśli sobie, że nie, jest jednak parę rzeczy, których właśnie teraz by chciała. Których by sobie okrutnie właśnie w tym momencie życzyła. Otóż chciałaby, żeby wyniesiono ją do lasu, wepchnięto jej knebel w usta i wciśnięto kolano w jej krocze. Chciałaby, żeby zawiązano albo najlepiej wydziobano jej oczy, odrąbano ręce, żeby nie mogła się bronić, żeby wreszcie nie mogła w swojej sprawie protestować. Chciałaby, żeby grano na cały regulator marsz pogrzebowy albo coś Rammsteina, a potem chciałaby, żeby wydawano jej rozkazy i mówiono, jakim jest ścierwem, a potem żeby ją przelatywano, niweczając chłód i mrok, i żeby swoimi nieistniejącymi już oczami, oczami, które prawdopodobnie już rzucono na zakąskę okolicznym gryzoniom,

mogła widzieć przed sobą nazistowską czapkę.

Chciałyby zostać czyjąś zdobyczą, zamienić się na miejsca z leśną zwierzyną łowną, być wdeptaną w ziemię, rozstrzelaną i zostawioną tu na wieczność, pod sosnowym drzewem, jako ofiara czyjejś żądzы krwi, chciałyby zostać wreszcie taką ofiarą, nie łowcą, nie myśliwym, ale właśnie ofiarą, zdławioną i pokonaną, pozostawioną tu w formie stygnącej bryły mięsa ze strużką krwi cieknącej z jej otwartych, zdziwionych ust. Chciałyby doskonale wpasować się w ten las jako coraz mniej zachęcający korpus, białe, zimne ciało, które poddaje konserwacji nieśmiało wstępujący na arenę, pierwszy tego roku przymrozek.

A kiedy jej myśli ślizgają się w stronę krawędzi tego baru, żeby z niego spaść, popłynąć w dół na wieczne zatracenie, przed nią otwiera się cała przestrzeń życia wraz z zielonymi pagórkami, dachami sklepów spożywczych, sznurem aut sunących leniwie w kolejnym tego dnia korku, ludźmi łączącymi w różnych kierunkach bez składu i ładu, jakby stracili kierunek, jakby królowa matka tego mrowiska została właśnie nieodwołalnie zamordowana. To wszystko tak trzymało Tamarę w swoich żelaznych łapach, że nie mogła nawet głośniej krzyknąć, a jej fantazje zostawały tam, gdzie były, w okolicach żołądka, i wymierzały jej tam cios pięścią.

Fakt, że coraz rzadziej oprotestowuje oferty seksualne, może wynikać z tego, że z roku na rok jest ich mniej. Gdyby jako licealistka założyła seksualny dzienniczek, miałyby dziś kartoteki dorównujące grubością tym z najsłynniejszych procesów politycznych. Teraz, gdy przekroczyła magiczną barierę trzydziestu lat, ruch w interesie zmniejszył się mniej więcej o połowę, ale takie są prawa rynku, konkurencja wychodzi z nowszym towarem, swoim ciałem jak spod igły, bez otarć i blizn. Ludzie nowalijki są pod wszystkimi względami atrakcyjniejsi niż te przekwitłe chwasty, którym w odpowiednim czasie najlepiej byłoby ściąć głowę.

A jednak Tamara wciąż prezentuje się całkiem, całkiem, mimo że wewnątrz składa się z jednej, wielkiej, trójwymiarowej rysy, jest dziurawa i to, co w nią wpada, natychmiast z niej wylatuje, niewiele zostaje w środku, a jeśli już, to sama szumowina pływająca po powierzchni. No ale co tam, chyba tego nie widać. Ta niewidoczność działa na korzyść Tamary, szczególnie kiedy się uczesze i pomaluje, a co dopiero kiedy założy szpilki. Tak jak teraz, odkąd poprawiła w toalecie swój utykający wygląd.

– Ładna pani. – Alan próbuje być dowcipny i szarmancki, uważa, że to najlepszy sposób na zapewnienie swojemu kutasowi miękkiego lądowania. Zainwestował już w to dwa drinki.

A skoro o tym mowa, to Tamara dostrzega w swojej szklance pustkę, a jest to refren

najbardziej przez nią nie lubiany. Powoli zdejmuje więc dłoń kolegi ze swojego kolana i mówi wymodulowanym głosem:

– Ładna pani wypiłaby jeszcze jednego drinka.

Tak, alkohol jest jej paliwem i Tamara zawsze musi mieć pełny bak, dopóki nie spadnie z barowego krzesła, dopóki na zerwanym filmie nie wróci do domu ciemnym i nieczułym miastem opływającym taksówkę niby wielka, radioaktywna breja. W ramach interakcji mrugnie do niej czasem jakiś wysłużony neon – powidok w jej zmęczonym, opadającym oku.

Ale to jeszcze nie ten etap, Tamara chce jeszcze pić, chce alkoholu, który by postawił do pionu tę chwiejną chorągiewkę, którą jest ona sama. Oczywiście targu tutaj nie dobiją, chłopiec musi przegrać na całej linii te negocjacje, bowiem Tamara i seks to są wyrazy wzajemnie do siebie nieprzystające, ich pisownia jest wybitnie rozłączna. Tamara zrezygnowała z tego procederu z premedytacją, a reaktywacja się nie powiodła.

Szkoda, że chłopiec tego wszystkiego nie wie, ale nie jest celem Tamary go oświecać, obce są jej kaznodziejskie zapędy. Przez chwilę, sącząc nowego drinka, Tamara zastanawia się, jakiego on może mieć fiuta, myśli te wywołują w niej obrzydzenie. Na szczęście świat znów występuje pod niezobowiązującą postacią wielobarwnej plamy przed oczami, co tłumia uczucie wstrętu. Kształty nie są wyraźne, kontury słabo zaznaczone, świat jest nieco wyzuty z samego siebie, a zatem mniej dokuczliwy. Tamara woli jego gościnne występy w takiej właśnie postaci. Świat dystrybuowany przed jej oczami w formie obłej plamki – to podoba jej się bardzo. Jakby znajdowała się w sali prób rockowego zespołu, w szczelnie wytłumionym pomieszczeniu, do którego nic nie dociera. Świat uderza o mury pomieszczenia i odbijając się od nich, z impetem wraca, skąd przyszedł. Jest to ulga chwilowa i rozpaczliwa, coś jak histeryczny śmiech ściganych podczas hitlerowskiej łapanki, ale dobre i to. Błogosławiony alkohol.

Tamara – w otulinie alkoholu, a jednak wciąż we własnej skórze, strzęp człowieka ciągle jeszcze zbyt żywy, by mógł zostać podany do stołu, chyba że Panu Bogu na przystawkę. Dłoń mężczyzny znów lądująca na jej kolanie jest jak widelec dłubiący w mięsie, mięsie, które mimo wszystko współpracuje jeszcze ze swymi zakończeniami nerwowymi, a więc jest podobnym eksperymentom niechętnie. Alkohol konserwuje od środka to mięso, które bez alkoholu dawno by zgniło, rozpląnęłoby się z tłustym chlupotem. Jednak kiedy ta marynata zostaje już sporządzona, jedynym pomysłem Tamary na dalszą działalność jest wyjście i wystąpienie pod nazwą „człowieka” w innej lokalizacji. Tak też Tamara robi; wymawiając się koniecznością ponownego

wyjścia do toalety, zdecydowanym ruchem strzepuje z siebie dłonie, które lądują na niej z regularnością wojsk desantowych.

Niknie w ciemnościach lokalu, przechodzi obok kradzionej Matki Boskiej, zagląda w jej plastikowe, nieruchome oczy, próbuje znaleźć w nich jakąś dla siebie poradę, jakąś kojącą wróżbę na kolejny rok, przepowiednię jak z chińskich ciasteczek, które zresztą licznie niegdyś zamawiała przez internet, bezskutecznie szukając tej jednej jedynej, wreszcie pozytywnej wróżby. Matka Boska milczy, jest niewzruszona spokojem kościelnych rzeźb, w których Tamara jako dziecko, zachęcana przez matkę, usiłowała doszukać się elementów niezwykłości. Chciała, żeby kościelne figury zapłakały krwawymi łzami, żeby do niej przemówiły, dały dowód swej cudowności, a one tylko milczały, patrząc na nią z wyższością drewna, z wyrzeźbionym, ustanowionym raz na zawsze wyrazem twarzy i firmową odpornością na ból.

Nic się nie zmieniło od tej pory – Matka Boska nadal patrzy na nią mało głębokim wzrokiem śniętej ryby, plastikowe oczy musiały zostać zrobione przez rzeźbiarza, któremu poskąpiono talentu, bowiem żadnego w nich trójwymiaru, żadnej głębi.

Matka Boska nie chce odpowiedzieć Tamarze na bezgłośnie rzucone pytanie: o co chodziło w tej krótkiej chwili, kiedy Bóg albo jego tańszy odpowiednik przybił pieczętkę w odpowiednim miejscu, decydując tym samym o uruchomieniu skomplikowanego procesu zmierzającego do wytworzenia jednej małej zygoty – jej własnej.

Tamara odwraca się od figurki, skrada się do ściany, rzuca okiem na bar, Alan siedzi tam, zamówił jej nowego drinka, biedny chłopiec, wydał na nią chyba roczne oszczędności; gdyby Tamara nie była na wszystko obojętna, mogłoby jej się nawet zrobić go żal. Ale jedynym jej zmartwieniem jest teraz dyskretne wyjście z tego lokalu, nocne znajomości powinny być jak chytre lisy – niezauważalne, niepozostawiające po sobie śladu, szybko ginące w ciemnościach.

Dlatego też Tamara zarzuca na głowę kaptur, wybiera się na całkiem inny teren łowiecki, być może zresztą wybiera się na tamten świat, na pewno, na raty.

Dobiega do drzwi, otwiera je, wychodzi, zimny podmuch wiatru wpada prosto w jej usta, a ona połyka to chłodne powietrze; przed nią rozpościera się równie chłodna, ciemna tkanina miasta, całun, który przykryje jej niszczące ciało.

Otóż znów udało jej się uniknąć seksu. Choć od trzech lat go nie uprawia, nie można powiedzieć, by jej życie seksualne poszło całkiem w odstawkę. Wręcz przeciwnie – nabrało rumieńców. Tamara uzależniła się od pornografii. Prawie codziennie ogląda na ekranie komputera darmowe, powszechnie dostępne filmy XXX i, jak to się mówi, radzi sobie sama. Jej ulubioną kategorią jest tak zwana podwójna penetracja, jedna kobieta i dwóch mężczyzn posuwających ją jednocześnie od przodu i od tyłu. Kiedy jeden z aktorów wysuwa członek z odbytu aktorki, Tamara jak zahipnotyzowana wpatruje się w rozwartą otwór, nie wiedząc czemu przywodzący jej na myśl wygasły krater wulkaniczny; jest w tym jakiś smutek.

Bierze wtedy wibrator, smaruje jego końcówkę oliwką dla dzieci i wpatrzona w ekran, zaspokaja się, bardzo szybko dochodząc. Bywa, że jest zdenerwowana faktem, iż potrafi doprowadzić się do orgazmu w ciągu minuty. Nic jednak nie może na to poradzić – jej ciało natychmiast reaguje na widok kopulujących na ekranie komputera osób, a szczególnie tej ziejącej pustką, fascynującej czarnej dziury. Niewykluczone, że jej powołaniem jest kosmologia.

Nie jest natomiast przekonana do ujęć ginekologicznych – ukazujących kobiece krocze w pełnym rozwarciu, w dużym zbliżeniu. Tak potraktowana cipa, przypominająca jej trochę rozdziawiony ptasi dziób, a trochę tajemniczy mięsny przysmak przed obróbką termiczną, wywołuje w niej niesmak, a nawet obrzydzenie. W ukutej przez Tamarę teorii filmoznawczej ujęcia odbytu mają w sobie jednak więcej magii i tajemniczości, rzec by można nawet z pewną dosłownością – głębi. A może to po prostu gra światła, zasługa zdolnego operatora? Z całą pewnością jest zrzeszony w ASC.

Seks – ten z drugim człowiekiem – stał się już dla niej abstrakcją. Jest zdziwiona, że kiedyś chciało jej się oddawać czynności zajmującej tyle czasu, fundującej tyle upokorzeń. W końcu włosy łonowe mogły okazać się niewystarczająco wydepilowane, cipa mogła mieć niewłaściwy zapach, skóra niewłaściwy kolor, zdjęcia potencjalnego partnera zamieszczone w internecie mogły okazać się nie do końca zgodne z rzeczywistością, a już pierwszy konflikt – o rodzaj zabezpieczenia, jakiego powinni użyć – pokazać, że raczej nie cechuje ich słynna zgodność charakterów.

Niemniej jednak, zanim doszła do tych pouczających wniosków, jej życie erotyczne

przypominało autobus z filmu *Speed – niebezpieczna prędkość*. Nie miała oporów, migren, nie bywała zmęczona, nie było rzeczy, których nie mogła zrobić. Zawsze miała pełne rozwarcie. Pewnego dnia postanowiła zresztą sama sobie zafundować owo słynne *double penetration*, w końcu nie ma to jak osobiste doświadczenie. Umówiła się więc z dwoma kolesiami, którzy – jak to często bywa – przesyłając jej drogą elektroniczną swoje fotografie, nie wykazali się uczciwością. Byli, jak by to powiedzieć, mało podobni do samych siebie. Jeden z nich powinien wystąpić w bożonarodzeniowej szopce w roli muła, drugi natomiast miał na wejściu wygrany casting do filmu *Mikrokosmos*, chodzi o rolę pchły. Pierwszą myślą Tamary, gdy ich zobaczyła, było: O kurwa, to dziś Halloween? A po chwili chciała im podpowiedzieć, że przesłuchania do niskobudżetowego horroru odbywają się piętro wyżej.

Lecz cóż było robić – taksówki, telefony, alkohol, środki antykoncepcyjne, narkotyki – inwestycja musi się zwrócić. Tamara nie mogła tak po prostu zostawić tych chłopaków z pustymi rękami, byłoby to z jej strony niegrzeczne. Trzeba umieć ponieść konsekwencje swoich decyzji, innymi słowy powiedzieć b, gdy się powiedziało a; wiedział to nawet Stalin, uzasadniający w ten sposób wprowadzenie swojej osobliwej, nieco szkodzącej zdrowiu polityki. A zresztą – amanci mieli przy sobie koks, a jeśli w grę wchodzi koks, to wiadomo, zupełnie inna rozmowa.

Kiedy nastąpił gwóźdź programu, Tamarze wydawało się, że ktoś przyniósł tu świński pęcherz i go rozplątał. Odór był nie do zniesienia. Dziwne, przecież nie było tak, żeby byli ludźmi unikającymi higieny. A jednak nie pachniało fiołkami! Tamara, pokładająca nadzieję w sile wyobraźni, starała się oszukać zmysł powonienia myślami. Jednak nie mogła oprzeć się wrażeniu, że rzeczy przedstawiają się lepiej, gdy nad całością czuwa ekipa filmowa – rzeczywistość ludzkiej kopulacji to jednak członki wysuwające się z pochwy i odbytu oraz problemy z aplikacją, pot, śluz, sperma pojawiające się w nieoczekiwanym momencie, brudzące twarz i pościel.

Podczas oglądania filmów Tamara lubiła słuchać komend, które aktorzy wydawali aktorkom, rozkazów dotyczących pewnych technicznych zachowań: klęknij tu, zrób tak, a nie tak. Jednak w realu ją to męczyło. Okazało się, że jest na to zbyt *wyemancypowana*. Kiedy wyszli i mogła zamknąć drzwi na cztery spusty, a potem zapaść się w kojącą przestrzeń własnego łóżka, odczuła ulgę. Jednak to prawda, co mówią na temat Dziesiątej Muzy. To był ten dzień, kiedy zrozumiała *magię kina*.

Być może tego typu przeżycia spowodowały, że zdecydowała się poprzestać na

pocziwej, przewidywalnej masturbacji. Rezygnacja z seksu ma wiele zalet – na przykład gwarantuje, że nie będziesz uprawiał seksu z kimś brzydszym od siebie. A to akurat w jej wypadku było zawsze realnym zagrożeniem. Polscy mężczyźni wyglądają jak pomnik świebodzińskiego Jezusa.

Co ciekawe, Tamara całkiem dobrze pamiętała swojego ostatniego kochanka. To był jej kolega, zdaje się, że ktoś w rodzaju operatora filmowego, choć nie dałaby sobie ręki uciąć, równie dobrze mógł się zajmować dźwiganiem świńskich tusz w Chicago. Tamara nie była małośkowa, takie rzeczy jak wiek czy zawód jej przeszłych kochanków szybko ulatywały jej z pamięci, były jak sylwestrowe konfetti hojnie rzucone w górę czyjąś pijaną ręką, fruwały nad nią bez ładu i składu, by opaść gdzieś w ciemnym rogu na wieczne zapomnienie.

Niemniej jednak ten kolega był jakiś inny, miły. Nie była z nikiem w łóżku od sześciu miesięcy, chciała sprawdzić, czy z seksem jest tak jak z jazdą na rowerze, której się nie zapomina. Nie jest. Kiedy już doszło do tak zwanego gwoźdźcia programu, a trzeba zaznaczyć, że wypila wcześniej alkohol w ilości odpowiadającej stanom magazynowym browarów Okocim, nie mogła się przemóc, żeby zdjąć ubranie. Była pewna, że znajduje się pod nim pokryta łuską skóra smoka wawelskiego. Kiedy i to wreszcie się stało, odczuwała wyłącznie skrępowanie i idiotyzm całej sytuacji. Zapytywała samą siebie, jak to możliwe, by wcześniej nie zorientowała się, że seks jest czynnością tak śmieszną i pozbawioną sensu. Dwie wielkie powłoki skórne w wielkim entuzjazmie idą na manifę pod hasłem: „Wewnątrz siebie już nie tak samotne”, ale kiedy gasną race, milkną okrzyki i zapada ciemność, opadają spocone na mokre prześcieradła, jeszcze bardziej rozpaczliwe, zdezorientowane, przerażone własną osobnością i bezsensem swoich poczynań. Manifa okazała się pomyłką, wszyscy muszą się rozejść, ciągnąc za sobą smętnie zwisający transparent własnego rozczarowania. Nic dziwnego, że w tej sytuacji przeszła na sterowanie ręczne.

Chłopak zapytał, jakie pieszczoty lubi. Nie odpowiedziała, leżała w zielonej pościeli, zdenerwowana i zrezygnowana zarazem. Kolor pościeli przywodził na myśl szpital, co było adekwatne do sytuacji – czuła się dokładnie tak, jakby ktoś miał przeprowadzić na niej skomplikowaną operację. Leżąc tak, entuzjazmem dorównując pacjentowi z geriatryi tuż przed zabiegiem usunięcia jelita grubego, myślała, jak dobrze bakteriom i wirusom, że nie mają ciała fundującego tyle upokorzeń. Chłopak zaczął lizać jej cipkę, był to mało oryginalny pomysł. Tamara nic nie czuła, patrzyła w sufit, zastanawiała się, kiedy to się skończy. Po chwili uniósł się,

założył prezerwatywę, tak jak pokazywali na instruktażowym obrazku – Tamara zauważyła, że zgodnie z najnowszymi trendami ma wygolone włosy łonowe – i wszedł w nią. Wszystko to było tak mechaniczne i pozbawione spontaniczności, że Tamarze wydawało się, że słyszy GPS: Jedź prosto. Za sto. Metrów. Punkt G. Skręć w lewo. Za trzy. Metry. Orgazm.

Stosunek trwał jakieś dwie minuty, po wszystkim chłopak głośno westchnął, leżał na niej przez chwilę, w końcu uniósł się, delikatnie wysuwając z jej pochwy zdychającego fiuta, który wyglądał jak podtopiona w wannie, szmaciana kukielka, zawinął prezerwatywę w papier i wyrzucił do kosza. Wrócił, usiadł obok niej na łóżku i zapytał, czy chce coś zjeść lub może jeszcze wina. Tamara patrzyła na zieloną kołdrę – uformowała się na niej biała, kleista plamka. „Nie, dziękuję, nic nie chcę” – wypowiedziała swoje credo. Światło padało na ich zgarbione, zawstydzone sobą ciała. Wróciła do domu taksówką, włączyła pornosa i zaspokoila się, patrząc w rozwarty odbyty *barely legal* Michelle, której rolę grała zapewne dobrze zakonserwowana MILF Wilma z farmy w Wyoming.

Będąc ekspertką w dziedzinie filmowej pornografii, zaczęła się poddawać krytycznej analizie. Stało się to jej ulubioną weekendową rozrywką. Och, gdyby mogła policzyć te wszystkie wieczory, kiedy to kupowała parę butelek wina i wcielała się w André Bazina na tym jedynym w swoim rodzaju, jednoosobowym DKF-ie!

„*Pokaż mi swoją waginę, a powiem ci, kim jesteś* to film o niejednoznacznej, intrygującej osi fabularnej – zaczynała, obserwując rozgrywające się na ekranie komputera harce. – Reżyser nie daje widzom łatwych odpowiedzi. Nie zdradza nawet imion swoich bohaterów, sprawiając, iż pozostają one dla nas czystym fantazmatem. Już w tytule uwydatnia jednak problem będący centralnym dla jego twórczości – zagadka tożsamości. Można mniemać, jakoby poprzez to czysto behawioralne spojrzenie, skupione na ciałach pogrążonych w rozpaczliwej kopulacji, ukazywał cały dramat ich niespełnienia”.

„*Ciało na ciele?* Trudno powiedzieć, na ile ten obraz był uniwersalną metaforą globalnej opresji kobiet, ilustrowanej poprzez symboliczny obrazek aktorki klęczącej pod naprężonymi, uosabiającymi męską władzę penisami, na ile zaś pochylał się nad problemami światowego kryzysu oraz nierównej dystrybucji dóbr. Echa obydwu kwestii zdecydowanie pobrzmiwają w finałowej scenie filmu, kiedy to wszyscy aktorzy po kolei dokonują ejakulacji do odbytu aktorki... – Tamara przerywała na łyk wina. – Moim zdaniem twórca filmu chciał uzmysłowić nam kurczącą się skalę możliwości. Zdecydowaną ręką kreśli też kryzys rodziny”.



Jej niewinna rozrywka była jednakże tylko wstępem do sedna wieczoru. Nie da się ukryć, że najbardziej interesował Tamarę wymiar użytkowy tej sztuki. Waląc do niej konia – cóż, określenie „męczyć bułkę” nigdy do niej nie przemawiało – mogła liczyć na bardzo mocny orgazm. I o to jej chodziło.

Jednak chwile, w których ciało dawało jej rozkosz, były rzadkie. Parę minut przed monitorem komputera dwa razy w tygodniu. Częstsze były te, w których ciało było dla niej ciężarem, źródłem bólu i upokorzenia. Na przykład teraz ma z nim problem, bowiem musi robić za sternika tych członków rozjeżdżających się we wszystkie strony świata jak odnóża morskiego potwora. Ciągnie samą siebie przez to ciemne miasto, z trudem. Kiedy tak nim sunie z twarzą zakrytą kapturem, wygląda jak śmierć wybierająca się po swe ofiary. Neony, napisy, szyldy, wymarłe kramy i rozświetlone ulice – wszystkie stygmaty tego miasta otwierają się przed nią tak boleśnie, jakby otwierały się na jej dłoniach. Raz po raz zamyka oczy i próbuje ignorować to gradobicie, ale nie może oprzeć się wrażeniu, że ktoś wrzucił jej do drinka jakieś lewe grzyby. Wydaje jej się, że budynki mają spiczaste palce i chichoczą, pokazując na nią; wydaje jej się, że ta budka z żarciem to bunkier, tajne więzienie, z którego dniem i nocą słychać krzyki; wydaje jej się, że księżyc to plama kwasu rozlana na niebie, która zaraz zacznie kapać na nią kwaśnym deszczem i wyżre jej twarz. Alkohol urządza w niej swoje szatańskie cocktail party, łopocze w niej tysiącem czarnych flag.

Dlaczego upadła tak nisko? Czemu nie umiała wyczuć krytycznego momentu, w którym obrany przez nią kurs nieubłaganie zaczął zbaczać w kierunku piwnic? Przecież nie było tak, że szła tą drogą nieświadomie. Przeciwnie, szła nią świadomie, choć nie dobrowolnie. Jakby za przewodnika miała coś silniejszego od siebie, coś, co wyciągało do niej rękę i przyciągało ją jak magnes.

Długo myślała, że zapasy z mrokiem nie zostawią śladu. Myślała, że to wszystko dorównuje ciężarem kradzieży pierścionka na odpuście – żałujesz i jest ci wybaczone. Była pewna, że grzechy charakteryzuje magiczna zdolność do bycia wymazywanymi. I stąd też cały czas, kiedy szperała w tych dziurach, wkładała palce w odpływy rdzawych rur i przykładła tam oczy, żeby zobaczyć, co jest na dole – jakie łódki i frachtowce o łopocących czarnych flagach płyną tymi kanałami, jacy przerażający, jednoocy piraci toczą tam bitwy na miecze, co zamieszkuje tę przestrzeń pod podłogą – myślała, że wystarczy później wstać, otrzepać kolana z kurzu, podnieść wzrok i wystawić twarz do słońca, a wszystko będzie jak dawniej.

Kiedy uświadomiła sobie swoją naiwność, pojawił się wstyd. Paradoksalnie to właśnie

alkohol potrafił ten wstyd ugasić, przynajmniej czasami – w tych momentach, kiedy wpędzał ją w stan dziwnej czułości. Te wszystkie lokale oblane światłem świec, żółto-czerwoną luną, jakby wkoło wciąż było Boże Narodzenie, a nie Święto Zmarłych. Twarze wyłaniające się z ciemności jak figurki z gabinetu cieni, jej nagła do nich sympatia i towarzyszące tym chocholim godom niezgrabne nuty sentymentalnych piosenek, sunących w eter jakby ze starej radiostacji, a zarazem niemal nieświadomie wyrywające się z gardła, po to, by rozplaszczyć, rozgnieść się po chwili na ścianie i zsunąć się po niej w dół lepkim smarkiem.

Niepicie to dobry pomysł, ale czy gdyby nie piła, to potrafiłaby objąć rozumiejącym spojrzeniem samotną kobietę siedzącą w rogu baru, której spłoszony wzrok przywodzi na myśl leśną zwierzynę łowną, albo czy umiałaby spojrzeć w oczy dzika z obrazu wiszącego na ścianie gdzieś w zakurzonej, ciemnej części sali i w kiczowatym płótnie dostrzec jego samotność w obliczu napierających myśliwych? Czy gdyby nie piła, potrafiłaby mimo izolacji odczuwać jednocześnie pełnię?

Czasem podczas swoich samotnych alkoholowych wędrówek czuła się jak umarły przewożony na drugą stronę rzeki ozdobioną w kwiaty łodzią. Noc wiodła ją łagodnie ciemnym traktem i chociaż Tamara nie żyła, chociaż leżała zimna na dnie zbitej z paru desek łódeczki, niebezpiecznie przypominającej zresztą trumnę, i oddzielona była od innych na dobre swoim trupim statusem, nie czując z nimi żadnej łączności, to jednak jej życie wydawało się na swój sposób spełnione. W tych godzinach odmierzanych cichym pluskiem wiosła przewoźnika śmierci kryło się coś zahaczającego o doskonałość, gdzieś w tle majaczył jeden, pożądany kształt, zarazem przejmujący i błahy – jak wyblakły kwiatek z lichej bibułki, który nosiła na głowie lata temu, grając królową w szkolnym przedstawieniu.

Bywało jednak też inaczej. Czasem metafizyka alkoholu ustępowała miejsca chemii organizmu, który stawał się czymś w rodzaju awangardowej potrawy o nazwie gulasz w wódce. Ciało było rozbite na milion mięsnych, nasączonych alkoholem kawałków, których nijak nie dawało się zbić na powrót w jednolitą masę. Wszystkie literki słowa „Tamara” występowały osobno, osuwały się na ziemię jak wielkie lingwistyczne mrowisko, jedyne, co można było z nimi zrobić, to pogrzebać w nich kijem, trącić jak stare nieposłuszne zwierzę i od siebie odepchnąć.

I teraz jest właśnie taka sytuacja. Gulasz z Tamary wchodzi slalomem do kolejnego baru. Baru, którego rozmiar, nazwa, wystrój oraz poziom tolerancji wobec osób homoseksualnych

pozostaną dla Tamary na zawsze tajemnicą. Jej możliwości poznawcze są obecnie mocno ograniczone. Jej kąt widzenia jest równie rozległy, co kąt widzenia osoby niewidomej bądź żywcem pogrzebanej w skrzyni na dnie morza. Widzi głównie ciemność i to, co z niej wystaje, jakieś niepokorne fragmenty, które nie dały się ugnieść w czarną magmę. Przypadkowi ludzie, których postrzega teraz jako nazbyt wyrosnięte figurki szachowe, pozbawione twarzy, oczu, narządu mowy, ocierają się o nią, oglądają za nią, coś szepczą, prawdopodobnie zdumieni jej widokiem oraz faktem, iż alkohol w jej organizmie osiągnął poziom alarmowy. Gdyby tylko potrafiła czytać z ich nieistniejącego wyrazu twarzy, to pewnie coś takiego by właśnie odczytała.

Jej alkoholizm charakteryzuje się daleko posuniętą typowością i mimo niejakich problemów z percepcją Tamara, jak każdy pijak, świetnie potrafi odnaleźć drogę do baru. Co więcej, potrafi też ułożyć usta w taki sposób, by wyszedł z nich wyraz z grubsza przypominający brzmieniem wyraz „piwo”. Powiedzmy sobie szczerze, nie jest to takie trudne, „piwo”, „wino”, „seta”; czy ktoś kiedyś zbadał, dlaczego nazwy potrzebne pijakom do złożenia zamówienia są takie niezłożone?

Barmanka, bo to kobieta, o czym świadczy biust, w który Tamara wbija wzrok, nie jest przekonana co do słuszności wypełnienia zamówienia. Jednak po chwili wahania wygrywiają w niej uczucia natury handlowej. Toteż leje piwo, hojnie, z pianą, a Tamara dalej gapi się w jej cycki – są obleczone magmą jakiejś burej, a jednak mocno prześwitującej bluzki, więc przy odrobinie cierpliwości można je całkiem dokładnie obejrzeć, jak mandarynki zatopione w galaretkę. Tamara myśli, że są niezłe, z takimi cyckami ta laska mogłaby pierwsza wejść do Europy, oczywiście gdyby nas tam jeszcze nie było. I myśli też, że mogłaby się z tą damulką zabawić, wypróbować na niej dildo, które zawsze chciała nabyć u Beate Uhse, ale wstydziła się tam wejść, to znaczy jakoś nie zdarzyło jej się do tej pory zajść tam po pijaku.

Tymczasem piwo łąduje w dłoniach Tamary, trzęsących się jak dwie bezbronne chorągiewki, zresztą ona sama też się trzęsie, i klucząc w kierunku jakiegoś rozmazanego, wolnego miejsca, kuli się przed spadającym na nią gradem czarnych myśli: że umrze, że jest stara i brzydka, trup wyjęty z dna jeziora i poddany bezowocnej reanimacji; zastanawia się, czy ma na sobie jeszcze resztki swojej twarzy, czy też to, co teraz tam widnieje, jest może mułem rzeczonym, materiałem opałowym, zmielonym i wtartym w skromne resztki jej skóry. Ciekawe, czy znajdują się na nią jeszcze jacyś amatorzy, hm, na Zombie Walk na pewno.

Rozglądając się wkoło, widzi jakieś cienie, perfidną manipulację światłem, istny

niemiecki ekspresjonizm, brakuje tylko, żeby z któregoś rogu sali wylazł wampir. Zresztą wszyscy tu wyglądają jak wampiry, którym pokradziono trumny. Przez chwilę marzy o tym, by zostać przez przypadek zaszytą w kieszonce zimowej kurtki i trafić na dno szafy, wraz z molami, starymi gałganami i listkami lawendy, i pozostać tam aż do symbolicznej wiosny, która w sumie nie wiadomo co miałyby oznaczać.

A kiedy na chwilę udaje jej się wyjąć głowę z osobistego dystrybutora mroku, który nosi zawsze przy sobie niczym astmatyk swój inhalator, zauważa, że ta cała barmanka jest do kogoś podobna, do jakiejś laski z jej byłej pracy, ten sam typ urody, to znaczy też wygląda jak lama, z tą długą szyją i nadzianą na nią nieforemną głową. Całość sprawia nieco makabryczne wrażenie – niczym słupek z nabitą nań czaszką, jakiś okrutny możnowładca mógłby go używać jako skrzynki pocztowej.

Ponadto Tamara zawsze miała solidne podejrzenie, że lama, jak to lama, na pewno je trawę! Trawa stanowi podstawę jej diety! Lama – jak teraz jej się krystalizuje w rozbieganym umyśle – to jej szefowa. Szefowa w jednej z byłych prac. Miała ich trochę, kto by to spamiętał, ale akurat wtedy Tamara robiła wszystko, by wyjść z kretowiska, więc jednak zapamiętała. To był czas, kiedy wyrzuciła z domu cały alkohol, skasowała listę telefonów do dilerów, za którą dałby się zabić każdy narkoman w mieście, zaopatrzyła się w zapasy witamin i magnezu i chodziła do pracy. Byli tam jacyś ludzie, jakieś biurka, komputery, jak to w pracy. No i ta lama była jej szefową. Kiedy przechylała głowę w bok, Tamara bała się, że w Azji nastąpi kolejne tsunami. Skoro migotanie skrzydeł motyla na jednej półkuli może wywołać dramatyczne skutki na drugiej, to co dopiero ruch taką kilometrową szyją! – tak myślała, chichocząc za swoim komputerem, a lama rzucała jej ostrzegawcze spojrzenia zza przeszklonej szyby swojego osobistego miejsca pracy, zwanego również akwarium.

Pamięta, że przychodziły do niej wtedy jakieś mejle od ludzi szukających pracy – być może tej pracy, którą miała właśnie ona, w każdym razie pracy, której nie było, to musiały być okolice 2008 roku. Jej skrzynka pocztowa zapelniała się błagalnymi mejlami. W załącznikach tkwiły CV, które od nadmiaru kwalifikacji, ukończonych studiów, szkoleń, kursów, liczby przyswojonych języków obcych były bardziej spuchnięte niż trupy miesiącami dryfujące w wodzie. Po jakimś czasie zaczęło jej się wydawać, że to jest jedno CV, które brzmi mniej więcej tak: „W załączeniu przesyłam państwu intrygujące CV absolwenta ciekawego, choć nierokującego kierunku; mogę się pochwalić stuletnim doświadczeniem we wszystkim,

zrobieniem większej liczby lodów panom prezesom, niż ich zrobiła Algida, obsługą wszystkich sprzętów, od iPhone'a przez ksero po kosiarkę do trawy, oraz znajomością dziesięciu języków obcych, ze szczególnym naciskiem na język nienawiści. Mogę robić wszystko – od kawy po laskę. Zaznaczam również, że z pensji chciał(a)bym móc opłacić bilet tramwajowy. Do moich zalet zaliczyć można także absolutny brak zobowiązań. Mój stan cywilny można określić pojęciem z encyklopedii muzycznej: maksisingiel, nie mam też dzieci ani kredytu hipotecznego. Ba, nie mam nawet zdolności kredytowej i się na to nie zanoszę. Jeśli coś mam, to pęk przeszłych kochanków/kochanek, wejdz i wyjdz, coś w rodzaju tramwajów kursujących od zajezdni do zajezdni; piszę o tym po to, byście państwo wiedzieli, że jestem odporna/y na zmiany, potrafię pracować w hałasie i stresie. Jestem także elastyczna/y, podążam za wytyczonym celem i nie ma dla mnie nic ważniejszego niż kariera. Dziś wszyscy musimy być jak starożytni władcy Rzymu, rzucać przed siebie kości zabitych i robić z nich kładkę na ruchomych wodach życia. Demokracja to zły system, ale nie wymyślono lepszego, powiedział kiedyś jeden mądry pan, zdaje się, że dano jej drugie imię – kapitalizm. Stosowanie rzeczy wywołuje czasem skutki uboczne – tutaj w postaci pełnej chrząstek nazwy kryzysu. Trzeba być lisem i lwem. Reszta jest już milczeniem, tylko dlaczego należy ono do nas??"

Cóż, co do Tamary, to zawsze wydawało jej się, że wysyłanie CV jest jak sianie listów do Boga – szanse, że ktoś ci odpowie, są znikome. Kto jak kto, ale Bóg z pewnością ma do siebie w kolejce całe mnóstwo petentów. Oczywiście o ile ten cały Bóg nie dał już sobie z tym wszystkim spokoju, o ile nie ogłosił upadłości. Od dłuższego bowiem czasu musiał się coraz bardziej wysilać, żeby zdobyć u ludzi jakieś punkty. Jeszcze dwa tysiące lat temu wystarczył motyw z gorejącym badyłem, teraz chcieli dowodów mocnych i spektakularnych, najlepiej w 3D. Każdego zmęczyłyby te cyrkowe sztuczki, do tego jeszcze nużące codzienne obowiązki: to całe przybijanie pieczętek na świadectwach narodzin i zgonów, świecenie latarką w ciemnościach, nagłe interwencje na oddziałach opieki paliatywnej, dlatego w 1939 roku Bóg wreszcie ogłosił moratorium na swoje usługi, i to na całe sześć lat. Bóg zawiesił chwilowo swą działalność, zrobił sobie małą przerwę w pracy stróża naszego globu i nagle jego opuszczony sklepik usługowy opatrzony migającym szyldem „Świat” został opieczętowany przez demoniczną policję, neon zgasł, zardzewiał, odpadł, wszystkie dobra rozkradziono, a zakład został przejęty przez konkurencję poprzez zasiedzenie. Weksle podpisano: Szatan. „Nie czekajcie na mnie”, dodał happy end.

Zdaje się, że ta lama też nie wierzyła w Boga, Tamarze się teraz przypomina, jak tamta używała głośno słowa „ateizm”, pogryzając coś wyjętego z lunch boxa, pewnie trawę. Ateizm to, ateizm tamto, jakby ateizm był jej dawno niewidzianym kolegą.

– Ona była moją szefową, ta lama, zawsze myślałam, że wdupca trawę – mówi bełkotliwie Tamara do barmanki.

Barmanka spogląda na Tamarę niechętnym wzrokiem, zaciska wargi, mierzy spojrzeniem poziom alkoholu w jej szklance.

– Ona mi mówiła, że pracuję elegancko! – Tamara zwraca się do siedzącego obok nieznanego mężczyzny. Może zresztą kobiety, na pierwszy rzut oka trudno jej stwierdzić, bowiem jej oko przoduje teraz w jeździe slalomem.

– Pani już chyba wystarczy, pani jest pijana – odpowiada głos, wyraźnie męski.

– Żryj gruz, cyganie! – Tamara używa tekstu odnalezionego niegdyś na Facebooku. Młodzieżowa nowomowa zawsze ją frapowała; cieszy się, że nie ma kontaktu z tą częścią społeczeństwa. Wydaje jej się, że bardzo łatwo mogłaby się skompromitować, wyskakując z jakimś archaizmem w stylu „klawo” albo „spierdzielaj, krejzolu”; język dziś tak się zdywersyfikował, że ponieść śmierć towarzyską jest niezwykle łatwo.

I opanowuje na chwilę towarzyskie ataki, bo znowu jej się coś przypomina, jakaś impreza firmowa, stojący na stole w kuchni alkohol. Punkt zwrotny w jej wielkim żalu za grzechy i postanowieniu poprawy, ciężki but w twarz jej nowo narodzonej, tak wyczekiwanej trzeźwości. I zarazem koniec tej kolejnej, znowu nieudanej próby. Chciała wtedy wyjść wcześniej, coś jej się przypomina, lama w drzwiach, miłe gesty, łańcuch choinkowy podwieszony pod sufitem, bombki wyrastające z niego niczym komórki rakowe, ten pedał, jak mu tam, George Michael, puszczonej z YouTube. I dalej: wino lane do plastikowych kubków, ludzie z kubkami w dłoniach, sztuczne światło padające z góry, monotony szum mikrofalówek, usypiający pomruk klimatyzacji, propozycja wina pod jej adresem. Później chyba zdobyła się na jakiś wątpliwy protest, w przejęciu rzuciła „nie, nie!”, patrząc na alkohol, ten słynny rozpuszczalnik mocnych postanowień. A później ten kubek jednak w jej dłoni i ta dłoń na nim spocona, zaciśnięta, sucho w ustach. I moment, którego wspomnienie łączy najwyższą rozkosz z ostatnim stopniem przerażenia – być może to samo przeżywają ci, którzy podduszają się, aby przeżyć orgazm – podnosi kubek do ust i wlewa w nie całą zawartość.

– Norwegia – mówi Tamara do nieznanego obok, wracając do rzeczywistości. –

Norwegia jest droga jak chuj. Z drugiej strony Norwegowie to bogaty naród. Nie wiem, na czym się tak dorobili, na handlu śniegiem?! – Śmieje się z własnego żartu i pije piwo, nie jest pewna, czy inni też się śmieją, więc żeby podnieść swoją pozycję społeczną w lokalu, dodaje jeszcze podniesionym głosem, zaczepnie: – Jak się komuś nie podoba, to wydupcać z mojego zakładu! – czyniąc niespodziewanie ten obcy lokal, w którym siedzi, lokalem bliskim jej sercu.

– Chyba musi się pani napić wody – podpowiada klient siedzący obok.

– Wody! Ha, ha, wody! Jak to się mówi, na chwilę obecną nie mam takiej obywatelskiej odwagi! Nie stać mnie na takie zachowania! Ale możemy przecież pomyśleć o wszystkich chwilach jeszcze nieobecnych, w których będzie mnie na to wszystko stać! Czy nie to właśnie ciągle robimy? Ja na pewno. Za słabo mi idzie tkwienie w chwili tej, która leci tu przed nami jak pierdolnięta szarańcza! Za słabo mi idzie buddyzm zen! Chociaż piję dużo zielonej herbaty. Na kaca.

Mężczyzna patrzy na nią spojrzeniem, jakim prawdopodobnie obdarza się narybek zakładu psychiatrycznego. I próbuje jeszcze raz:

– Może po kogoś zadzwonić? Po przyjaciela?

– Mam tylko jednego przyjaciela – bełkocze Tamara. – Nazywa się Jack Daniel's.

I coś jej się znów przypomina. Po tej pracy, którą miała u lamy, była jakaś inna praca, przez chwilę, a może to była ta sama, tylko niżej, na innym piętrze. Miała tam zadanie stopniem odpowiedzialności dorównujące obowiązkom oficjeli z Białego Domu – liczyła firmowe smycze i ulotki.

– Proszę przeliczyć i zaraportować – mówiła kobieta o wąskich ustach, kobieta, która urodą przypominała słup ogłoszeniowy. I rzucała Tamarze pod nogi karton smyczy i drugi, wyładowany ulotkami. Całość traktowana była z powagą dorównującą tej, jaka panuje w NASA, Tamara zastanawiała się, jakie globalne skutki miałyby ewentualna pomyłka – czy zmieniłyby się kursy walut, czy może ustąpiłby prezes NBP?

Dumała nad tym, klęcząc na podłodze przed wielkim kartonowym pudłem i wprowadzając się w stan koncentracji bliskiej transowi. Raz, dwa, trzy, liczyła zawzięcie różnobarwne smycze, uważając, by żadna jej się nie wymknęła. To samo z ulotkami – jedna, druga, trzecia ulotka informująca o promocjach, ulgach, usługach wiązanych, możliwości kupienia czegoś za cenę czego innego i tak dalej – każda z nich została przeliczona, przełożona z lewa na prawo. Dość szybko Tamara zorientowała się zresztą, że smycze mają ukryty potencjał,



i wypracowała nowatorską technikę liczenia – skupiała się wyłącznie na metalowych główkach, trzymając w garści całe ich naręcze. Teraz mogła liczyć sprawniej, szybciej, a ryzyko pomyłki ograniczone było do minimum.

Kiedy zakończyła działania na tym froncie, podniosła się z obolałych kolan i spojrzała w kierunku swojej szefowej.

– Liczba ulotek wynosi 234 sztuki, podczas gdy liczba smyczy 156 sztuk – zameldowała jej, drżąc, by w wyniku jej pomyłki nie spadły ratingi największych banków i najpotężniejszych korporacji, drżąc, by w wyniku jej uchybienia jakiś bliskowschodni dyktator nie rozpętał kolejnej światowej wojny.

– Czy możesz mi to przesłać mejlem? – zapytała lama z kamiennym wyrazem twarzy. – Chcę mieć podkładkę dla szefa.

Myśl o pieniądzach, myśl o pieniądzach – powtarzała sobie w duchu Tamara, jednak po prawdzie jej głowę zaprzętało wtedy inne pytanie: jakim cudem większej części świata udaje się uciec przed alkoholizmem?!

Tego wieczoru po powrocie z pracy urzędną się do nieprzytomności, potem przyszły święta, które spędziła w towarzystwie butelki, pić cztery dni z rzędu i niemal nie trzeźwieć to nawet dla niej był spory wyczyn. Okazywało się, że granice możliwości jej ciała były położone znacznie dalej, niż jej się początkowo wydawało. Trzeciego dnia słyszała natrętne pukanie do drzwi, myślała, że to po nią pluton egzekucyjny. Pociła się ze strachu pod kołdrą, wyciągała z niej szare, długie jak makaron nitki, zdawało jej się, że to pasożyty. Białe, tłuste pasożyty wychodzące z jej ciała. Myślała, że za którymś razem wraz z tą glistą wyciągnie z siebie samej jelita, potem żołądek, wreszcie bezużyteczną, zmarnowaną macicę. Wypatroszy się sama, jakby patroszyła rybę. O to jej zawsze chodziło: żeby wyrwać siebie samą z siebie, usunąć się z własnego ciała, po kawałku, tak jak usuwa się wnętrzności z rozciętych brzuchów zwierząt.

Potem, kiedy usiłowała zasnąć, słyszała szmery w całym domu, wydawało jej się, że ktoś w nim jest, namiestnik Sądu Ostatecznego pochyla nad nią swoją twarz o kolorze i fakturze zużytego papieru śniadaniowego, mruczy do siebie, naradza się z przełożonymi, by wydać na nią wyrok: umrze, przekłuta drutami, a później na tych drutach zrobi się sweter z jej wnętrzności.

Swoje wnętrzności oddała toalecie dwa dni później, kiedy wręczono jej wymówienie z pracy. Cóż, jak to mówią, los zawsze może się odwrócić, czy coś w tym stylu, raz na wozie, raz pod wozem, w każdym razie Tamara, do tej pory występująca w roli decydenta, teraz sama słała

w świat swój sprowadzony do paru upokarzających formułek życiorys w milionach egzemplarzy, sama ustawiała się w kolejce patentów do bożego namiestnika do spraw zatrudnienia na planecie Ziemia. Upokorzenie zyskało nowe oblicze. Ze starego, dobrze znanego zwierzęcia, które uparło się, by chodzić za nią krok w krok, i tylko czasem, zmęczone, odpuszczało, by nabrać siły na kolejną wyprawę, stało się rozbrykanym stworzeniem, dzień w dzień biorącym ją na rogi.

Zaciskała pięści, a armia, która miała w niej swoje koszary, zaczęła zakładać grube, czarne buty, czyścić broń, wprawiać w ruch leniwe gąsienice czołgów. Kiedy w telewizji widziała wzburzony tłum, coraz bardziej chciała do niego dołączyć i krzyżeć, zaciskając dłonie na zgromadzonych w kieszeni kamieniach. Gdyby nie to, że nie umiała przewyciężyć przed nim wstrętu, na pewno by tak zrobiła.

Innym razem nienawiść opuszczała jej udręczone ciało i ustępowała rezygnacji. Czy to możliwe – zastanawiała się – by w wieku trzydziestu lat być już u kresu? Czy to możliwe, żeby życie było tylko tym? Chciała oddać je do komisju, tak jak się oddaje stary płaszcz. Czasem, w nocy, leżała w łóżku i przyznając się do tchórzostwa, prosiła o śmierć, która przyszlaby tak, jak przychodzi deszcz w nocy – cicho, niezauważalnie, niosąc ukojenie.

Tak, tymczasem jesteście tu, w nocnym lokalu, mamy przed sobą tę ostateczną instancję, śmierć, jej ponury werdykt. Pijani nie chcą umierać, taka jest prawidłowość. Pijani są jak trupy odcięte z szubienic; kiedy ich ciała z głuchym odgłosem uderzają o pokrytą śniegiem, brudem i odciskami butów ziemię, zaczyna się ich drugie życie. Życie pozbawione życia, życie, w którym siebie samych zostawili za sobą i teraz, w tej widmowej otoczce, mogą już iść przed siebie, z tęnym uśmiechem na ustach, bezboleśnie. Korzystać z życia, z tego życia, z którego nie ma nawet wspomnień.

Tak też teraz jest z Tamarą. Dziewczyną, której stopień samoświadomości równa się okrągłe zero. Jedno, co jej się telepie po splątanych, nieznośnie skręconych zwojach mózgowych, to to, że warto by się jeszcze bawić, przedłużyć tę chwilę.

*There's a will, there's a way* – jak mówią, i rzeczywiście, sprawdza się to znane porzekadło. W chwili bowiem, w której Tamara odwraca się w którąś ze stron – a trzeba zastrzec, iż z określeniem kierunku ma obecnie problem tak wielki, jakby była nieszczęśnikiem podchodzącym do egzaminu na prawo jazdy po raz sto dwudziesty czwarty („prawo”, „lewo”, całe dłonie w napisach) – natrafia na kogoś, kto wymierzył w nią strzałę. Z całą pewnością nie jest to jednak strzała tłustego cherubinka imieniem Amor. Jest to raczej strzała zatruta.

– Mała, postawię ci drinka, ale trzymaj mnie, żebym nie szedł do kasyna. Nie chcę iść do kasyna! – mówi mężczyzna, którego tembr głosu i akcent wskazują na ścisłe związki ze wschodnią mafią. To nie wróży najlepiej, ta znajomość raczej nie będzie przyczynkiem do polsko-rosyjskiego pojednania.

– Z chęcią pójde z tobą do kasyna – mówi bełkotliwie Tamara. Tak to już jest, że po alkoholu wszystko okazuje się świetnym pomysłem. Jej oczy rozjeżdżają się w dwie strony świata, jednym okiem przebywa w Berlinie, drugim w Moskwie.

Gość śmieje się rubasznie, w ciemnościach baru błyska jego złoty ząb.

– Charaszo, charaszo! – Śmieje się. – Skoro ty taka krasiwaja dziewczka, to my pójdziemy. Ja ci dam tysiąc złotych, ty zagrasz, ty wygrasz dla mnie.

Tamara kiwa powoli głową, w jej myślach pojawiają się jakieś sceny z filmów, w których bohaterowie zza wschodniej granicy, chłopiska o byczych karkach i rozległych tatuażach, wbijają zardzewiałe żyłki w gardła roznegliżowanych kobiet, pobladłych tyleż z przerażenia, co na skutek radykalnej diety heroinowej. Jednak ten tok myślenia zostaje prędko zarzucony, noc, której welurowa narzuta rozpościera się przed Tamarą w całej okazałości, zachęca do dalszego rejsu, mimo że kotwice zostały już zarzucone, ślady przyszłych wydarzeń zostały naniesione na mapę miasta, trupy zyskały inicjały. Już wiadomo, kto ma umrzeć i kiedy, choć ta wiedza nie jest jeszcze podawana do publicznej wiadomości. Raporty w tej sprawie już teraz uzyskują status „tajne”, a mrówki wciąż budują swe kopce, cicho, wytrwale.

Kasyna. Rozejm nadziei z porażką, braterstwo broni między chciwością i kartą do bankomatu. Zdrowy rozsądek proszę powiesić przy drzwiach, opróżnić kieszenie z planów i postanowień. A w środku tego wszystkiego Tamara – występująca tu umownie, bowiem gdyby zajrzeć jej w oczy, okazałoby się, że człowiek już tam nie mieszka, przypadł. I teraz to ciało wypełnione obcą substancją stoi przechylone przez stół do ruletki, niebezpiecznie drżąc, zmieniając wyraz twarzy z prędkością wprawnego mima, raz ekstaza, zaraz rozpacz, zresztą jej twarz jest równie biała, trupia, jak wycięta z kartonu. Stoi i obserwuje szaleńczy bieg kulki po kolejnych numerach, oczy próbują nadążyć, ale są równie sprawne, co nogi niemowlaka, raz po raz zawodzą, kuleją, nie mogą utrzymać tempa. Kulka jest jak los – kręci się, kręci, daje nadzieję, a wreszcie jak zwykle zatrzymuje się na nieodpowiednim numerze.

Obstawili z tym – jak on tam ma na imię? Assia? Czy to możliwe, by mężczyzna miał tak dziwne imię? Pamięta, że była jakaś kobieta Asia, która zabiła się z miłości do męża Sylvii Plath. Zresztą tamta zabiła się również, być może nawet z tego samego powodu. W każdym razie ten tu nie wygląda, jakby chciał się zabijać, prędzej jakby miał zabić kogoś, jakby w portfelu nosił mały, niepozorny zestaw seryjnego mordercy – brzytwę, nóż do chleba, żyłkę. Wystarczy mała niezgoda, nieznaczny sprzeciw, by swoją niedźwiedzią dłońią niedbale sięgnął do przewieszzonego przez ramię plecaczka, wy dobył z niego coś ostrego, błyskającego w mroku, i zagłębił w szyi oponenta.

W każdym razie – obstawili już z tym, dajmy na to, Assią, różne numery, a nawet kolory. Cały stół obstawiony jest żetonami, za które zapłacił ten rzeźnik. Wyciągnął nie wiadomo skąd, z siebie tylko znanych kont, na które zleceniodawcy wpłacają mu kasę za wykonanie wyroków na oponentach mafii, duże pieniądze, i teraz, rozdziawiając gębę w straszliwym uśmiechu, powtarza: „Charaszo, charaszo, ty dla mnie, mała, wygrasz”. I kładzie jej łapę na ramieniu, co ona już średnio wyczuwa, popijając czterdziestego tego wieczoru Jacka Daniel’sa, zdaje się, że Jack Daniel’s płynie w jej żyłach zamiast krwi.

– Kurwa, znowu! – krzyczy Assia, kiedy pani krupierka zagarnia do siebie kolejne partie żetonów.

Tamara ogarnia swoim kulejącym wzrokiem całość tego lokalu. Jest już prawdopodobnie

rano, choć jej żywiony alkoholem i narkotykami organizm mógł coś pomylić – dzień z nocą, jesień z wiosną, nawet Polskę z jakimś innym, egzotycznym krajem, do którego być może w nocy wyjechała, przekroczyła granicę na podstawie dowodu osobistego, chyba jeszcze takowy posiada, prawdopodobnie pałęta się gdzieś po przestrzeniach jej kieszeni, jej dowód, ostatni dowód na nią samą. Wcale by się zresztą nie zdziwiła, gdyby się okazało, że na podstawie dowodu osobistego przekroczyła inną granicę – mianowicie tę między życiem a śmiercią.

Teraz jej trup stoi tu, w piekle dla hazardzistów. Dlaczego akurat tu, a nie w jakiejś innej filii piekła, to zagadka. Jej wiedza jest ograniczona, sięga tego, co przed nią, a i to nie do końca, bowiem przed nią jest teraz obraz jak w starym telewizorze: lawina iskier przetykana jakimś zdławionym, niezrozumiałym komunikatem.

– Można obstawiać – mówi krupierka w języku polskim, co świadczy o tym, że przebywają w kraju ojczystym. Przynajmniej ojczystym dla niej, bowiem Assia, jakiś zdenerwowany, rzucający na stół kolejną partię zetonów, za których równowartość Tamara mogłaby przeżyć dwa miesiące, krzyczy coś po rosyjsku, używając słów powszechnie uważanych za obraźliwe oraz haseł o antypolskim wydźwięku.

Jednak zdjęcie zrobione mu przy wejściu powściąga jego temperament.

– Jeszcze whisky? – pyta.

Jej umieszczona w dziwnym zagłębieniu stołu szklanka rzeczywiście domaga się napełnienia. Z drugiej strony Tamara czuje, że to może być jej ostatnia noc na ziemi, jeśli wypije jeszcze jednego drinka. Ten drink może być jej biletem w przestworza.

Jednak nie ma w tej sprawie, jak się okazuje, za wiele do powiedzenia, pytanie nosiło znamiona retoryczności, bowiem po minucie na stole ląduje kolejna szklanka wypełniona alkoholem, który Tamara zapewne wypije. Lata terminowania w pijackim fachu utwierdziły ją w przekonaniu, że to źle, kiedy alkohol się marnuje.

– Dziękuję, *no more bets* – mówi krupierka.

Tamara nie rozumie, po co te obcojęzyczne wtręty. Kulka znów rusza w swoją trasę, trasę, której celem jest zwieść i oszukać. Tym razem obstawiła datę swojego urodzenia i datę dzisiejszą: tylko te dwie była sobie w stanie przypomnieć. Assia obstawił jakieś swoje, wybrane według nie wiadomo jakiego klucza numery. Oboje obstawili kolor czerwony. Tamara myśli, że to bez sensu – jedno powinno było obstawić kolor czerwony, drugie czarny. Co się dzieje, łatwo się domyślić, bowiem los jest przewidywalny i uporczywie złośliwy – wygrywa kolor czarny,

moc żetonów znika z ich pola widzenia, przechodzi w posiadanie krupierki. Podobnie z obstawionymi przez nich numerami. Tamara przez chwilę myśli, że Assia zabije pracowników kasyna, podziurawi ich tym czymś, co trzyma w plecaku. Potem zabije również ją i uczyni królową jutrzejszych nekrologów.

A jednak Assia się opanowuje, rzuca na stół kolejne banknoty. Tamarze zaczyna się wydawać, że jest tu z Ali Babą, z właścicielem jakiegoś sekretnego sezamu, bohaterem dziecięcych bajek, w których rzeczy nigdy nie kończyły się definitywnie, zawsze znajdowano sposób, by je pomnożyć.

– Dziękuję, *no more bets* – znów brzmi ten ponury refren i znowu zaczyna się to pełne gorączkowego żaru wpatrywanie się w lot szalonej kulki. A potem następuje wiadomy finał.

– Chuja warte! – krzyczy Assia.

Ochroniarze ukryci w sobie tylko znanych zakamarkach już prężą muskuły, macają swoje ukryte po kieszeniach gumowe pałki, swoje paralizatory.

Ale Assia ma już dość – nawet on, nawet jego ukryty w kieszeniach parabank.

– Pierdołę, idziemy do pokoju zrobić kreskę – mówi niby konspiracyjnym tonem, choć trudno mu opanować zdenerwowanie i te słowa zdają się Tamarze za głośne, za ciężkie, wydaje jej się, że są jak garść kulek do ruletki i że Assia sypnął je na stół, żeby z brzękiem spadły pod nogi tej złej krupierce.

– No co ty, cicho, jaki pokój? – pyta Tamara, czy raczej jej usta pytają, nieodpowiednio ustawiając się w stosunku do wypowiedzanych słów.

– Pokój, pokój mamy, idziemy! – Nie brzmi to jak nieśmiała zachęta.

I Tamara ma już w tej sprawie niewiele do powiedzenia, bowiem jej zwłoki są właśnie ciągnięte w kierunku hotelowego pokoju z taką łatwością, jakby była eleganckim bagażem podręcznym wagi lekkiej. Pokój jest czysty, ładny. Są chyba w Hiltonie, można to stwierdzić po rzuconych niedbale na stół ulotkach głoszących, iż są w Hiltonie. Jednak wiele więcej nie można stwierdzić, bo raz, że w głowie młynek, a dwa, że ta głowa jest już kierowana w stronę rozsypanych nonszalancko na firmowym stolyczku kresek białego proszku.

– Ja tu umrę – mówi Tamara.

Myśli, że te wszystkie godziny, podczas których myślała, jak strasznie chciałaby się najebać, naćpać, najarać, *nawszystko*, one właśnie się spełniły, bo to prawda, co mówią, iż marzenia się spełniają, jednak nie wtedy, gdy tego chcesz, i nie w oczekiwanej formie. A także

nie w wymarzonej towarzystwie, bowiem gdy patrzy na Assię, nie potrafi sobie wyobrazić, że co niedziela sączą kakao, urządzając sobie wojny na poduszki.

Jedynie, co potrafi sobie wyobrazić, to jak ich ciała – sine, spuchnięte, martwe – wypływają w jakimś tajemnym zakamarku jeziora, z gardłami równiutko poderżniętymi nożem do papieru, świadcząc o tym, iż cała ta zabawa w dragi, w épanie, w narkotykową kontestację bytu ma swój makabryczny rewers.

Pochyla się i bierze kreskę. Dobrze jej to robi. Mętna, szara woda, która przez nią płynie, ulega oczyszczeniu i tężeje. Jeśli przed chwilą była Ofelią dryfującą po brudnych wodach tego miasta, to teraz jest żywym trupem, zombie, co wstał z grobu. Widzi wszystko wyraźniej, a nawet odzyskuje entuzjazm.

Assia też się schyla, bierze swoją dolę i śmiejąc się do Tamary, ujawnia brzydką zawartość swoich ust, mianowicie zęby, wstawione tam jako niezbyt nachalny przerywnik dźwięków. Tamara patrzy na niego i na siebie samą, zaczyna jej być do śmiechu: jak my wyglądamy! Gnijąca para młoda, skąpana w aurze trupiego blasku!

Śmieje się do niego, a on śmieje się do niej. Pierwsza edycja Festiwalu Śmiechu w hotelu Hilton. I po chwili Assia zbliża się do niej i ją obejmuje. Tamara ma wrażenie, jakby oparł się o nią wielki niedźwiedź brunatny. Stoi skamieniała, obserwuje wielkiego węża pełzającego po ramieniu Assii aż do karku – wąż wystawia język tuż obok jej głowy, ten, kto robił tatuaż, był naprawdę zdolny, bowiem Tamara naprawdę słyszy syk węża, czuje jego chytrą, zwiastującą śmierć obecność.

– Poczekaj, przesuń się... – szepcze, podduszona.

Wysupłuje się z jego objęć, potrzebuje słońca, potrzebuje świeżego powietrza.

Biegnie do okna i odsłania ciężkie zasłony, a wtedy światło uderza ją w twarz jak nieuważnie odbita piłka tenisowa. Tamara zasłania oczy i wypuszcza z rąk ciężki materiał, w pokoju znowu robi się ciemno. Assia jest już za nią i mówi:

– Co jest, głupia?

Kładzie jej rękę na ramieniu. Ale Tamara walczy, bardzo chce wpuścić do środka trochę światła. Znowu próbuje odsłonić zasłony, tym razem ostrożniej. I naprawdę chciałaby to wszystko zobaczyć, chciałaby, żeby Warszawa wyszła jej naprzeciw, wciągnęła ją w swój oślepiający rytm, podała jej rękę. Chiałaby, żeby muzyka tego miasta, odgłosy stóp uderzających o bruk, stukot talerzy odkładanych w restauracjach na wypolerowane półki,

strojenie instrumentów przed wieczornymi koncertami i szum liści w jeszcze niechętnych przebudzeniu drzewach, żeby to wszystko uderzyło w nią, włączyło się w jej krwiobieg.

Chciałaby podnieść wreszcie tę kurtynę i ujawnić tajemnice, jakie skrywa to miasto, jego nagie kominy, jego kratery, jego ponury psalm ciągnący się ulicami, jego architektoniczny chichot. Chciałaby móc iść przez to miasto jak wojowniczką z krainy cieni, ciągnąc za sobą swój wysłużony płaszcz z liści buku, a wreszcie stanąć na szczycie miasta i podciąć mu gardło, patrzeć na jego brunatną krew, która bulgocze i skwierczy jak towar podgrzewany na łyżeczce, a wreszcie tryska i płynie przez wszystkie parki, domy i ulice, zalewa wszystko, co staje jej na drodze. A potem mija, uspokaja się, ustępuje i słychać ostatnią kołysankę dla upadłej metropolii.

Poza tym chciałaby wiedzieć, czy Paris Hilton była na otwarciu tego hotelu.

Kiedy dotyka zasłon, na jej ręce ląduje wielka dłoń Assii. W mroku widzi jego oczy – żarzą się, nerwowo błędzą po jej twarzy. Jakby był drapieżnikiem szykującym się do ataku. Trwa to kilka sekund, po czym mięśnie jego twarzy wiotczeją.

– Zamówię ci taksówkę – mówi.

Zapała stojącą przy łóżku lampkę. Skąpany w ciemnościach pokój wypełnia się światłem.



Niektórzy nigdy nie pozbędą się mroku, biorą go w dożywotnią dzierżawę. A jednak i dla nich świat ma niemiłą niespodziankę. Dla tych, którzy, idąc przed siebie po omacku, wciąż zasypują ziemią drogę za sobą. Ich zredukowane do minimum oczy przywykają do ciemności, powody do wychodzenia na powierzchnię ulegają atrofii, samotniczy tryb życia staje się normą – prawdopodobnie tak przyroda dba o ich przystosowanie do warunków życia. Tymczasem nawet ich świat musi czasem nieprzyjemnie zaskoczyć, fundując im solidną dawkę światła.

Wiązka światła spada na Tamarę, wgryza się w oczy jak piasek. Tamara walczy z nim, jęczy, zakrywa się poduszką, ale światło jest jak kat, jak wytrawny oprawca, uderza precyzyjnie, tak, żeby bolało. Ciało Tamary budzi się do życia i jest to coś w rodzaju *zombie resurrection*. Pierwsze, co daje znać o swoim istnieniu, jeszcze wtedy, gdy Tamara ma zamknięte oczy, to język.

Umiejscowiony jest wprawdzie jak należy, w ustach, ale już fakturą przypomina raczej chropawą szyszkę. Tamara przez chwilę próbuje nim pokręcić, dotknąć wnętrza policzków, ale efekt jest taki jak przy lizaniu zamrożonej poręczy. Czuje się jak Beduin, co spędził na pustyni kilkadziesiąt dni, całe jej ciało woła o wodę. Oczyma duszy swojej widzi Tamara butelki pełne fanty, coli, wody gazowanej, wlewa je sobie do gardła, a język absorbuje płyn jak gąbka. Fatamorgana jest bardzo sugestywna i bardzo bolesna.

Po chwili do głosu dochodzą inne części ciała – ręce, brzuch, nogi. Gdy tylko Tamara próbuje przewrócić się z boku na bok, po jej ciele rozchodzi się dotkliwy ból, jakby wczoraj na ochotnika wzięła udział w wielogodzinnym, rekreacyjnym wiszeniu na krzyżu. Nie jest nawet pewna, czy posiada wszystkie kończyny, czy może ubiegłej nocy któraś jej odpadła, ubyło jej siebie samej i teraz jest sobą tylko w siedemdziesięciu procentach. Jeśli nawet ma obie ręce i nogi, to i tak sporo dawnej Tamary zostało w mieście: fragmenty naskórka, odciski palców, parę włosów, rzęsa, kropla krwi ze zranionego palca, ślina na szklance i odrobina odcisniętej tam szminki.

Tamara ma teraz dowód na swoje istnienie – jest to dojmujące uczucie znane powszechnie jako kac. Przerabiała to tyle razy: czujesz się, jakby nadszedł koniec świata, którego jesteś rzecznikiem prasowym; masz na ten temat wszelkie informacje, i to z pierwszej ręki, niemniej

jednak prosisz o telefon o innej godzinie. Masz przekonanie, że jesteś najobrzydliwszą w świecie potrawą w zalewie octowej, wyrzyganą przez kogoś gdzieś pod filarem, pod ławką w parku – jedyne, czego chcesz, to by cię uprzątnięto z powierzchni świata, bo nie masz z nim za wiele wspólnego. Twoja inteligencja jest tak duża, że mógłbyś zamówić pizzę z ciastem na wierzchu albo ogolić nogi plastrami Niquitin. I tak dalej. Tak czy siak, składasz wniosek o odroczenie dalszego uczestnictwa w projekcie „Życie i cała reszta”, rzuciły ci się w oczy pewne etyczne braki, musisz zatem przeanalizować to zagadnienie jeszcze raz ze swoim prawnikiem.

Tamara próbuje ignorować uderzający w nią dzień, ale przegrywa w tym starciu. Budzi się, jednak zamiast wejść w uparcie upominającą się o nią rzeczywistość, wraca myślami do swojego dziwnego snu. Sen jest tak sugestywny, że wygląda na alternatywną przestrzeń jej istnienia. Zostałaby tam, gdyby światło nie wyświadczyło jej niedźwiedziej przysługi i nie wyciągnęło jej na brzeg dnia jak zdechłą krewetkę.

Śniło jej się, że była w eleganckiej sali konferencyjnej, która mogła pomieścić około trzystu osób. Białe, oświetlone dyskretnym, punktowym światłem ściany. Wszystkie krzesła, przypominające nowoczesne kinowe fotele, zajęte. Miejsce dla prelegenta znajdowało się na podwyższeniu: stał tam wygodny fotel, mikrofon i stolik. Na stoliku rzutnik.

Prelegentką była młoda, na oko trzydziestoletnia kobieta. Miała jasne spięte w gustowny koczek włosy, białą bluzkę, skrojone na miarę szare spodnie i wysokie jasne szpilki. Jej intrygującą, choć surową urodę podkreślała szminka w kolorze zgaszonego rózu i dyskretne diamentowe kolczyki. Wyglądała nienagannie – profesjonalnie i świeżo.

– Chciałabym państwu dzisiaj zaprezentować nowatorski sprzęt służący do uprawiania seksu w pojedynkę – zaczęła kobieta, poprawiając na nosie druciane okulary. – Prezentacji dokonamy na naszym ludzkim modelu. – Na te słowa obok niej pojawiła się całkowicie naga kobieta, która wyglądała, jakby spreparowano ją na potrzeby podobnych wystąpień, tak drastycznie scenicznej była postury. Jej długie blond włosy wyglądały jak sprowadzone wprost z Rosji, mekki przemysłu fryzjerskiego. Ciało miała niczym wyrzeźbione w drewnie – sprężyste, napięte, o doskonałych proporcjach. Jędrny biust idealnych rozmiarów, ani za duży, ani za mały, pełne biodra, gładką, alabastrową skórę. Poza głową na ciele modelki nie było najmniejszego włoska. Zbędnego owłosienia pozbawiono ją prawdopodobnie metodą depilacji laserowej, ewentualnie brazylijskiej, żadna bowiem maszynka nie poradziłaby sobie z zadaniem tak doskonale. Jej twarz nie zdradzała najmniejszych oznak życia wewnętrznego, była idealnie

niewzruszona, jakby zalana woskiem.

Całość sprawiała piorunujące wrażenie – obiekt był tak piękny, tak idealnie skrojony, że bez obaw można by go wstawić do muzeum jako przykład idealnej realizacji kultu ciała i tężyzny fizycznej.

Po chwili obok modelki pojawili się dwaj ubrani w czarne garnitury pomocnicy płci męskiej. Również z ich wyrazu twarzy nie można było wiele wyczytać, sprawiali wrażenie doskonale oddanych służbistów, gotowych wykonać każde, nawet najstraszniejsze w skutkach polecenie. Wnieśli na salę konferencyjną czerwony fotel, szklankę wody i stolik. Na stoliku położyli mały, dziwny sprzęt elektroniczny – z daleka wyglądał on na coś w rodzaju iPod'a.

– Dziękuję wam, F12 i F13. A ty, A10, usiądź – powiedziała prelegentka. Na jej słowa woskowa kobieta zgrabnie zapadła się w fotel, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Prowadząca podeszła do niej, wzięła do rąk elektroniczny przyrząd i wykonała nim ruch w nieokreśloną stronę. Na ścianie natychmiast pojawiło się powiększenie sprzętu, który trzymała w ręce. Widniały na nim ikonki z obrazkami poszczególnych części kobiecego ciała, również tych najbardziej newralgicznych.

– Zaczniemy od podstaw – zarządziła prelegentka. Wcisnęła ikonkę z rysunkiem włosów.

Wówczas twarz modelki nieco złagodniała, a ona sama przechyliła głowę w lewo, później w prawo, jej usta rozchyliły się w coś, co przypominało blady uśmiech.

– Kobieta czuje teraz delikatny ruch dłoni we włosach – wyjaśniła zgromadzonym mistrzyni ceremonii. Po czym nacisnęła czerwony przycisk, a twarz A10 powróciła do normalnego, niewzruszonego stanu, jej szyja się usztywniła.

Kobieta nacisnęła ikonkę z wizerunkiem całego kobiecego korpusu. A10 opadła głębiej w fotel, jakby nagle puściły mięśnie trzymające ciało w ryzach. Na jej twarzy znów pojawił się wyraz błogości.

– Kobieta odczuwa teraz przyjemność płynącą z prostego przytulania – wyjaśniła prelegentka. Po sali przeszło westchnienie uznania. – Ale przejdźmy do innych kwestii, które państwa z całą pewnością jeszcze bardziej zainteresują. – W jej głosie można było wyczuć wzrastające podniecenie. Zakończyła poprzednią czynność, co spowodowało powrót A10 do wyjściowego stanu woskowego manekina, i wcisnęła widniejącą teraz na telebimie ikonkę kobiecej piersi. Po paru sekundach twarz A10 uległa znacznej odmianie. Modelka nawet lekko rozchyliła karminowe usta, ukazując fragment idealnie białych i równych zębów.

Prelegentka omiotła wzrokiem widownię. Niektórzy widzowie wpatrywali się w modelkę z wyraźnym podnieceniem, paru mężczyzn wyciągnęło chusteczki, aby otrzeć sobie czoło, niektóre spośród kobiet poczęły zawstydzone odwracać wzrok i zasłaniać oczy swoim partnerom.

Tymczasem prowadząca kontynuowała wykład z narastającym entuzjazmem, chrząknawszy parę razy pod nosem i poprawiwszy znowu okulary:

– Jak państwo mogą się domyślić, stymulujemy teraz bezpośrednio piersi modelki, co powoduje u niej wzrost seksualnego podniecenia. A10, nogi! – zwróciła się srogo do modelki.

Na te słowa A10 rozchyliła zgrabnym ruchem nogi, ukazując rozgrzanej już do granic możliwości widowni swoją nagą, bladą cipkę, równie idealną, co reszta ciała. Ci, którzy siedzieli najbliżej, wydali tęskne westchnienie, zdawało im się, że niemal czują słony, morski zapach kobiecego narządu, jakby zasiedli do stołu w wykwintnej restauracji i dostali talerz najlepszej jakości owoców morza.

– F12, test numer 206 – powiedziała prelegentka.

Na te słowa pierwszy z usłużnych pomagierów nałożył gumową rękawiczkę, zbliżył się do modelki i przytknął demonstracyjnie papierek lakmusowy do narządu rodnego A10. Telebim pokazał, jak papierek namaka kobiecym śluzem.

– Proszę państwa, są dziś państwo świadkami przełomu technologicznego! – entuzjasmowała się prelegentka. – Papierek lakmusowy potwierdza znaczny wzrost fizycznego podniecenia kobiety, śluz wydziela się obficie. Ponadto, F13 – mrugnęła do drugiego pomagiera – powiększyły się wargi sromowe. – F13 zgrabnym ruchem zbliżył się do modelki i zmierzył jej idealnie skrojone, równiutkie wargi sromowe elektronicznym przyrządem.

Wynik natychmiast pojawił się na telebimie: istotnie, w porównaniu ze stanem wyjściowym genitalia A10 znacznie się powiększyły.

– A teraz mały bonus dla państwa – rzekła prelegentka z tajemniczym uśmiechem. – Symulacja pocałunku. – I mówiąc to, wcisnęła czerwoną ikonkę ust.

Zapadło kilkusekundowe milczenie.

– Proszę państwa, zbliżamy się do sedna! – podjęła na nowo podniesionym głosem. Teraz jej entuzjazmu nie dało się już nie zauważyć. Wyglądała jak iluzjonistka zmierzająca do finału swoich kuglarskich sztuczek.

Temperatura w pomieszczeniu podniosła się jeszcze bardziej, modelka oddychała coraz szybciej, wykonując skręty szyją to w prawo, to w lewo. Jej piękne blond włosy rozsypały się na

oparciu fotela jak luksusowa narzuta. W niektórych rzędach ruszyła kolejna fala emocji. Niektórzy wstawali z miejsc i opuszczali salę konferencyjną, czasem ciągnąc ze sobą swoich towarzyszy.

– Proszę państwa, nie ma się czego wstydzić! – zareagowała prowadząca. – Ciało ludzkie ma swoje potrzeby, które poznaliśmy dokładnie w toku badań biochemicznych! Należy je zaspokajać przy użyciu odpowiednich środków. W przypadku ciała kobiecego są to: wibrator na baterie, gumowe kulki dopochwowe, hiszpańska mucha z kauczuku. A dziś dokładamy do tego supernowoczesny sprzęt oparty na najnowszej technologii; sprzęt, dzięki któremu orgazm nie będzie już nigdy problemem, wywołają go bowiem w ciągu dwóch minut specjalne diody kierujące sygnał bezpośrednio do mózgu. W ten sposób będzie można zaoszczędzić cenny czas i poświęcić go na zajęcia bardziej rozwijające i przydatne społecznie niż pospolite ruchy frykcyjne; mówię o twórczości artystycznej i naukowej, o rozwoju szkolnictwa wyższego, działalności charytatywnej w sektorze zdrowie i bezpieczeństwie publicznym. – Patrzcie! – zawołała i wcisnęła umiejscowioną centralnie ikonę waginy.

Modelka zaczęła się wić, wydając z gardła nieartykułowane dźwięki. Jej głowa chodziła w prawo i w lewo jak w epileptycznym ataku, uda trzęsły się, unosiły i znów opadały na fotel, oczy pozostawały zamknięte, jednak pod powiekami dało się dostrzec przyspieszony ruch gałek ocznych jak w najbardziej intensywnej fazie snu, stopy raz po raz odrywały się od podłogi, palce wykręcały.

– Teraz! – krzyknęła prowadząca, na co modelka wydała z gardła przeciągły krzyk połączony z gorączkowymi próbami nabrania powietrza w płuca, jakby była wielką, wyciągniętą z wody rybą.

Publiczność eksplodowała jak nadmuchana żaba. Zresztą modelka też. Bo prelegentka zawołała właśnie:

– Wielokrotny orgazm? Proszę! – I w ustawieniach podbiła wysokość jednego z słupków do pozycji „x10”. Ciałem dziewczyny zaczęły wstrząsać krótkotrwałe, lecz intensywne drgawki, seria przyjemności zdawała się nie mieć końca, A10 krzyczała i rozpaczliwie łapała oddech, na przemian płacząc i się śmiejąc. Fotel mokry był od wydzielin jej organizmu.

Wtedy chyba Tamara się obudziła, również cała mokra – miała orgazm we śnie. Ostatnio często jej się to zdarzało. Jej nieużywane ciało próbowało w ten sposób radzić sobie z kumulowanym napięciem seksualnym. Żałowała, że sen nie potrwał dłużej, prowadząca

zapewne zaprosiłaby publiczność do salonu sprzedaży i zaproponowała zniżki na sprzęt, Tamara była ciekawa ceny, mogłaby się skusić i wziąć na raty, ileż można nadwerężyć mięśnie rąk, ileż razy można poznawać scenariusze pornoli, zwłaszcza że istnieją trzy. Niestety, jak zwykle rzeczywistość pokrzyżowała jej ambitne, technologicznie zaawansowane plany, nie da się ukryć, że tę dziewczynę prześladował życiowy pech.

Nie tylko zresztą pech był jej problemem. Teraz, kiedy się obudziła i jak każdy normalny człowiek powinna wejść w życie zgrabnym krokiem, nie może tego zrobić. Przeszkadza jej dobrze znany kompan, strach, który wraz z nią budzi się do życia, przeciąga w niej oślizgłe ciało i rośnie w środku, tak prędko, jakby był zmutowanym płodem, domagającym się przedterminowego wyjścia na powierzchnię poprzez natarczywy stukot miliona kłujących piąsteczek.

Nie potrafiła powiedzieć, kiedy ten strach pojawił się w jej życiu. Wiedziała tylko, że nie ma gorszego, bardziej trującego uczucia. Ono też łączyło ją ze światem zwierząt. Bała się przede wszystkim, że życie pozostanie już tylko tym, czym było do tej pory, przykładem paradoksalnej egzystencji, w której pomimo nadmiaru doświadczeń i bodźców nie zdarzyło się praktycznie nic. To znaczy nic godnego zapamiętania. Idealny przykład na to, jak intensywne eksperymenty kumulują się w człowieku w idealną pustkę.

Plany, nadzieje czy nawet wydarzenia, które niosły jakiś sens, zachowywały się jak karaluchy – czaiły się gdzieś po kątach. Tamara wiedziała, że istnieją, czasem podczas samotnych, bezsennych nocy słyszała ich ciche szemranie pod podłogą, jednak ilekroć próbowała zapalić światło i na nie zapolować, natychmiast się rozpierzchały. I znowu zostawała z niczym, zawstydzona swoimi żalonymi wysiłkami.

Bała się trzeźwości i utraty złudzeń co do własnej osoby – dopóki tkwiła w otulinie alkoholu i narkotyków, świat jedynie ostukiwał ją drewnianym młoteczką, nie mógł wymierzyć jej decydującego ciosu i powalić jej na łopatki; co z tego, że od początku była w tej walce skazana na spektakularną przegraną.

Tamara bała się, oczywiście, samotności. Bała się również codzienności, jej gruboziarnistej faktury. Przede wszystkim jednak bała się pułapek, jakie szykują jej ciało i upływ lat. Bała się utraty urody, jedynej rzeczy dającej jej czasem w życiu satysfakcję – tę związaną z przewagą nad mężczyznami, z władzą nad ich pożądaniem, któremu zawsze mogła powiedzieć „nie”. Lubiła smak triumfu, dobrze wiedziała, co to znaczy być w centrum zainteresowania, czuć się jak gwiazda wieczoru, która skupia na sobie wszystkie spojrzenia. Nic nie mogło równać się z tym cudownym uczuciem. Dlatego tak bardzo się bała, że to się skończy. Że jej ciało będzie jak

nieurodzaj, skrawek jałowej ziemi, który nie wzbudzi zainteresowania kolonizatorów – ci przejdą obok niej obojętnie, ostrząc już sobie zęby na inne, sąsiednie poletko.

Dlatego ledwie ukończyła trzydzieści lat, zaczęła się bać starości. Wyczuwała zmiany zachodzące w organizmie. Lata niesportowego trybu życia dawały o sobie znać. Przyrost tkanki tłuszczowej oraz żółty nalot na zębach – wynik długotrwałego palenia tytoniu – prowadzą do spadku atrakcyjności seksualnej, a to z kolei do ataków lęku.

Tamara bardzo dobrze rozumiała te zależności, boleśnie i namacalnie czuła, jak traci swoje przywileje. Apogeum świetności ciała odchodziło do lamusa. Była jak Cesarstwo Rzymskie, które po okresie największego rozkwitu wchodziło w fazę przekwitania, zwiastującą niechybny, żaloszny koniec.

Nie wiedziała, że to przyjdzie tak szybko. Że wystarczy dobić do trzydziestki, żeby zacząć temu świadkować. Utrata złudzeń kojarzyła jej się do tej pory jedynie z kacem po wódce z cytryną – rzekomo niepowodującej tego przykrego stanu.

Już dawno nie *barely legal*, jeszcze nie MILF – jej ciało było w punkcie przejścia. Wszystkie zachowania uchodzące niegdyś za zabawne – tańce na barze do białego rana, kręcenie dupą do Shakiry, zalotne uśmiechy rzucane mimochodem przez ramię – innymi słowy zarzucanie wędki na kolejne męskie ofiary i spędzanie nocy w łudząco podobnych do siebie łóżkach, różniących się może tylko kolorem pościeli i zapachem zostawionym na poduszce, to wszystko wydawało jej się teraz odległe i dość śmieszne, jak wspomnienia z niezgrabnego poloneza tańczonego na studniówce.

Coraz częściej oglądała swoje krocze w lusterku. Czasem nawet, kiedy miała dobry dzień, zapytywała siebie, czy jej cipa nie była przypadkiem miejscem lądowania kosmitów, przypominała bowiem słynne kręgi w zbożu – łysą polanę z wyrastającymi gdzieniegdzie smętnymi źdźbłami. Depilacja żyłką miała zdecydowanie wiele wad. Zdarzało się zresztą, że jej cipi z Afryki porastała szczecina – brak pożycia seksualnego prowadzi do takich dewiacji. Od paru lat nie miała powodu strzyc trawnika. To, że ostatnio zafundowała sobie na kredyt brazylianę, dowodziło ludzkiej nieracjonalności.

Musiała też przyznać, że jej wargi sromowe obniżyły loty – nie były już tak jędrne i sprężyste jak kiedyś, zaczynały nieco zwisać, a ich niesymetryczność coraz bardziej rzucała się w oczy. Co więcej, na niekorzyść ewoluował również ich kolor – niegdyś różowe, teraz szły w kierunku demotywuującego ewentualnych partnerów seksualnych brązu. Dziś Tamara nie



miałaby już śmiałości tak odważnie jak kiedyś rozkładać nóg.

Z przerażeniem myślała więc o nadchodzących latach, a z drugiej strony ogarniała ją rezygnacja, że przecież prawdopodobnie nie będzie już takiej potrzeby. I tak nad jej małą, wędną cipką walczyły ze sobą Przeważenie i Rezygnacja.

Co do cycków, to miały się nieco lepiej. Od lat traktowała je kremem, który pomagał utrzymać im jędrność, teraz zmieniła go po prostu na droższy. Stojąc nago przed lustrem i spoglądając na nie – wciąż dumnie wyprężone, kształtne – plus wynikający z niekarmienia potomstwa – pomyślała sobie jak alkoholik znający teorię faz picia, że ma jeszcze pięć lat.

Oczywiście próbowała toczyć wojnę z wolnymi rodnikami. Stąd w jej łazience mnogość rozmaitych kremów, szamponów, balsamów i innych produktów mających przedłużyć termin ważności jej ciała. Reklamy w kolorach genetycznie zmodyfikowanych owoców zapewniały, że systematycznie wykonywany peeling połączony z częstym liftingiem oraz działalnością antycellulitisową są właściwą drogą do celu.

Tamara niby próbowała je stosować, ale po przeczytaniu etykietek najczęściej przechodziła od entuzjazmu do wątpliwości. Na przykład takie maseczki – jak trzymanie przez pół godziny na twarzy czegoś o konsystencji bajora może dać dobre efekty? Co niby można przez to osiągnąć? Zamienić twarz w skorupę? A potem zdjąć, zdrapać tę tekturę, którą uprzednio nazywała twarzą, i wydobyć na światło dzienne świeże, żaroodporne ciało, na którym nie można złamać nawet paznokcia: ciało przefiltrowane, odparowane, wyżęte i wykrochmalone? Jakby ciało było prześcieradłem, które można wyprać, oddać do magła i w ten sposób poddać gruntownej odnowie.

Producenci kosmetyków nie oglądali chyba amerykańskich horrorów: wiadomo, że jak reaktujesz trupa, to powstaje zombie, jeszcze straszniejsze niż oryginał. W jej nocnej szafce, z konieczności pełniącej również rolę apteczki, miejsce kondomów, lubrykantów czy tabletek z magnezem o podwójnej mocy, z witaminą B6, który miał wspomagać ją po szalonej nocy, zajął verdin na wątrobę, doppelherz na serce oraz inneov przeciw starzeniu się komórek. Osobliwe poczucie humoru Tamary sprawiało zresztą, że ochoczo mieszała je z alkoholem i kokainą, dokonując – jak każdy człowiek w nałogu – odsuwających wyrzuty sumienia racjonalizacji.

Kiedyś ignorująca kompletnie zasady zdrowego odżywiania, przekroczywszy trzydziestkę, uczyniła je swoim nowym hobby. Ilekroć kupiła jakąś gazetę, natychmiast wertowała ją w poszukiwaniu porad żywieniowych. Wiedziała już wszystko. Żywność musi być bio i mieć

odpowiednią ilość kalorii, białe należy zastąpić zielonym, obowiązująca liczba posiłków dziennie równa się pięć, produkty muszą charakteryzować się niskim stopniem przetworzenia, wszystkie konsumowane rzeczy trzeba przed wprowadzeniem do żołądka dokładnie pogryźć. Jeśli woda, to bez gazu, jeśli herbata, to zielona, jeśli mięso, to ryb, prócz tego jajka, pomidory, smoothie z owoców i warzyw, przede wszystkim jednak przed przystąpieniem do posiłku należy sprawdzić, czy w danym sezonie w ogóle modnie jest jeść.

Nie da się ukryć, że liczba przyjemności w życiu Tamary niepokojąco szybko się kurczyła. Życie było mistrzem paradoksu – z roku na rok żądało więcej wyrzeczeń po to, by w dobrej kondycji utrzymać ciało, z którego ze względu na jego starzenie się i tak mało kto chciał korzystać.

Im bardziej Tamara zagłębiała się w czarną, tłustą pastę własnych myśli, tym bardziej brzydziła się sobie samej i swojego ciała. Jej genitalia – mokry, ciemny tunel donikąd, sprawiający sekretną frajdę tym, którzy zapłacą za bilet – były jak ścieżka strachu w wesołym miasteczku. W młodości mówiono jej, że od uprawiania seksu należy się powstrzymywać, bo to niezbyt po katolicku, a później wręcz przeciwnie: bierzecie i jedzcie z tego wszyscy, z tego ciała, w które jest obleczona. To właśnie seks jest w modzie, nowa religia, która zawiedzie ją do sanktuarium najwyższych uciech. Ten festiwal sprzecznych głosów sprawiał, że z normalnego człowieka oprawionego w skórę i światopogląd zamieniała się w pacjenta na stole lekarza eksperymentatora, była opłataną milionem nieprzystających do siebie kabelków, sączących w nią płyny nawzajem znoszące swoje działanie. Była chora, jej krew była siedliskiem trucizny, wszystko, co potrafiła z siebie wydobyć, to jakiś logarytm rozpacz i bezgłośniego błagania o pomoc, którego – z uwagi na niską zawartość słowa mówionego w milczeniu – nikt nie potrafił odczytać. Czasem zdawało jej się, że w nocy świeci z bólu. Jej skóra wysyła na zewnątrz komunikat, tworząc napisy ze świecących jak neony, niebieskich żył. Ale wkoło i tak była pustka, tylko pokój rozbłyskał na chwilę nieprzyjemnym, niebieskim światłem – jak na OIOM-ie albo w hospicjum. O, porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy...

Rezygnacja z seksu była więc jakimś wyzwoleniem. Choć wygrała tę bitwę z ciałem, nie wygrała innej – o głód. Ciało domagało się pożywienia, a ona – bez względu na zmęczenie czy kaca (chyba że był to kac głodowy, podczas którego nie chce się jeść) – musiała je karmić, ciało było jej nigdy nienarodzonym, utrudniającym życie dzieckiem. Tak i teraz: ciało wymierza jej cios pięścią, domagając się posiłku. Tymczasem w lodówce Tamary niepodzielnie królują światło

i dwie butelki żołądkowej gorzkiej, które musiała chyba kupić jakoś w drodze do domu, przecież wczoraj ich tutaj nie było. Tak czy siak, podobno można zdecydować się na antydepresyjną terapię światłem, Tamara czytała o tym w pewnym piśmie ezoterycznym – choć nie bardzo wie, jak to się robi.

Próbuje najprostszej – staje przy lodówce, otwiera na oścież usta, ten lufcik, przez który niechciane życie może już zacząć powoli ulatywać, czeka, aż światło wsączy się w nią i ją wypełni. Gdy o tym myśli, ma refleksje natury religijnej – wypełnić się światłem, czy nie jest to synonim zjednoczenia się z Bogiem? Bóg jest światłością, Bóg jest miłością – słyszała podobne opowieści przez lata uczęszczania na katechezę, Bóg jest wszystkim, czego nie ma – mogłaby dopowiedzieć po latach. I ten Bóg mieszkający tymczasowo w lodówce wcale nie chce wypełnić Tamary, nie chce zejść z białych, nieco odrapanych półek, poza tym jest zimno – jasność miała oślepić i ogrzewać, a ta tu kpi sobie z prób nawrócenia, nie chce wejść w ciało, funduje mu tylko dobrze znany chłód i upokorzenie.

Z pewnością przyjemniejsze rzeczy fundowała mi wódka – myśli Tamara, patrząc na grzecznie stojące w rogu lodówki butelki z rudym napojem. Ale chwilowo nie może sobie pozwolić na tę przyjaźń, nawet upadłe pijaki, jak ona, muszą czasem zrobić sobie przerwę i coś zjeść. A łapie ją właśnie kacowy głód, głód najgorszego sortu, kiedy to ma się ochotę jeść ostre zupy. Oczyma duszy swojej widzi talerz parującej, tajskiej potrawy, idealny miks słodkich, kwaśnych i ostrych przypraw. Odrobina śliny spływa na jej wyschnięty język, ale co robić? Gdyby miała choćby kostkę rosółową i jedno zagrzebane gdzieś pod kanapą rafaello, mogłaby zrobić sobie tajską zupę własnego autorstwa. Jak na złość, nie ma tych składników, nie ma nic, jedyne, co może zrobić, to zupę żołądkową gorzką, a na taką chwilowo nie ma ochoty.

Jak dobrze, że mieszka w wielkim mieście, do tego mieście, które jest stolicą, a w stolicach jest wszystko, również bogata oferta gastronomiczna, z której nie skorzystać byłoby grzechem. Wystarczy jeden telefon i za godzinę wymarzona tajska zupa ląduje w jej domu, pokonawszy dystans kilkunastu ulic, splątanych jak serpentyny, przyprószonych kurzem, po którym ślizgają się buty przypadkowych przechodniów, łapy psów i wszystko, co się do nich przyczepi, od kurzu po drobnoustroje.

Z zupą na kolanach włącza sobie telewizor. Wciąga ją amerykański program poświęcony problemowi rozkładu ludzkiego ciała po śmierci. Tamara wsuwa do buzi łyżkę pysznej tajskiej zupy, a lektor prezentuje do kamery ludzką głowę w różnych stadiach pośmiertnego rozkładu;

najpierw jest całkiem normalna, następnie pojawiają się na niej robaki, zresztą nie jednego gatunku, ale paru, czego można się domyślić po ich kolorach, w końcu tkanka mięsna znika i zostaje biała, przyzwoita kość, taka, jaką można zobaczyć w horrorach albo w *Hamlecie*.

Następnie w programie rozpoczyna się część poświęcona pozbywaniu się tego, co miało tak mało szczęścia w życiu, że aż umarło – cóż, wszystkim się zdarza. Można na przykład takie coś pochować w trumnie, ceny tej wahają się między X a Y, jednak czas realizacji zamówienia jest krótki, drewno wysokiej jakości, a satysfakcja gwarantowana. Kto nie lubi towarzystwa podziemnych robaków lub niechęć mu są procesy gnilne, może zdecydować inaczej – lepiej jednak zrobić to za życia, później może być za późno. Nowoczesna kremacja przeprowadzana jest w piecu kremacyjnym, przynajmniej dwukomorowym, którego konstrukcja umożliwia bezpośrednią obserwację przez osoby bliskie wprowadzenia zwłok do pieca, co u niektórych może budzić niechęć skojarzenia; pora wyzwolić się z lepkich macek własnej pamięci i wybrać drogę postępu. Piec może być opalany olejem opałowym lub gazem, proces spalania nadzoruje komputer, zatem odbywa się on w pełni automatycznie. Prochy po spalaniu, przed umieszczeniem ich w urnie, są rozdrabniane w odrębnym urządzeniu. A później już urna w rękę i do domu, całość nie kosztuje aż tak dużo, pora pomyśleć o tej miłej alternatywie dla tradycyjnego pogrzebu – świat jest usłużny i merda do nas ogonem, co rusz przynosząc w pysku kolejne dobre pomysły.

Tamara dalej pożera zupę: pozycja numer 14 w karcie dań tajskiego baru, zupa o nazwie „Coco Thai”, składa się z mleka kokosowego, kurczaka, pieczarek i kolendry, cena 14,99 zł, płatne przy odbiorze; Tamara myśli, że to bardzo dobrze, iż zarówno śmierć, jak i dostawa posiłków podlegają dziś daleko idącym ułatwieniom.

A teraz poprawka, mała errata do tematu „życie towarzyskie Tamary”. To nieprawda, że Tamara nie ma w Warszawie żadnych znajomych. Otóż ma, jednego. Kolega nazywa się Max. Tamarze od zawsze wydaje się, że Max to nie mężczyzna, ale zjawisko. Fakt kulturowy, którego definicję trzeba opracować i wrzucić do Wikipedii, dodać jako tag hasła „narkomania”.

Ma nawet własną propozycję: „Max – singiel, 30–50 lat, istnienie ufundowane na paradoksie: stała, odpowiedzialna praca (sektor usług) kontra manifestowanie pogardy dla systemu poprzez alternatywny styl życia (alkohol, narkotyki, muzyka indie). Bywa, że posiada nieślubne dzieci, jednak jego zdolność do utrzymywania trwałych relacji jest ograniczona, jeśli nie żadna. Mimo to ma cechy romantyka – uczuciowość, wrażliwość, zagubienie maskowane cyniczną postawą i nader rozrywkowym trybem życia. Uparcie czeka na odmianę losu, która nigdy nie nadchodzi”.

Taki właśnie był Max.

Wszystkie rozmowy Maxa z Tamarą, choćby rozpoczęte od ambitnego tematu, nieuchronnie kończyły się na piciu i ćpaniu: Od AGD i TVP przechodzili do LSD i DMT. Od słodzenia herbaty cukrem trzcinowym do rozmów o heroinie, której jednorazowe użycie przysporzyło Tamarze w pewnych kręgach wielkiego splendoru. Nie można powiedzieć, by istniała w ich rozmowach wielka rozpiętość tematów. Kiedy omówili cały *Misuse of Drugs Act*, groziła im sroga cisza.

Kiedy więc Tamara widzi, że dzwoniący telefon wyświetla imię Maxa, przeżywa chwilę wahania. Z jednej strony jest tak jakby wczorajsza i powinna trochę poleżeć do góry kołami, z drugiej już popołudnie, zaraz trzeba znowu iść w miasto i się czymś zrobić, a kto jej w tym lepiej pomoże niż Max? Odbiera więc telefon i słyszy chropawy głos jej wiernego kolegi po narkomańskim fachu, głos, którego brzmienie przypomina odgłosy konającego magnetofonu Thompson.

– Stara, mam newsa! – mówi podniecony Max.

– No co jest?

– Mefedron zakwalifikowali do kategorii B! Znaczy, że nie ma się co bać, możemy jeszcze trochę na nim pojeździć, jeśli jest w drugiej lidze, to nie może być aż tak szkodliwy...

Śrubki w tym niszczącym mechanizmie, jakim jest Tamara, kręcą się ciągle powoli, więc wiadomość dociera do niej z opóźnieniem. Minie chwila, nim dziewczyna zrozumie głębię tego komunikatu. A kiedy już się to staje, wzdycha tylko cicho do siebie i odpowiada w zwolnionym tempie, udręczonym głosem:

– Stary, i tak mnie nie kręci już to całe gówno, to jest zajebiste tylko za pierwszym razem, potem już nigdy, te wszystkie głupie gadki z *Trainspotting* znajdują tu zastosowanie; zresztą słyszałam, że to jest właśnie bardzo szkodliwe i powoduje dziury w płucach.

– Jak w płucach, przecież tego się, kurwa, nie pali!

– Nie wiem jak, srak, mówię, co czytałam, zresztą jestem teraz dosyć zmęczona i mi słabo działa intelekt, okej?

– No właśnie, siedzisz w domu, buca parzysz, tak więc zaraz do ciebie wpadnę i rozkręcę twój młynek, mam coś fajnego.

– Co?

– Chujów sto, ha, ha! Cytat z mistrza, kto to, kto?

– Chylińska.

– Bravo!

– No to co masz?

– Royal Family. Nie mów, że nie chcesz spotkać w swej alkowie Prince’a Charlesa?

Tamara waha się przez sekundę, ale propozycja darmowego towaru klasy A nie jest codziennością, mówi więc z rezygnacją do słuchawki:

– Stary, dobry Charlie, członkom rodziny królewskiej się nie odmawia.

– Będę za godzinę.

Niestety, Max, w przeciwieństwie do innych narkomanów, jest słowny i punktualny. Za godzinę wpada więc do mieszkania śniętej jeszcze nieco Tamary, której nastrój i wygląd dogorywającego wigilijnego karpia maskowany jest atrakcyjnym strojem, jaki na siebie włożyła z okazji zjawienia się gościa. Co więcej, Max zjawia się w towarzystwie dwojga młodych ludzi obojga płci, z którymi Tamara nigdy nie miała nieprzyjemności, zatem reaguje nerwowo:

– Zaproszenie było jednoosobowe.

– Oj, już nie bądź taka aspołeczna! – obrusza się Max, smyrając jej policzek zionącymi wczorajszą wódką ustami. – To są tacy moi nowi znajomi. Dokładnie z wczoraj, z mordoru. Aleksandra i Natan.

– Anastazja – mówi dziewczyna w wieku lat około dwudziestu, której powagi dodają jednak wzięte wczoraj narkotyki.

– Tymoteusz – dorzuca przyjacielsko chłopak, który również urodził się w czasach transformacji ustrojowej i bezceremonialnie siada na jednym z foteli.

– W ogóle to dzwoniłem do ciebie wczoraj! – mówi Max z wyrzutem.

– I co, odebrałam? – pyta beznamyślnie Tamara, a Max już ładuje triumfalnie na stół pakuneczek z białym proszkiem, oznajmiając: a-ha! – Co się tak, kurwa, cieszysz? – mówi Tamara głosem starej burdelmamy. – Ty już w nosie masz mieszkanie wraz z samochodem.

– A chuj, żyję dla doznań! – śmieje się Max. I nie czekając na oficjalne „usiądźmy do stołu”, montuje już na blacie dwie zgrabne kreski przy użyciu starej Oyster card. Po czym milknie i zapraszającym gestem wskazuje na dwie równiutkie przepustki do lepszego świata. Młódzież spogląda pytająco na Tamarę. A ta patrzy na rozsypany towar z kwaśną, niezdecydowaną miną, jakby była z wyjątkowo wysokich warstw społecznych i codziennie spożywała kokainę w ramach niezobowiązującej przekąski. Waha się, omiata wzrokiem swego przyjaciela i mówi z lekką naganą w głosie:

– Łojezu, a ty znowu prostowałeś włosy? Wyglądasz jak ciotoland.

– Co zrobić, to nałóg! Jedni piją, drudzy biją żonę, a ja – ja prostuję włosy!

Tamara mruczy z dezaprobatą i pochyla się nad stolikiem, by wziąć swoją kreskę. Max, który zdążył już się obsłużyć, jest mocno zrobiony, puszcza piosenki na YouTube i tańczy sam na środku pokoju, jak aktor w filmie Lyncha. Anastazja i Tymoteusz zachowują się jak dwugłowa hydra – naraz pochylają się nad stolikiem i ściągają, co do nich należy, jednym szybkim posunięciem.

Śmieją się, wszystko jest zabawne. Temu poczuciu humoru na imię kokaina.

– Coś słabo wyglądasz – mówi Tamara do Maxa. – Twoja kontrowersyjna uroda zyskała kolejnych przeciwników. Może chociaż coś zjesz? Jakieś kanapki, chleb? – Mimo lepszego humoru Tamara wciąż ignoruje dwójkę nowych znajomych. Z kuchennej szafki wyciąga chleb krojony pszenny, choć mógłby z powodzeniem nazywać się chlebem pradawnym, bardzo staropolskim, zważywszy na cienką warstwę zaścielającej go pleśni. Max nie dostrzega pleśni, ale widok chleba krojonego powoduje u niego przyływ kolejnej fali dobrego humoru.

– Chleb krojony, chleb krojony! Musisz wszystko mieć w takiej formie: wprost do konsumpcji?! Chleb w kromkach, ser w plastrach, koks w kreskach!?

– No racja – mruczy Tamara – czasem mam wrażenie, że niedługo wejdę do Lidla i kupię swoje genitalia w worku. Lepiej się napijmy. Co chcesz? Wódka, wino, browar?

– Wódkę – śmieje się Max. – No a naszym kolegom co? Będą tak siedzieć o suchym pysku? Co lubicie pić?

– Mohito – mówi Anastazja.

– Club mate – dodaje Tymoteusz. – Bo jak biorę, to nie piję.

Zapada cisza, Tamara patrzy na nich przez chwilę tak, jakby byli pleśnią na najdroższym rodzaju parmeńskiej szynki, po czym cedzi:

– Mogę zaoferować wodę z żelazka.

– Oj, napiją się po browarze! – ratuje sytuację Max, a jego sprawne dłonie narkomana formują na stole kolejne białe kreski. – Słuchaj, musimy pojechać do Bristolu – mówi, ubijając towar swoim Oysterem. – Tam każdy częstuje towarem. Albo do Paryża, choć tam mam trochę gorzej obczajoną trasę.

– Byłeś w Paryżu? – dziwi się Tamara. – Ćpać?

– Nie, kurwa, pisać książki nad Sekwaną!

– Będziemy w kontakcie – mówi sceptycznie Tamara. Pomysły Maxa wpędzają ją w konsternację. Nie żeby sama swoim życiem prezentowała wielką rozpiętość tematyczną, ale ten chłopak powinien jej zdaniem robić za PR-owca południowoamerykańskich bossów narkotykowych. Siedzieć w kartelu na pozłacanym krześle i nadawać na cały świat audycję o tym, jaki to *fun* być narkomanem.

– No jak chcesz – mówi nieco obruszony Max – ale jak tam ostatni raz leciałem, to znalazłem kontakt już w samolocie. Sprzedał mi grama charliego zaraz po lądowaniu, na telefon w godzinę. Nie to co tu, że muszę ustawiać zegarek na trzecią rano, żeby wbić do tych mordowni. No i druga sprawa, jakość. Polska biała łąka jest gówniana, nawet śmierdzi jak żwirek do kuwet.

– Żwirek do kuwet – Tamara obraca te słowa na języku. – Czasem sama się czuję jak żwirek do kuwet. Małe, twarde, nadające się już tylko do obsrania.

– Wiesz co, jak tak dalej pójdzie, to cię wcisną do historii filozofii między Schopenhauera i Ciorana! – śmieje się Max. – Nawet nazwisko masz dobre – Mortus! Tamara Mortus i jej zmieniający oblicze filozofii dwudziestego pierwszego wieku kuwetyzm!

– Totalnie nie wierzysz w siebie – z kanapy dobiega głos żeński. Jak widać Anastazja, na swoje nieszczęście, postanowiła wziąć udział w dyskusji.



– Ej, Max – mówi powoli Tamara – ty ją stąd weź, nim ją uszkodzę.

– Ale serio, w dzisiejszych czasach możesz być, kim chcesz – upiera się Anastazja. – Tylko musisz w to uwierzyć!

– Możesz być, kim chcesz, przede wszystkim zaś nikim – kwituje mrukliwie Tamara i patrzy ostrzegawczo na Maxa.

– Ale Aleksandra ma rację! – broni jej Max. – Ja na przykład chcę być gwiazdą!

– Gwiazdą czego? – pyta Tamara, unosząc brew.

– Czegokolwiek! Oj, no coś trzeba robić w życiu! Ty wybrałaś picie, ale dla mnie... Dla mnie ono jest zbyt anonimowe!

– Z taką postawą niewiele zdziałasz – kontynuuje Anastazja, wbijając swoje wielkie jak spodki oczy w Tamarę. – Wydaje mi się, że koniecznie powinnaś zapisać się na kurs asertywności lub jedno z tych absolutnie fenomenalnych zajęć psychoterapii ruchowej. Daję słowo, że taniec transowy naprawdę pozwala wydobyć z siebie siły witalne, na nowo odkryć kobiecość. Przyznam ci się po cichu, że ja sama kiedyś byłam nieśmiała! Ja – rozkręca się już na całego, przepijając swoje słowa piwem, patrząc raz na Tamarę, raz na Tymoteusza – czy możecie w to uwierzyć? Ja, która w każdym barze mam wszystko stawiane, zanim jeszcze do niego wejdem, właściwie zanim wyjdę z domu, mam stawiane, zanim w ogóle pomyślę, że gdzieś dziś wychodzę, ja również nie wierzyłam w siebie! I wtedy odkryłam zumbę! Dziś jestem zupełnie innym człowiekiem. Literalnie, straciłam bowiem dwadzieścia kilo. Radzę ci dobrze, prędko się zapisz, mam tutaj gdzieś chyba ulotkę, inaczej pozostaniesz tym, kim jesteś: zgorzkniałą, starą babą, której cipa przypominać będzie nieużywany tor do gokartów, pełen śmiecia, zarośnięty trawą. Nikt tam nie wjedzie nawet za darmo. – To mówiąc, Anastazja zanurza dłonie w swojej miniaturowej torebce formą przypominającej z grubsza łabędzia i bezceremonialnie przetrząsa jej zawartość.

Tamara, chwilowo oszołomiona tą niespodziewaną przemową, zatem milcząca, zaczyna odzyskiwać wigor i przechodzi do obserwacji. To konieczny etap, aby pokonać przeciwnika, trzeba najpierw poznać jego zwyczaje. I kiedy tak patrzy na tę grzebiącą w swoim inwentarzu osobę w wyzywającej czerwonej sukience, z burzą ciemnych loków opadających idealnie na twarz w ściśle wymierzonych miejscach, z jej noskiem tak perfekcyjnych rozmiarów, przyklejonym dokładnie tam, gdzie trzeba, z jej nogami jak z maszyny produkującej najzgrabniejsze nogi świata, z całym ciałem podlegającym ścisłym planom i obliczeniom,

korektom i cięciom – nie może oprzeć się wrażeniu, że jest w tym wszystkim coś niestosownego. Coś, co wywołuje w niej jednocześnie podziw i zazdrość. Ta jej naturalna, młoda, tak przez nią samą niezamierzona uroda, powoduje, że Tamara znów nie może się nadziwić okrucieństwu i niesprawiedliwości natury, która jednym wydziela to, co dobre, hojną ręką, z innych zaś kpi.

Tamara czuje, że sama najchętniej została by jej kochanką, chciałaby posiadać to ciało wyprodukowane bez żadnych usterek, chciałaby i ona z niego skorzystać. A z drugiej strony zaczyna do tego ciała czuć narastającą nienawiść. Ta ostentacyjna, losowo przyznana uroda i wszystko, co się z nią wiąże – cała masa niezasłużonych przywilejów życiowych – sprawiają, że przypomina sobie coś, co było i jej udziałem i co utraciła czy też nieustannie traci, jej przeszły kształt mija ją właśnie jak nadjeżdżający z przeciwka pociąg i gwizdże jej w twarz.

– No nie mogę znaleźć tej ulotki! Cholera! Znajdziesz w internecie. Wpisz „zumba, terapia dla par poprzez taniec transowy”, bo oni prowadzą takie warsztaty. Ale w każdym razie powiem ci jedno: wierzę w przepływ energii. Jeśli nie wysłesz do ludzi odpowiedniego sygnału, oni go nie złapią. To logiczne, ale nie każdy zdaje sobie z tego sprawę. Twój pech wynika z tego, że nie promieniujesz radością! Nie wysyłasz pozytywnych wibracji! Siedzisz tu taka skrzywiona, z zapadłymi ramionami, jakby całą swoją rodzinę przed sekundą rozjechał tir, jakbyś musiała zebrać z asfaltu te sprasowane zwłoki i, zważywszy na parametry, zamiast do trumien, włożyć je do pokrowców na garnitury. To cię porządnie zdołowało, myślałaś, że przynajmniej po śmierci należy się człowiekowi odrobina godności, a tutaj takie zaskoczenie. Dobra, żarty żartami, mowa o tym, że twój przekaz jest jednoznacznie negatywny – ludzie to widzą, ludzie to łapią w lot, twoja kwaśna mina przykleja się do ich twarzy jak ptasie gówno, jedno, co chcą zrobić, to to z siebie zrzucić!

Oddech ognia – myśli Tamara. Powinna teraz wykonać oddech ognia, oddalić narosłą we mnie właśnie negatywność. I kiedy próbuje sobie przypomnieć jakąś potężną mantrę, kiedy próbuje przygotować się do serii ognistych oddechów, czuje, że nie da rady, już za późno. Sama jest ogniem. Ogień płonie w niej jasnym, bezlitosnym płomieniem. Jest żywą pochodnią, zaraz zanieśie ją do jednego pokoju i do drugiego, oślepią, okaleczona, płonąca będzie biec po wszystkich pokojach, krzycząc, a włosy ułożą jej się w krwawe języki ognia, jakby była jakąś antyczną boginią.

O nie, muszę się ratować, muszę odwrócić złą karmę – gorączkuje się Tamara. Siada w kucki na dywanie, usiłuje się skupić, choć skacowana, a zarazem znarkotyzowana głowa

domaga się urlopu zdrowotnego. Zamyka oczy i zaczyna mrużyć mantrę, którą pamięta z jednego kursu: *Maakaral Shivaya Namaha*. Widzi złą karmę, która – przebudzona zaklęciami – wbija w nią złowrogie spojrzenie żółtych ślepi. Zła karma jest szara, mętna, puchata. Przypomina sowę, którą próbujesz sfotografować, ale nie możesz złapać ostrości. Wcale nie chce jej się ruszać, dobrze jej w Tamarze, urządziła tu sobie przytulny kącik. Jednak mantra chłoczce ją po uszach, zła karma wykonuje w Tamarze półobrót, obrażona, niby zmierza do wyjścia, ale po chwili coś jej się przypomina. Na jej twarzy pojawia się złośliwy uśmiezek. Z siebie tylko znanych kryjówek wyciąga wielkie, tłumiące słuchawki, wkłada je na uszy i – osłonięta przed śpiewami Tamary, znów zapada w błogi sen.

– Niedobrze ci? – Gdyby to był film, na Tamarze spocząłby cień rosłej osoby płci męskiej. – Mówiłem, że jak zjeżdżasz po białej łące, to lepiej nie pić.

To on, szara eminencja dzisiejszego wieczoru, która wreszcie odnalazła swoją kwestię w scenariuszu. Tymoteusz.

– Nie, wszystko świetnie – mówi Tamara i powoli otwiera oczy. – I wręcz przeciwnie. Zawsze lepiej pić. Nic nie działa na mnie tak pobudzająco jak szklaneczka whisky. Dlatego proszę, byś skoczył do kuchni – to jest to miejsce, gdzie jest najwięcej pustych butelek po alkoholu – i przyniósł mi butelkę Johny Walkera.

– No, Natan, skacz! – ożywia się Max i czule obejmuje swoją przyjaciółkę. – Ona tu rządzi!

– Tymek. Jestem Tymek.

– Mniejsza o imponderabilia. – Max wzrusza ramionami.

Tymoteusz znika w kuchni i po chwili wyłania się z niej z butelką alkoholu w ręce, już od przedpokoju mówiąc stanowczo.

– Wiem, co poprawiłoby ci humor.

– Koniec świata? – pyta retorycznie Tamara.

– Raczej promocja: dziesięć winek w cenie jednego! – szczerzy się Max.

Anastazja nic nie mówi, bowiem jest właśnie zajęta wylizywaniem stołu z resztek towaru.

– Nie, nie, miałem na myśli coś zupełnie innego – mówi z powagą Tymoteusz. – Nastka mówiła już o zaletach płynących z kursu tańca. Osobiście jestem zwolennikiem innej formy terapii – poprzez sztukę. Po czym sięga do kieszeni, wyciąga z niej jakiś miniaturowy sprzęt grający i mówi: – Tworzę muzykę. – Nie pytając o zgodę, wkłada do uszu Tamary słuchawki

i włącza „play”. Muzyka zdaniem Tamary brzmi jak wiosenne orędzie jaszczurów z kosmosu do ludzi z planety Ziemia, przesłane w pliku MP3.

– Aha, to już wiemy, co chcieli powiedzieć nam kosmici – mówi więc. – Sam się z nimi kontaktowałeś czy za pośrednictwem menedżera?

– To moja autorska kompozycja – mówi Tymoteusz.

Max dusi się ze śmiechu, usiłując dać Tamarze znaki rękami, by przestała. Tymczasem Anastazja, która zasługuje na order za zasługi w czyszczeniu stołu językiem, podchodzi do nich ze swoją łabędzią torebką pod pachą, co wygląda trochę tak, jakby brała udział w akcji ratowania bezdomnych ptaków z zamrzniętej Wisły, i mówi:

– Jest może jeszcze towar? Bo nie spałam czterdzieści osiem ha i przydałby mi się jakiś *refreshment*.

– No właśnie, może wszyscy jeszcze po kreseczce? – Max klaszcze w dłonie i wysypuje na stolik jakieś marne resztki. – Pani domu pierwsza.

Tamara bierze ostatni łyk whisky i schyla głowę nad stołem. Inni po chwili idą w jej ślady – jakby ich ruchy były dziełem wybitnego choreografa.

– No to jak się poznaliście? – pyta Tamara, odchylając głowę do tyłu i kładąc się na kanapie. Ustąpiło z niej całe napięcie. Widzi młodych ludzi wreszcie w pozytywnym świetle. Taka piękna młodzież, jak z obrazów Caravaggia.

– Ach, to było olśnienie – odpowiada Anastazja, uśmiecha się i odgarnia włosy z czoła. – Padał deszcz...

Tamara wyłącza się już po pierwszym zdaniu. Deszcz nie może zwiastować opowieści, o jaką jej chodzi. Już wołałaby usłyszeć, że poznali się podczas zdjęć do japońskiego pornosu – to właśnie jego, tego Tymoteusza posuwiste ruchy w sobie najlepiej zapamiętała, mogłaby przysiąc, że pod tym workiem na twarzy skrywa się niebanalna jednostka, człowiek wielkiego formatu. Te jego idealne, tak doskonale wyważone ruchy frykcyjne, jednocześnie delikatne i mocne... Miały precyzję i moc atakującego węża, a zarazem matczyną czułość... To nie mógł być przypadek. I w przerwie na kawę – pamięta to dobrze, musieli ją zrobić, bo skończył się lubrykant, asystent reżysera wyleciał przez to z pracy – zauważyła w barze pewnego mężczyznę, jęło ją ciągnąć ku niemu na zasadzie tajemnego magnetyzmu dusz. Nie wiedzieć czemu, od razu wiedziała, iż to właśnie on jest jej sekspartnerem numer 3459. „3459 – szepnęła aksamitnym głosem, podchodząc do niego – to moja ulubiona liczba. Czy wiesz, że w tym roku nie będzie już

świata? Ponieważ jego koniec przepowiadają na rok 2012, więc to łatwo można sobie wydedukować”. A on spłonął czerwonym rumieńcem, a potem zerznął ją w kiblu, gdy tylko skończyła się do niej pięcioletnia kolejka, i dalej żyli długo i szczęśliwie.

Tamara śmieje się z własnego scenariusza, a jej śmiech zgrywa się ze śmiechem Anastazji, która kończy chyba właśnie swoją romantyczną opowieść, i tak śmieją się razem, padają sobie w ramiona, a sobotnie popołudnie powoli przechodzi w wieczór, przynosząc zapowiedź tych wszystkich godzin jeszcze beczynnych, jeszcze niewykłutych z wielkiego jaja czasu, które na pewno nadejdą i przyniosą tyle możliwości. Tamara postanawia kiedyś spisać swój pomysł na ów wymyślony film, dodać jakiś modny wątek kryminalny.

Ale niepotrzebnie pomyślała o zbiorowym seksie, bowiem właśnie przed oczami staje jej inny ulubiony rodzaj filmów porno – *gangbang*. Jej podniecenie seksualne wzrasta o parę kresek. Tamara zerka w róg pokoju, gdzie na podwyższeniu, niczym trofeum, nagroda za wybitne dokonania w dziedzinie kultury i sztuki, stoi jej oddany przyjaciel – różowy wibrator. To on mruczy do niej w chłodne jesienne noce. I Tamara zaczyna żałować, że oni wszyscy tu są; gdyby ich nie było, mogłaby spędzić uroczy wieczór ze swym wibratorem, zamówić pizzę.

– Może zapalimy gandzię? – Jej myśli przerywa bezceremonialna propozycja Tymoteusza.

– Nie jaram – mówi Tamara. – Jaramie mnie nie interesuje.

– No właśnie, to mi przypomina o mojej koleżance, Annuszy – zaczyna Max. – To znaczy Ance, ale poznałem ją na etapie bycia przez nią projektantką mody i Annusza zdecydowanie lepiej prezentowała się na metkach. Niemniej jednak splajtowała, miała za mało chętnych na swoje świeckie sutanny, bo one były właśnie motywem przewodnim jej kolekcji, kolekcji o nazwie: „Nowe wyzwanie – zerznij księdza!”. Zdaje się, że miała nawet później sprawę w sądzie, proces o obrazę uczuć religijnych, wiesz, jaka jest Polska, wystarczy charknąć na Biblię, to nieważne, że miałeś katar, dwa lata w zawieszeniu! *Anyway*, Annusza zniechęciła się do tego całego, przeżartego nepotyzmem, koneksjami i dawaniem dupy własnej matce show-biznesu, nawróciła się, zaczęła uczyć tantry. Spotkałem ją znów na lotnisku, od trzech lat mieszkała na Islandii, była w wolnym związku, zdaje się zresztą, że jej chłopak był pedałem, w każdym razie akurat leciała na Grenlandię, gdzie miała się spotkać z poznanym w Kairze, pochodzącym z Caracas, zreformowanym buddystą, a zarazem hodowcą lam w Peru, który w zamian za naukę tantry obiecał sponsorować jej autorską sieć szkół jogi w Nepalu!

Tamarze podawane w zawrotnym tempie informacje geograficzne pomyliły się w okolicach Islandii. Globus w jej głowie kręcił się teraz w szalonym tańcu.

– No, ale o co mi chodziło? – ciągnie Max. – A, o to, że ona też nie lubiła marihuany. Lubiała tylko afgana, wiesz, takie mocno gównno z Afganistanu. Aż raz wyleciała na orbitę, nie miała kontaktu ze światem zewnętrznym przez trzy dni, niemal jak Chrystus między śmiercią a zmartwychwstaniem, no i właśnie tak się dokładnie poczuła, jak Chrystus. Ogłosiła wszystkim, że jest nowym Mesjaszem i pchnie ten cały przeżarty syfem świat na właściwe tory. Zaczęła od propagowania odżywiania się światłem. To mi się szczególnie rzuciło w oczy, jak zobaczyłem ją na lotnisku, bo wyglądała jak mój kciuk. O ile jednak wiem, miała mało wyznawców. Ludzie są dziś bardzo wycwanieni – wiesz, po czym można poznać fałszywego Mesjasza? Po tym, że przyszedł. Ha, ha, no dobra, dość tych gadek, bo ja muszę robić spad, umówiłem się z rabinem na colę, kosztowną myszkę miki.

– Co ty bredzisz? – reaguje wreszcie Tamara.

– Coca-cola, kosztowna myszka miki, idę dziś gadać z rabinem, rabin mnie kocha! Po ostatnim Purim Party przekonałem się do judaizmu.

– Dobra, jak w przyszłym roku przejdiesz na islam, to uważaj, żeby w twoim domu obok Koranu nie znaleźli planu samolotu. To może się źle skończyć.

– Islam?! Zwariowałaś?! Nie kręci mnie zapach starej kozy! Nie słyszałem, żeby Lady Gaga chciała taki wyprodukować! Poza tym judaizm jest dużo bardziej społeczny. A liczę na to, że dzięki religijnym praktykom znajdę w końcu jakąś miłość.

– Miłość? Po co ci miłość? Miłość jest dla klasy pracującej, żeby miała o czym myśleć przy taśmie produkcyjnej. *Anyway*, co teraz ze mną? Naćpałeś mnie, nachlałeś, a teraz zostawiasz samotną, na dalsze zatracenie!

– Ja, ja i ja! Nie wszystko się kręci wokół ciebie!

– Jak to nie? – oburza się Tamara. – Słyszałam, że Ziemię puścili ostatnio wokół mnie, żeby odciążyć Słońce!

– Ha, ha. Świetnie poradzisz sobie beze mnie, kiedy ostatni raz zlazłaś z miasta wcześniej niż nad ranem?

Tak, Tamara musi przyznać, że to było chyba jeszcze przed denominacją.

– Tylko zabierz ze sobą swój żywy inwentarz – mówi, wskazując kątem oka na młodych, odlatujących dalej na kanapie.

I obserwując, jak ta święta trójca wytacza się z jej progów, zastanawia się, co robić dalej. Mogłaby oczywiście wyjść sama. Zdarzało jej się to dosyć często, po którymś z kolei piwie towarzystwo przestaje robić różnicę. A Tamara grała teraz główną rolę w filmie *Droga do zatracenia*.

Inna sprawa, że zegar wskazuje godzinę osiemnastą i na wyjście do klubu jest za wcześnie. Dlatego zmyślna Tamara wybiera inne rozwiązanie. Inne miejsce, w którym można zginąć w anonimowym tłumie, szczególnie w weekend. Jest to oczywiście galeria handlowa.

Nadmiar rzeczy, których nie można osiąść, nieustanne podsycanie pragnienia, którego nie można zaspokoić, i te spacery długimi, wiodącymi donikąd korytarzami oświetlonymi sztucznym światłem, wśród setek nieznanych ludzi – jeśli istnieje piekło, musi mieć kształt galerii handlowej. Dla mnie jest ono na wyciągnięcie ręki – myśli sobie ponuro Tamara, kiedy obrotowe drzwi Złotych Tarasów zamykają się za nią bezszelestnie. Opis ten doskonale pasuje do jej życia, choć może dodałaby jeszcze do tego cieknący w niedzielę zlew.

Zważywszy na to, że kiedyś wyobrażała sobie piekło jako niekończący się utwór Kelly Family, widać pewien progres.

Idzie, mierząc wzrokiem kolejne sklepy, idzie jak zahipnotyzowana. A nadmiar kuszących rzeczy skłania ją do myśli o charakterze spożywczym; głód, rzecz dziwna, osoby pijące nie tak często go odczuwają.

Wsiada do pojazdu zwanego ruchomymi schodami i jedzie do góry, na ostatnie piętro, gdzie moc przysmaków oraz – a może przede wszystkim – napojów wiadomego rodzaju. Pragnie coś zjeść, może coś polskiego, z ziemi, tej ziemi pochodzącego, z chłopskich upraw, traktowanych spracowaną, szorstką ręką rolnika; jej wzrok pada na pieczonego ziemniaka.

– Pięć złotych?! – oburza się Tamara, podnosząc głos. – A co on jest, kurwa, ręcznie robiony?!

Słowa jej wywołują wesołość osoby stojącej obok, Tamara przysięga sobie trzymać już gębę na kłódkę, nawet jakby próbowali jej wmówić, że pokrojony na kawałki gołąbek to tańszy odpowiednik sushi, gdyż ta osoba zdaje się ją znać, już zmierza w jej kierunku nieuchronnie niczym okrutne przeznaczenie.

– Tamcia! – mówi i klepie ją wesoło w ramię. – No jak życie, dalej jesteś singlem?

– Nie, kurwa, albumem *The Greatest Hits* – odpowiada ponuro Tamara. – Pośmiertnym.

Dziewczyna śmieje się na całego, mówi, że humor zawsze był mocną stroną Tamary. Tymczasem Tamara próbuje dojść źródeł tej znajomości i myśli: jedno z trojga, barmanka, konsultantka Avonu albo jakaś dziwka robiąca hocki-klocki przed live camera, z którą przez przypadek musiałam się połączyć, wchodząc na porno strony.

– A jak tam z pracą, znalazłaś nową? U nas stara bida, tyle że dostałam twoje biurko –



mówi dalej dziewczyna, bierze swoją tackę z jedzeniem i kieruje się do jednego z rozlicznych, gęsto obsadzonych weekendową klientelą stolików, podczas gdy Tamara wydaje w duchu przeciągłe i pełne ulgi „aaaaa”. Zamawia zupełną tajską, a przede wszystkim duże tyskie i idzie w kierunku koleżanki, z obawą. Wszystko sobie przypomina – prawa ręka lamy, coś jak Heinrich Himmler dla Hitlera. *Role model* pracownika korporacji: w pracy zawsze przed czasem, wychodzi ostatnia, włosy, rzęsy, usta, wszystko z limitowanych kolekcji, jej garsonka z wełny wielbłąda wygląda, jakby codziennie odbierana była z pobliskiej pralni, jednak największą częstotliwością odbierania charakteryzuje się służbowa komórka, której dzwonek jest jak słynna kropla, którą zwykli torturować swe ofiary zmyślni Chińczycy. Tamara pamięta, że za każdym razem, kiedy słyszała Gotye – którego piosenkę Marcelina, bo tak właśnie ma na imię ta osoba, miała ustawioną w telefonie – chciała krzyknąć: nie, ja nic nie wiem, naprawdę nic nie wiem, nic nie widziałam, nic nie słyszałam!

– Niedawno wróciłam z Chin – mówi całkiem *à propos* Marcelina, kiedy tylko sadowią się przy ostatnim wolnym stoliku. Białymi zębami gryzie pęd świeżego selera.

– I co, zjadłaś kota? – pyta Tamara, chlipie zupełnie, myśli o stojącym przed nią piwie.

– Kota?! Co ty, kto by jadł koty, koty są kwaśne! – protestuje Marcelina i przerzuca się na chrupiącą marchewkę. – Jakieś tam inne ichniejsze gówno, wyciąg z woreczka żółciowego kraba czy coś.

– Zdaje mi się, że kraby nie mają woreczków żółciowych.

– *Whatever*. I tak nie zaglądałam w menu, przecież było po chińsku. Lepiej gadaj co u ciebie, jakiś seks?

I trudno w to uwierzyć, ale od śliskiego tematu ratują Tamarę chińskie tortury. Teraz bowiem dzieje się to, czego najbardziej się obawiała: telefon Marceliny zaczyna wibrować i przesuwac się po stole jak żywy organizm, a powietrze przeszywają okrutne dźwięki podkręconego na full GOTYE!

– Przepraszam, ale muszę odebrać – mówi Marcelina profesjonalnym tonem, podnosi telefon, wciska zieloną słuchawkę: – Proszę, słucham, Marcelina Górską. – Słucha przez sekundę i zaczyna mówić tonem robota z *call center*: – Z przykrością muszę poinformować, iż w obecnej chwili nie prowadzimy rekrutacji na to stanowisko, wysłałam panu stosowną informację na si si. Zachęcam do prenumerowania naszego newslettera, znajdzie pan w nim wszystkie niezbędne dane dotyczące aktualnie prowadzonych postępowań rekrutacyjnych. I nie tylko – mówi

tajemniczo, wysyłając panu kilka odgłosów zachęcającego chichotu. – Chuj ci w dupę, stary – dodaje, gdy odkłada telefon. – O czym myśmy to mówiły?

– Nie mogą dać ci spokoju nawet w sobotę? – pyta Tamara. – Lama powinna ci płacić nadgodziny, robisz za głos z *call center*.

– No wiesz – mówi Marcelina – jestem menedżerką. Beze mnie by sobie nie poradzili, nie każdy może to robić, w HR-ze to trzeba mieć łeb jak sklep.

W twoim przypadku chyba wirtualny, internetowy – myśli Tamara, a Marcelina przeżuwa swoje biojedzenie i mówi rozbawiona:

– Ha, ha, nie wiedziałam, że mówisz na Marzenkę lama! Powiem ci szczerze, że bardziej pasuje orka, wieloryb, ewentualnie pyra, no wiesz, bulwa ziemniaka. Chodzi mi o to, że utyla. Po tłustym czwartku chciałam poradzić jej, żeby wyszła przeciwpożarowym, bo słaba szansa, że jej dupsko wejdzie w drzwi obrotowe, skoro ma w sobie więcej pączków niż zakłady Bliklego! – Marcelina śmieje się wesoło. – Z którego zawsze zamawiamy, bo są najlepsze – dodaje poważnym tonem i znów się rozpogadza. – Powiem ci więcej, mam na jej temat pewną teorię. Otóż myślę, że ześwirowała przez ten swój cały feminizm! No wiesz, ona tam łązi na te jakieś kongresy, złoty na miotle, wydaje mi się, że ona odmawia bycia obiektem seksualnym przez swoje nieustanne tycie, tak, tak, feminizm jej zaszkodził!

– Jak nam wszystkim – mówi ponuro Tamara. Nie chce się do tego przyznać, ale od jakiegoś czasu jej potajemnym marzeniem jest, by ktoś wyłowił ją ze stawu jak wyrośniętą rybę i podał do ust wielmożnemu panu. Uratował wreszcie od permanentnego upokorzenia związanego z wolnym wyborem i koniecznością brania udziału w tej miłosnej Wielkiej Pardubickiej, w której tak jak koń – jesteś wart tyle, ile twoje zdrowe zęby i umięśnione kończyny. Ale mruczy tylko: – Feministki... Stare druhnny... Harcerki ze swoją grypsersą, musztrą i hasłami. Śmieszniejsze i bardziej leniwe od sufrażystek. To wszystko bzdury! Dlaczego nikt nie upomina się o prawa brzydkich? Kto się opowie za tymi, którym ropucha siedzi na twarzy? Czy ktoś kiedyś widział ich pełen zawiści wzrok, skierowany na urodziwych, którzy przytłoczeni nadmiarem ofert, usiłują wprowadzić w posunięcia swoich genitaliów odrobinę racjonalności? Czy ktoś widział ich zbieleiałe kostki zaciśnięte na wewnętrznej stronie drzwi łazienki, do której wchodzi, próbując uspokoić gorączkowy oddech i odegnąć myśl o nożu wchodzącym głęboko w ciała innych? Wśród wielu rzeczy, których wymaga społeczeństwo, najgorsze jest bycie w związku. To albo wieczna pogarda. Stały zestaw pytań z tym podstawowym: o wiek. Wiek

i brzydota – dwie siostry kopciucha odprawiające przed nami swój wieczny *danse macabre*. Brzydocy. Tak, czuję z nimi duchowe powinowactwo. Stworzę dla nich program telewizyjny! „Brzydocy” – po prostu „Brzydocy”! Z hasłem: „Jeśli jesteś brzydki, ten program jest właśnie dla ciebie!”.

– Ale co ty gadasz? – obrusza się po chwili Marcelina. Oddziela na talerzu organic liść sałaty od powodującego przyrost tkanki tłuszczowej ziarenka ryżu, które z obrzydzeniem zrzuca na podłogę, pod nogi, i mówi z przekonaniem: – Wcale nie musisz być brzydki! Sam odpowiadasz za ten stan! Jak można się do niego doprowadzić, kiedy jest tyle możliwości: *nordic walking*, siłownia, basen, tabletki, operacje plastyczne, waginoplastyka, mikrodermabrazja, namoczone w wodzie kłęby waty, w ostateczności, już trudno, nawet jajeczka tasiemca.

Tamara przez chwilę milczy, podczas gdy słowa Marceliny wykonują w niej półobrót i lecą w dół, żeby prędko ulec strawieniu wraz z resztkami jedzenia i przemieścić się do jelita grubego.

– Jeśli chodzi o kobiety, to nie da się ukryć, że mają macicę – mówi w końcu Tamara. To jest ich nieszczęście: rodzą dzieci. Choć niebawem i to się skończy, bo odciążą je krowy, nie wspominając o tym, że odciążą je mężczyźni, gdy tylko ich organizmy zostaną przystosowane do tego procederu. Może wtedy to wszystko ruszy do przodu, zupełnie zmieni się system, zmienią się stosunki społeczne.

– A, macica! – podnieca się nagle Marcelina. – Też tak miałam, winiłam macicę. Aż powiedziałam: dość! Wycięłam to wszystko – jajowody, jajniki, całe dobrodziejstwo inwentarza! Pomyślałam sobie, że nie chcę mieć nigdy żadnych dzieci, nie byłabym dobrą matką, nie potrafię utrzymać przy życiu nawet gekona! Po prostu poleciałam do Barcelony, a kiedy wróciłam, on był czymś takim... Nie wiem, czy widziałaś kiedyś meksykańskie chipsy ze skóry świni? Więc postanowiłam: chcę się pieprzyć bez obaw! I teraz, kiedy ktoś mnie posuwa, czuję go w gardle, jakbym w środku była pozamiatanym, oczyszczonym ze śmieci i starych liści polem golfowym, po którym można lekko, sprawnie i bez żadnego lęku puszczać piłeczkę.

Tamara nic nie mówi, spuszcza wzrok na stół. Pije swoje piwo, lewą ręką ugniata dyskretnie narządy wewnętrzne. Ostatnio boli ją lewa część ciała, ma też problemy z oddychaniem. Zastanawia się, czy to już jej ostatnie godziny, czyżby używki i niechęć do świata tak szybko zebrały żniwo? Ciekawe, czy jakby jej zrobić rentgena, to na wydruku zobaczyłaby mielone mięso? Okazałoby się, że w jej środku jest solidnie nadpsuty tatar,

w którym za jajeczko do smaku robi jej własne, śmierdzące, zgniłe jajeczko, produkowane coraz rzadziej i z coraz większymi oporami przez jej zmizerowane, zmęczone swoim beużytecznym, comiesięcznym zajęciem jajniki – dwóch szarych urzędników, którzy od początku swojej pracy nie dostali za nią jeszcze żadnej zapłaty, najlichszej nawet premii. Jej jajniki czują się obecnie jak szeregowcy w McDonalddie, już nie pamiętają, ile towaru rzucili na taśmę, wiedzą tylko, że każdy był taki sam i wszystkie poszły na zmarnowanie.

Przez chwilę zastanawia się nad swoim końcem: jej nagie, opuszczone ciało leży na stole koronera. Wreszcie wolne od wszystkich zawstydzających procesów: trawienia, wydalania, powolnego rozkładu. Odtąd, kiedy będzie się rozkładać, będzie to robić poza ludzkim wzrokiem, w podziemnym świecie robaków – tym, do którego należy, dokąd od dłuższego czasu konsekwentnie zmierza. Teraz leży na stole wyzwolone od konieczności wykonywania wszystkich rozpaczliwych, żalonych ruchów: tańce godowe, stroszenie piórek, cyrkowe sztuczki przed męską widownią mające na celu przekonanie do siebie jednego z tych, którzy zapłacili za bilet. A mówią, że człowiek nie pochodzi od małpy – to tylko dowodzi faktu, że wypieranie się rodziny jest częstym zjawiskiem.

Jej ciało – już spełniło swoje posłannictwo, wyrosło z maleńkiej, niewidzialnej zygoty w okazałą, w pełni rozwiniętą istotę ludzką z całym skomplikowanym systemem tkanek, organów, narządów. Są ci, którzy to ciało stworzyli, i ci, którzy z tego ciała korzystali. Być może jest paru, którzy pamiętają, jak pod palcami układa się faktura jej skóry. A teraz ono leży na stole zakładu medycyny sądowej, białe i samotne, znów wydane na pastwę obcych spojrzeń, tyle że już niemające w związku z tym żadnych odczuć. Jego samotność jest już pozbawiona zakończeń nerwowych, jest samotnością leżącego na półce sklepowej mięsa. Jej ciało przez chwilę zajmuje się tym, czym zawsze powinno – zwykłym, zimnym byciem. Będzie to trwało, dopóki nie dotknie go nóż patologa.

O tym myśli Tamara, siedząc w galerii handlowej, naprzeciw niej siedzi Marcelina. A ponad nimi jest świat, który właśnie teraz dociera do Tamary, przysiadła na niej jak ćma na ramieniu przewodnika żalobnego konduktu. Jego wszystkie części składowe, jego surowy rytm. Nic nie zaburza jednostajności nastających po sobie dni. Precyzyjnie odmierzone dawki czasu trafiają na kolejne kontynenty, do kolejnych państw, miast, domów. Również ludziom przysługują precyzyjnie odmierzone dawki czasu, to jednak nigdy nie jest podawane do ludzkiej wiadomości. Mimo świetnego zaopatrzenia świata w rzeczy wiedza o przyszłości wciąż jest

towarem nawet nie reglamentowanym, ale w ogóle niedostępnym. Kolejni hochsztaplerzy usiłują zapęłnić czymś puste półki, z mizernym skutkiem. Maszyna świata codziennie od nowa idzie w ruch, na tych samych prawach. Uruchamia zębate koła i skomplikowane, sprawnie działające mechanizmy. Ruszają fabryki, rzeźnie, laboratoria, obozy pracy, sale tortur i więzienia o zaostrowym rygorze. Rytm słońca nadaje tempo tym, pod których palcami ślizgają się srebrne, gładkie ryby, pakowane czym prędzej w hermetyczne opakowania i wysyłane w drugą stronę prędko kręcącego się globusa, gdzie zagoszczą na stołach prawdziwych smakoszy. Ryba, jak mówią, psuje się od głowy, być może dlatego właśnie ich głowy nie są nigdzie wysyłane, zgniłe głowy pozbawione ryb zostają tutaj i są serwowane okolicznej ludności w ramach przekąski – niezobowiązującej, choć zachęcającej, ponieważ jedynej. Ktoś kiedyś policzył, że światy są trzy, a ten ostatni musiał się różnić od reszty rodzajem menu.

Codziennie, każdego dnia, godzina po godzinie z taśm produkcyjnych schodzą nowe partie zwierząt, na swoją stację końcową podjeżdżają na specjalnych wysięgnikach. Każdego dnia na świat przychodzą kolejne partie ludzi, szczelnie zapakowanych w swoje ciała. Granice ich świata wyznacza skóra oblekająca narządy wewnętrzne, każdy ból zęba czy brzucha jest odrębny i przysyłany pod konkretny adres, na konkretne nazwisko. Ktoś inny zawiaduje tą pocztą, trzyma w rękach miernik bólu i dokonuje pomiarów. Choć na budowę żywych organizmów istnieje nie tak wiele wzorów, to kodów genetycznych jest bez liku. Miliardy ludzi ulepionych z podobnych tkanek, oddzielonych od siebie dokładnie jak firmowe towary w hermetycznych opakowaniach. Pragnienie, by choć trochę je naderwać i zajrzeć do środka, jest wielkie, ale raczej niemożliwe do zaspokojenia.

Powoli zapada zmrok, Tamara siedzi przy plastikowym stoliku, jej oczy wbite są w miskę zupy tajskiej, która składa się z mleka kokosowego, kolendry, jednej smętnej krewetki i dwóch pędów bambusa; stolik jest biały i pozbawiony wyrazu, przywieziony tu pewnie z jakiejś wielkiej hali produkcyjnej, kupiony po hurtowej cenie; pracownicy znajdujących się obok lokali wołają kolejnych ludzi po zamówienia, frytki, makarony, żeberka z grilla i pieczone ziemniaki, sałatki z pomidorów, soki owocowe, ludzie odbierają swoje posiłki, kładą je na plastikowe, czerwone tacki, biorą sztucze i siadają przy swoich stolikach, sztuczne oświetlenie pada wytrwale na ich twarze, wciąż pod tym samym kątem – Tamara ogląda to wszystko i czuje się, jakby stała przed oszkloną gablotą w muzeum. Nie może zostawić na niej nawet odcisku palca, bo ktoś zadbał o to, by publiczność stała w bezpiecznej odległości. I czuje, że zaraz nie wytrzyma, zerwie się z tego

stołka, otworzy usta i zacznie krzyczeć, tak strasznie i głośno, że jej krzyki dotrą na pewno do wszystkich pobliskich mieszkań, miną parapety, na których siedzą nastroszone gołębie.

– Królik. Ile żyje taki królik? – Absurdalne pytanie Marceliny (tej kompilacji związków chemicznych, między którymi zachodzą skomplikowane reakcje, i będą zachodzić jeszcze przez jakieś piętnaście godzin, zanim nie umrze) działa na nią jak sole trzeźwiące. Szczególnie że na jej dłoni ląduje szczupła, wypiełgnowana dłoń koleżanki. – Bo chciałam sobie kupić taką miniaturkę. Tak, wiesz, do towarzystwa, na jakiś czas, szczególnie że idzie zima. No, ile takie coś pociągnie, dwa, trzy lata?

– No chyba że Wielkanoc, to krócej – wszystkie części składowe Tamary, które przez parę minut zdawały się mięknąć, znów się utwardzają, jak beton. Wszystko wraca na swoje miejsce.

Marcelina wybucha śmiechem. Gani Tamarę za kompletny brak powagi, pyta, czy zupa jest smaczna, i otrzymuje odpowiedź, że owszem, ale nie tak jak piwo. Tłumaczy Tamarze, że piwo to napój plebejski, powodujący przyrost masy ciała. Proponuje, że postawi jej drinka, Tamara odpowiada, że to nie klub Platinum, to galeria handlowa, jeśli ktoś chce tu drinka, to może kupić jakiś kosmetyk ze spirytusem w Rossmannie i zmieszać z sokiem. Taki drink. Marcelina znowu się śmieje, nie wiedziała, że Tamara jest taka zabawna, choć jej poczucie humoru bywa nazbyt sarkastyczne, są tacy, których mogłoby ono urazić, na szczęście nie ją, gdyż ona ma na to wyjebane.

– To luz – odpowiada Tamara, pije piwo, zastanawia się, czy nie zrobić z butelki tulipana i nie zabić Marceliny, szczęśliwie ten pomysł zarzuca.

– To może jeszcze coś zjesz? Jakiś matias, caprese? – pyta Marcelina. Jej ekorzepa i biodynia już zniknęły z powierzchni ziemi, przepadły na dnie jej żołądka, wyjdą znów na powierzchnię dopiero przy sekcji zwłok.

– Nalegałabym na alkohol – mówi Tamara. – Nic poniżej alkoholu nie załatwi sprawy.

Marcelina odpowiada, że nie może dziś zabawić, ma na tę sobotę szereg planów: zakupy, fryzjer, joga.

– Joga – śmieje się Tamara. – Też to przerobiłam, wszystko od a do z. Ateizm, joga, runy anielskie. Podróż do Indii, podróż w głąb siebie, mantry w sanskrycie, zielona herbata. Psychoterapeuta, deprim, kokaina.

Rozwija swoją wypowiedź, bowiem piwo zatacza w niej coraz szersze kręgi, zachęca ją do wypłynięcia z wąskiego przesmyku na szerokie wody. Otóż jej też się nie podobało, że życie

to wielka loteria, w której niewidzialna dłoń ciągnie fanty, decydując z dużą dozą swobody: życie albo śmierć. Mówiła stanowcze „nie” temu miejscu, gdzie przeznaczenie wpisywane jest już przy narodzinach w niewidzialne kartoteki, jego wyznacznikami są takie rzeczy, jak status społeczny i przynależność gatunkowa. Towarzystwa przy obiedzie dotrzymują ci martwe krowy w sosie pięciu wysp i równie nieżywe świnie w panierce. Za oknem przechadza się jakiś lichy pies, który miał w tym życiu więcej szczęścia – jako że urodził się pod właściwą szerokością geograficzną, za jego zabicie grożą nawet jakieś sankcje, steki natomiast nie załapią się w tym życiu na żaden sąd, rozłożą się w naszych żołądkach i zostaną wysłane w ostatnią podróż rurami kanalizacyjnymi. A więc to może prawda, że wszyscy spotkamy się po śmierci, wielkie potwory morskie, wszelkiego rodzaju pływające istoty żywe, ptactwo skrzydlate różnego rodzaju, bydło, zwierzęta pełzające, dzikie zwierzęta według ich rodzajów, no i my – spotkamy się gdzieś w ciemnych zakamarkach rur kanalizacyjnych, w bezmiarach wezbranych wód oceanicznych, w podziemnych korytarzach, w tych wszystkich miejscach, w których światłość nie jest oddzielona od ciemności, tam, gdzie jest tylko ciemność, gdzie Bóg nie dotarł, bo miał akurat wolne. Tam trafimy jako gnijąca materia, a po omacku nie rozróżnisz, czyje DNA jest czyje, szczątki zawsze wyglądają tak samo, są równie żałosne i lepkie.

– Oczywiście – dodaje szybko Tamara, bo jej piwny kop wchodzi w ostatnią fazę, jeszcze da jej energię na parę minut gadania, potem rozbełta się w jej wnętrzu, pokryje ją ciepłą melasą i zamknie w szklanym naczyniu – oczywiście z drugiej strony mówią ci: życie oferuje tyle możliwości raptownej przemiany, gruntownej odnowy, „ja” jest niekończącą się podróżą, możesz być, kim zechcesz, tylko musisz w to uwierzyć. Nie musisz siedzieć po ciemku, masz tyle rzeczy do wyboru: wycieczki górskie, kursy pilotażu, wojaże zagraniczne, tango lub zumba, warsztaty odnowy biologicznej, spa, kurs ceramiki, no ale najważniejsze to ezo, ten cały ezopierdolec! Jak poszłam pierwszy raz na jogę, to, nie powiem, byłam najebana, zrobiłam w domu wino, choć na ulotce stało: trzy godziny przed zajęciami nie można nic jeść ani pić alkoholu, ale pomyślałam, że, kurwa, to nie jest Wielki Tydzień, żeby zdobywać się na takie wyrzeczenia. Więc wchodzę na salę krokiem marynarza na mokrym statku, marynarza w czasie wyjątkowo silnej nawałnicy i z chorobą morską, ale luz, zero złośliwych komentarzy, jeszcze mi pożyczyci matę i mówią: *namaste*. Ale czemu joga? – zadaje retoryczne pytanie Tamara. – A, bo tego ci nie opowiedziałam, nie powiedziałam ci, jaka była geneza jogi w moim życiu. Otóż widziałam taki program telewizyjny i tam taka uśmiechnięta pani wyglądem przywodząca na myśl żuka gnojaka

zapewniała, że joga w magiczny sposób uwalnia od bolączek egzystencji: pomaga żyć szczęśliwiej i bardziej harmonijnie, oddała troski. Jej zmizerowana twarz, moim zdaniem, prędzej nadałaby się do kampanii społecznej promującej hospicja, jednak postanowiłam uwierzyć w jej słowa. „Joga, niech będzie joga” – powiedziałam do siebie, choć miałam wątpliwe nadzieje na to, że istnieje coś, co może mieć zbawienny wpływ na moje samopoczucie, na tym etapie wiedziałam już, że postępy mroku na moim terytorium są za wielkie, podejrzewam, że kiedy Bóg organizował świat i rzekł: „niech stanie się jasność”, to poprosił mnie, żebym się przesunęła. Niemniej dodawałam sobie otuchy tym, że może to jest tak jak ze słynną podkówną zawieszoną w progu – działa także na tych, którzy w nią nie wierzą. Już z korytarza powitały mnie odgłosy gongu, połączone z rzępoleniem fujarek i dźwiękami imitującymi jakieś odgłosy flory i fauny, jakieś ptaszki, krople deszczu. W pomieszczeniu panował półmrok. Na parkiecie, przy samej ścianie, siedziała po turecku kobieta w średnim wieku, która wyglądała, jakby łąpała sygnał od jaszczurów z kosmosu: zamknięte oczy, wyprostowana postawa, twarz zwrócona ku górze, pełne skupienie. Inaczej wyglądała reszta uczestniczek, przygotowujących się do tego kosmicznego lotu – ich twarze zdradzały objawy całkowitej dezorientacji. Kobiety wpatrywały się w nauczycielkę wzrokiem kur szukających ziarna na podwórku. Zresztą, co tu dużo gadać, ich postawa była mi bliska, zastanawiałam się, czy, do kurwy nędzy, trafiłam właśnie na statek kosmiczny?! Po paru minutach obserwowania stada pań czekających, aż otworzy im się piąta czakra, zebrało mi się na pijacki rechot. Ale najlepsze miało dopiero nadejść. Okazało się, że trochę się spóźniłam, i teraz nie będzie już żadnych ćwiczeń, tylko medytacje, no wiesz, tak zwana przemyśleniówka. I ta pani prowadząca, która już widać podłączyła się do jaszczurów z kosmosu, bowiem jej twarz była niezmacona niczym jezioro przy bezwietrznej pogodzie, mówię ci, coś jak te morderczynie od Charlesa Mansona, jakby zobaczyły samego Pana Boga za srebrną kotarą, mnie w taki stan wpędza butelka szkockiej, no więc ona mówi: „Wyobraźcie sobie miejsce, w którym czujecie się naprawdę dobrze. Może to być zielony las. Może to być łąka. Musicie je sobie wyraźnie zwizualizować”. Chciałam zapytać, czy może być bar, ale zabrakło mi śmiałości. Wino już trochę wywietrzało. Poza tym miałam problemy z zachowaniem wyprostowanej postawy – raz, że gdy tylko zamykałam oczy, włączał mi się śmigłowiec, dwa, że bolały mnie wszystkie gnaty, jednak siedzieć w te kucki Bóg wie ile nie jest wcale łatwo. A kiedy tylko zaczęłam pojękiwać i spróbowałam wyprostować nogi, jedna kosmopizda syknęła: „Możesz ciszej?! Przeszkadzasz mi w asaniu!”. Chciałam jej odpowiedzieć, żeby spierdała do



domu przeczytać *Siddhartę*, ale w końcu nic nie zrobiłam. I po chwili ta prowadząca mówi do nas, żebyśmy wyobraziły sobie, że idziemy przez las, że wchodzimy do piwnicy, spotykamy tam kogoś, i tak dalej, takie RPG. Ja ciągle myślałam, że siedzę w barze, chleję gin, tylko to pomagało mi przetrwać niemiłosierny ból w nogach i kręgosłupie. No i wreszcie to się skończyło, więc widzisz, jest jakaś pociecha w tym całym życiu: mianowicie taka, że wszystko się kończy, nawet najgorsze tortury. No i dalej ta prowadząca, już cała podłączona do kablapompującego w nią radość i uniesienie, mówi nam, żebyśmy opisywały nasze wrażenia, co czujemy, jakie widzimy kolory. I ta jedna, taka w typie satanistycznym, pamiętam, bo mnie zdziwiło, co taka córka Szatana tu robi, dlaczego odpływa w objęcia Sziwy zamiast rozdzierać koty, mówi coś takiego: „To było jak błyskawica rozświetlająca leśną ścieżkę; moje serce na wyłot przecięło uczucie gorące niczym wulkaniczna lava”. I dodaje: „Wszyscy podróżujemy na tym samym statku zwanym kosmosem. Wszystkie istoty żywe, których aury widzę wyraźnie, szczególnie w czasie pełni. Wie pani, że nawet kwiatki mają aurę?”. Ja wtedy myślę: kurwa, jeszcze chwila i zostanę weganką, zacznę ratować kury z okowów rosółu! Ale wtedy już inna, z wyglądu taka bardziej katechetyczna, wiesz, trapezy, gitara, zagłusza moje myśli i mówi coś w ten deseń: „Moje serce w tej wizualizacji było niczym małe zwierzątko, tłuczące się nieszczęśliwie po ścianach twardego naczynia”. A prowadząca: „Musisz wypuścić je na wolność”. No i to był chyba ten moment, w którym pomyślałam: muszę pierdolnąć seteczkę. Bałam się, że jak tak dalej pójdzie, to całkiem wytrzeźwieję i świat pokaże mi się w nowej, boleśnie wyraźnej odsłonie, a tego mogłabym nie znieść. Więc wycofałam się z tej sali, wycofałam się rakiem i chlapnęłam setę wiśni, akurat wtedy zawsze przy sobie coś takiego nosiłam, i kiedy tylko to wychyliłam, od razu poczułam, że wszystko wraca na swoje miejsce, działają doskonale te medytacyjne praktyki! Czuję łączność z pierwotną energią i widzę zajebicie na moje trzecie oko! Więc wyluzowana, bez nieznośnego, stale mnie prześladowającego poczucia strachu, wchodzę z powrotem do tych ezolafirynd, wstrzymuję stopą ten głąz duchowego rozwoju, który toczy się między nimi niezdarne niczym wypadły z kolein świat, i mówię do nich tak: „Słuchajcie, to naprawdę działa. To zajebisty pomysł, musimy się zaprzyjaźnić. Będziemy w każdą sobotę chodzić razem na ezozakupy po pierścionki zmieniające kolor pod wpływem samopoczucia, po wahadelka balansujące czakry, po pachnące wszystkimi skarbami świata, egzotyczne kadzidła. Będziemy się wymieniać opowieściami o wycieczkach w głąb umysłu, wymieniać płytami z muzyką relaksacyjną i wspólnie przestawiać meble zgodnie z zasadami feng shui. Ale nie

musimy na tym poprzestawać, możemy robić więcej, wymieniać się amuletami, stawiać tarota. A gdybyśmy się już naprawdę, naprawdę dobrze poznały, to może w któryś dzień, może na przykład, dajmy na to, w taki ezoczwartek o bardziej tajemniczej atmosferze, mogłybyśmy się w kółku i – a niech mnie! – zdradzić sobie nawzajem kształt naszych totemicznych zwierząt i rozmiar skrzydeł opiekujących się nami osobistych aniołów!

Kostki Tamary bieleją zaciśnięte na butelce piwa. Jej oczy pałają dziwnym ogniem, jakby to jednak ona doznała najwyższego oświecenia, jakby właśnie wyszła z audiencji u bóstwa, które wcisnęło ją łaskawie na godzinke w swój napięty grafik. I po sekundzie wszystko zwalnia, ekipa sprzątająca odłącza przewody, zwija kable, Tamara bierze wielki wdech, zapada się z powrotem w swoje plastikowe siedzenie, jej oczy mętnieją, alkohol zamyka ją w szczelnym pomieszczeniu.

– No – dodaje jeszcze, spokojnym tonem – tak to leciało. A co ja właściwie chciałam powiedzieć? Chyba po prostu to, że jak masz za wiele możliwości, to nie masz żadnej... I podejrzewam, że to właśnie muszą czuć uczestniczki bicia seksualnego rekordu świata.

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiada po dłuższej chwili milczenia Marcelina – ale na tę całą jogę był wczoraj kupon w „Elle”. Mówią, że można zrzucić parę kilo. A do fryzjera mam termin od pół roku. Pshemko, bo właśnie o nim mowa, ma meganapięty terminarz.

Tamara milczy. Milczy dłuższą chwilę, aż wreszcie wpada na rozwiązanie zagadki trapiącej ludzkość od wieków – nie ma wolnej woli, jest tylko przeznaczenie. Jeśli ktoś dziś postawił na jej drodze ten kij od szczotki niebezpiecznie przypominający człowieka, to znaczy, że muszą razem spędzić wieczór.

– Słuchaj, fryzjer niech dziś sobie strzeli podstrzyżyny jaj – mówi więc twardo – bo u nas plan jest tymczasowo nieco inny. Jedziemy w małą podróż do kresu nocy.

– Co? – Marcelinie w przelyku utyka ostatni, wygrzebany gdzieś ze spodu talerza kawałek drogocennej biorzepy, a brwi zamówione z katalogu unoszą się o parę milimetrów w górę. – Kto?

– Ja, ty i worek koksu – odpowiada Tamara i uśmiecha się szeroko. Kiedy odstawia na blat pustą butelkę po piwie, brzmi to jak kropka nad i.

I oto już są na mieście, miasto objęło je swoją dłonią, której spód jest zimny, choć na razie żadna z nich nie wyczuwa chłodu. Jeśli już, to jest to chłód wyłożonej bladoniebieskimi kafelkami publicznej toalety, w której obie się właśnie znajdują – roześmiane, w nieco pomiętych ciuchach i na wpół rozpiętych płaszczach, na pierwszy rzut oka dwie przyjaciółki, które właśnie zeszły z karuzeli, może nawet z diabelskiego młyna, jeszcze nie zdążyły odzyskać równowagi, ale już, już otwierają uszmkowane usta, by opowiedzieć sobie swoje podniecające przeżycia z pobytu w wesołym miasteczku; i kiedy chcą popaść w zachwyty nad żółtymi lokomotywami, zimnymi palcami trupów z tunelu strachu czy kwiatkiem z gąbki, najpoważniejszym trofeum na strzelnicy, okazuje się, że mogą powiedzieć tylko jedno: już z tego wszystkiego wyrosły. Ręce wystają z różowych, landrynkowych sweterków, a nogi nie chcą wejść w specjalne, metalowe uchwyty. Pasów bezpieczeństwa w ich rozmiarze też od jakiegoś czasu już nie produkują i jeśli ktoś zaproponuje im jakiś lot, to na pewno będzie to lot bez trzymanki. Dlatego drzwi do wesołego miasteczka mają poniekąd zamknięte. Tak jak lajkonik jest dla dzieci, tak one są dla dorosłych i muszą też oddawać się przeznaczonym dla dorosłych rozrywkom.

I oto jedna z nich, narkotyk twardy o nazwie kokaina. Tamara przez chwilę grzebała zawzięcie po przegródkach swojego portfela, przesuwała po nich zwinnie swoimi pomalowanymi na czerwono pazurami, aż wreszcie dokopała się do tego skarbu. Teraz, wyjmując go triumfalnie, wygląda jak polityk w świetle fleszy tuż po podpisaniu ważnego paktu, blask jej obnażonych zębów oświetla mrok łazienki. Woreczek z białym proszkiem, ekstrakt od słynnej Alicji z Krainy Czarów, teraz za jego pośrednictwem znajdą się tam, gdzie już dawno pogasły światła, teraz będą mogły znowu zdobyć się na dającą tyle samozadowolenia, błogosławioną niedojrzałość.

– Dawno nie brałam – mówi Marcelina i wpatruje się w biały proszek z takim skupieniem i podnieceniem, jakby jej zaoferowano co najmniej lot kosmiczny, jakby ją nagle uniewinniono po skazaniu na dożywocie. – Ale nieźle nam poszło – tu pije do niezwykle sprawnego zakupu narkotyku po cenie sugerowanej dwieście złotych za gram, jaki udało się przeprowadzić Tamarze; lata niesportowego trybu życia przysporzyły jej wielu znajomych pracujących w handlu bezpośrednim.

Obie nie mogą ukryć podniecenia – bilet do nowego, lepszego świata zaraz znajdzie się

w ich nosach. Asa w rękawie ma tymczasem Tamara – to ona jest konduktorem tego pociągu, jest zawiadowcą stacji, z której wyruszą donikąd. Marcelina przyjmuje postawę wyczekującego asystenta – takiego, co to podtrzyma ofiarę, zetrze krew, wyniesie zwłoki. Wszystko po to, by uzyskać z tego procederu jakieś profity. Innymi słowy: chce się naćpać, więc grzecznie poczeka, aż koleżanka wydzieli jej kreskę.

Tamara nachyla się nad kibelem. Dziwne, że w wyniku tej zmiany pozycji ciała nie wylewa się z niej cały muł miasta, nie odchodzi cały jego tłuszcz. Nie obsypują się z niej nawet drobne oznaki zepsucia, gnicia – najmniejszy strzęp naskórka, a przynajmniej tego nie widać. Widocznie noc żywych trupów możliwa jest nie tylko w filmach. Wszystkie nasze trupy mają się dobrze i są gotowe rozdawać autografy.

Tamara wysypuje odrobinę proszku na znajdujący się nad kibelem parapet. Wyjmuje kartę do bankomatu, złotą Visę – ostatni dowód starych, dobrych czasów, w których między nią a rzeczywistością panował może nie rozejm, ale na pewno zawieszenie broni, kiedy jeszcze ustawiała się do rzeczywistości jeśli nie *en face*, to chociaż profilem – i wprawnym ruchem zaczyna dzielić towar na równe kreski. Tymczasem uaktywnia się aparat głosowy w mechanizmie Marcelina Górski – obserwując poczynania koleżanki, wspomina, że właśnie skończyła związek, który nie był „wystarczająco satysfakcjonujący”. Tamara wykazuje zainteresowanie o zerowym natężeniu, wszystkie jej myśli pochłania biały proszek, który pod jej wprawną ręką przybiera postać dwóch równych kresek, ale z uprzejmości pyta, jak długo to trwało.

– Chyba jakieś trzy miesiące – odpowiada Marcelina. Oblizuje usta pokryte czerwoną szminką, które wyglądają, jakby były nią zakonserwowane, teraz już na wieczność zachowają się w doskonałej formie: gotowe do lizania, obciążania, wkładania w nie świeżego sushi, szynki parmeńskiej i długo dojrzewającego sera. – Z czego miesiąc spędził w Tajlandii, a miesiąc w Kolumbii. Kręcił reklamy, często wyjeżdżał. Fajna praca, chociaż możesz przywlec malarię albo inny syf – kontynuuje Marcelina, podczas gdy Tamara ubija towar. – Ale ja nie próżnowałam! Przecież wtedy rzucili na rynek ten nowy drag, mefedron! Każdy chciał tego spróbować, więc nawet cieszyłam się, że Alka nie ma, mogłam trochę poeksperymentować bez tego zjebanego wzroku pod tytułem: sam chętnie pojeździłbym tydzień po białej łące, ale przy tobie będę udawał takiego, co to nie miał w nosie nawet inhalatora!

Tamara kiwa głową na znak porozumienia. Ma nadzieję, że to już koniec zwierzeń,

niestety, nie jest to jej szczęśliwy dzień. Marcelina zaczyna tłumaczyć, o co poszło. Jeśli Tamara dobrze rozumie, to pojawiła się różnica zdań na temat form spędzania wolnego czasu. On chciał wybrać się na wakacje do Bangkoku, ona preferowała uroki Ameryki Południowej. Innymi słowy, zrozumieli, że nawet jeśli jedno ustąpi, drugie i tak będzie nieszczęśliwe, że po prostu przez ostatnie tygodnie bardzo się od siebie oddalili, odkryli, że są na zupełnie innych etapach życia. W tej sytuacji lepiej się rozstać, niż tkwić w czymś, co nie ma przyszłości.

– Przykro mi – mówi Tamara.

– Co ty, i tak miał małego fiuta! – odpowiada Marcelina i z wielką radością schyla się, by ściągnąć właśnie oferowaną jej przez Tamarę kreskę.

– No tak, w tej sytuacji chyba dobrze zrobiłaś – mruczy Tamara i dodaje coś ekliwego o ścieżce życia.

A Marcelina jest już w świetnym humorze, jakby ktoś nacisnął w niej odpowiedni guzik, odwirował smutki.

– Ścieżka życia! – Śmieje się. – Ścieżka życia, dobre! Ja właśnie ją ściągnęłam! Swoją ścieżkę życia! – Obecnie elementem dominującym w jej twarzy są zęby, wygląda, jakby w wielkiej loterii fantowej wygrała roczny kupon do spa wraz z zakwaterowaniem albo jakby wykonała sobie wyjątkowo satysfakcjonującą irygację pochwy. – No, to teraz twoja kolej. Zjedź sobie po białej łące. A wolisz koks czy emde? – pyta, podając Tamarze zrolowany banknot, oczywiście stużłotowy. Ale nie daje jej odpowiedzieć: – Ja chyba koks. No bo jak bierzesz emde, to owszem, masz to poczucie łączności z ludźmi, kochasz innych. To jest przyjemne, ale kiedy bierzesz koks, dostajesz coś lepszego: poczucie pewności siebie, poczucie, że jesteś lepsza od innych.

Tamara nachyla się nad swoją działką, ściąga ją, podnosi się i mówi:

– Dlatego najlepiej je brać naraz. Wtedy kochasz innych, ale jesteś od nich lepsza.

Tamara nigdy nie startowała w Maratonie Uśmiechu, ale może powinna, wskazuje na to reakcja koleżanki na jej niewinny dowcip. Gigantyczny wybuch śmiechu Marceliny ciągnie się chyba aż po samymi piekła, razem z nią rechoczą umarli, o ziemię gruchoczą ich zbiele kości. Rechocze Saddam Hussajn, rechocze Osama bin Laden, rechocze Adolf Hitler i ustawione w równe szeregi zastępy zbrodniarzy wojennych.

– Czemu się nie znałyśmy wcześniej? – pyta, nie mogąc przestać się śmiać.

Tamara zastanawia się o, jakie „wcześniej” chodzi, o „wcześniej” przed transformacją

polityczną, przed utratą dziewictwa czy może przed wrzuceniem na rynek iPodów. A potem myśli, że tak czy siak zna przyczynę braku ich wcześniejszej znajomości, prawdopodobnie to wszystko dlatego, że miała abonament w nieodpowiednich spa i że nie chodziła wystarczająco często na klub dyskusyjny miłośniczek magazynu „In Style”.

Co tu dużo mówić, kokaina działa, Tamara czuje się lepsza od innych.

– No to co, gdzie teraz wbijamy? – pyta wesoło Marcelina, oczyszcza parapet z resztek towaru, wciera je w dziąsła, nie wiedząc czemu beczelnie pakuje sobie do miniaturowej torebki należący do Tamary przenośny zestaw małego narkomana i świecąc wkoło diastemą, naciska zgrabnym ruchem klamkę kibla, by zanurkować w zebranych pod jego drzwiami tłumie wzburzonych, zniecierpliwionych ludzi, których swędzą nosy i cisną pęcherze. – A zresztą, może tutaj pierdolniemy drinka? – na schodach wiodących w stronę baru wysuwa kolejną propozycję. – Trzeba zrobić podkład, a później pójdziemy do jakiegoś grubszego klubu. Mamy wszystko co trzeba! – Puszczając perskie oko, potrząsając znacząco torebką.

Tamara najchętniej już by pożegnała koleżankę, bo „wszystko co trzeba” to już ma w nosie – literalnie. Nie może jednak pozwolić sobie na utratę towaru, który bezprawnie zaanektowała niekulturalna Marcelina. Poza tym i jej udziela się dobry nastrój, jej też anioł podał rękę, prowadzi ją przez kładkę i Tamara zła się nie ulęknie, czuje się największą suką w całej dolinie.

– A pierdolnijmy! – ożywia się na ten doskonały pomysł. – Jasne, czemu nie? Cytrynówkę jebnijmy! Ty wiesz, że cytrynówka już całkiem wygryzła wiśniówkę?! W świecie alkoholu obowiązują te same prawa co na rynku pracy! Kapitalizm ma jednak poczucie humoru!

Marcelina nie do końca łąpie wesołe poczucie humoru Tamary. Jest, rzecz można, z nieco odmiennego kręgu kulturowego. Tak czy siak, propozycja picia wódki cytrynowej nie przypada jej do gustu, nie pozwala jej na to wyrefinowanie.

– Cytrynówkę? No nie, może lepiej mohito, hm? Ja stawiam!

– Okej – cieszy się Tamara i krzyczy przez bar, przy którym właśnie stoją: – Banię cytrynówki i modzajto dla mojej świni! – Po czym sadowi się z powrotem na swym siedzeniu i uśmiecha triumfalnie. Czuje się tak, jakby rozbiła bank albo kupiła dożywotnią polisę na dobry humor i pewność siebie. Jest dobrze, satysfakcja sięga zenitu.

Twarze ludzi są jasne i przyjazne, światło łagodnie podkreśla ich rysy, płomyki świec igrają na nich beztrąsko jak przyłapano na gorącym uczynku leśne chochliki. Na suficie wiszą

szklane kulki, ich drobne ciała kołyszą się wesoło, raz po raz objając się o siebie, istne rybki akwariowe.

– Chce mi się pić, palić i jebać! – mówi hardo Marcelina, wzmacniając swą wypowiedź uderzeniem pięści o bar. I zaczyna sączyć swojego drinka, którego właśnie podał jej sceptycznie nastawiony barman. – *À propos* tego ostatniego – dodaje bardziej rozmarzonym tonem – to poznałabym kogoś. Jakiegoś muzyka rockowego. Tylko musiałby być legendarny. Co najmniej Brylewski. Jakiś, wiesz, totalny total, ostatnia żyjąca legenda, gigant rocka.

– Zły adres – ocenia Tamara, patrząc wkoło. A wkoło kłębi się stado młodych ludzi, których wygląd sugeruje posiadanie karty stałego klienta do Top Shopu. – Ci tutaj prędzej słyszeli o Justinie Bieberze.

– Oczywiście w sam raz na raz – kontynuuje Marcelina, wbijając doskonale we współczesny tok mówienia do ściany. – Bo co bym z takim ochlaptusem robiła, taki to pewnie nie ma dziesięciu zeta w kieszeni. No ale mogłabym mu raz postawić browca, w zamian za legendarność. Oczywiście pod warunkiem, że potem da dupy. Bo z tym to różnie bywa. A w sumie jak nie stawia i nie daje dupy, to jaki z niego pożytek?! – I przerywając na chwilę, na zebranie myśli wielkiego kalibru, myśli przesuwających się w jej głowie ciężko i w dużych odstępach, jak z rzadka trącane kijem bile po stole bilardowym, zaczyna z innej beczki: – A zresztą, po co kogoś poznawać! Nie ma, kurwa, nie ma już prawdziwych mężczyzn! – zbiera jej się na staropanieńskie lamenty.

– No, prawdziwi mężczyźni to już chyba tylko na Discovery – kwituje Tamara, myśląc, jakie to szczęście, że już jakiś czas temu wycofała się z tego całego życia osobistego, położyła laskę na żalonych gorzkich godach.

Marcelina jest głucha na jej sarkazm, myśli tylko o swoim osobistym nieszczęściu:

– Jak przychodzisz na randkę, to się na przykład okazuje, że zapomnieli wypłacić pieniędzy z bankomatu. Żebyś im pożyczyła, oddadzą na następnym spotkaniu, które jest równie prawdopodobne, jak to, że w Ziemię zaraz jebnie meteoryt. Albo że zapraszają cię do siebie na kolację, ale musisz sama kupić składniki, bo piersi z kurczaka drogie. Od razu wiadomo, że to raz – sknera, dwa – kosmita, bo akurat drób jest najtańszym mięsem, nie to co wołowina! Nie żebym gotowała, ale kucharka mi chyba zbiera rachunki, co nie?! Albo że w domu mają kolekcję pluszowych misiów, które, jak cię informują z rozbijającym uśmiechem na twarzy, dostają od dziewcząt. Albo kolekcję sado-maso gówna i chcą cię rznąć na żyrandolu przebrani za Pana

Kleksa. Albo na pierwszej randce pytają cię, czy byłabyś skłonna ich utrzymywać, bo są właśnie w trakcie realizacji niezwykle ważnego *projektu*. Albo po dłuższej kontemplacji ich jamy ustnej dostrzegasz, że brak w niej kluczowego zęba. Albo umawiasz się niby z szychą, z prominentnym politykiem, i w restauracji okazuje się, że ten wiąże sobie chustkę pod brodą zamiast, jak nakazuje zwyczaj, ułożyć ją na kolanach, a jedzenie wycieka mu na nią z ust jak niemowlakowi! Albo po prostu, hit sezonu, koleś, co go widzisz pierwszy raz w życiu, pyta cię bezceremonialnie, czy może liczyć na to, że mu wyliziesz dupsko! Ja pierdołę! No i nie mówiąc o tym, że wszystko to jakieś takie spedalone, same pedaliska, kastraci. Wykastrowani przez własne matki. Nie umieją się ruchać i w ogóle stwarzają same problemy: a to nie mogą w gumie, bo im nie stanie, a to muszą kogoś z netu zaprosić do trójkąta, bo w dwójkę to nuda, a to ci stawiają ultimatum, że albo wydepilujesz cipkę w różowy półksiężyc, albo nici z imprezy. Boże, kiedy to się wszystko zaczęło?! Kiedy po ulicach zaczęło krążyć to tałatajstwo, to podszywające się pod mężczyzn pedalstwo? Pamiętam, kurwa, takie archaiczne zachowanie, jak wzięcie od dziewczyny numeru telefonu i zaproszenie jej na kolację – to było chyba gdzieś w okolicach Ery Wodnika! Teraz to wezmą – ale chyba od ciebie kasę na dragi, którymi cię nawet nie poczęstują! Kolacja? Najwyżej kreska spida w darkroomie. Powtarzam: spida! O koksie możesz zapomnieć, są na to za biedni! Czy ja wyglądam na zainteresowaną spidem?! No to pochlebia mi w takim razie, że mi dają szesnaście lat! Mówię ci, świat się kończy. Tobie się udaje coś jeszcze zaruchać? Ale wiesz, coś w miarę normalnego, bez psychiatrycznego rozpoznania?

– Ja piję – odpowiada Tamara. – To się nazywa sublimacja.

Marcelina patrzy raz na nią, raz przed siebie, wreszcie macha ręką i mówi:

– Dość tych pierdół, zrobmy kolejną kreskę, bo mi humor siada.

Tamarze nie trzeba dwa razy powtarzać.

– Tylko obawiam się, że to będą dwie ostatnie. – Marcelina z gracją wstaje z barowego stołka, wbija w podłogę swoje szpileczki od Jimmy'ego Choo, kupione podczas jednej z eskapad do Londynu, i idzie na dół, do toalety, torując drogę Tamarze, swojej wiernej świcie. Pod kibelem trochę się rozrzedziło. Dziewczyny wchodzą do niego po paru minutach oczekiwania, tymczasem dorabiają się nowych znajomych, dyskutują wesoło na tematy tekstylne, kto ma jakie szpileczki i skąd, jak doszło do zakupu sukienek i czemu, proszę omówić tegoż genezę, głaskają się po włosach wypielęgowanych drogimi kosmetykami; kokaina zwiększa chęć kontaktu fizycznego.

Aż wreszcie połykujące drzwi toalety zamykają się za dziewczynami. Marcelina otwiera



swoją zgrabną torebkę i wyjmuje z niej pakunek z białym proszkiem, który znów zapewni im ten prawie już zapomniany lot karuzelą w odległym wesołym miasteczku. Znowu ten sam łączący rytuał: karta do bankomatu, banknot. Dzielenie towaru, formowanie kresek.

Jednak Tamara nie chce, żeby ją coś łączyło z tą parodią człowieka imieniem Marcelina. Z drugiej strony myśli sobie, że niewiele więcej w tym życiu ma, jeśli o towarzystwo chodzi. Cały czas czekała na jakąś niespodziankę, na coś wielkiego i przełomowego, Gwiazdę Polarną, która zaświeci nad nią pewnego wieczora i wskaże drogę. Myślała, że jeśli jeszcze trochę poczeka, to w jej życiu zjawi się ten szaman o imieniu Wielka Odmiana Losu. Tymczasem nie działo się nic takiego, w ogóle niewiele się działo, czasem, owszem, psuła się pralka, a włosy zostały zafarbowane na zły kolor; z rzeczy wielkich i spektakularnych to głównie bankomat zzerający kartę lub za drogi alkohol w klubie.

– Byłaś na Ibizie? – pyta Marcelina i wciera kokainę w dziąsła. – Mewy normalnie nie do pokonania! Gorsze niż gołębie w Krakowie, srają, gdzie popadnie!

– Nie, nie byłam – mówi Tamara. – Chociaż Księga Guinnessa mówi, że to najbardziej imprezowe miejsce na świecie, więc może rzeczywiście powinnam. Ostatnie pięć procent mojej wątroby chciałoby dokonać żywota wraz z innymi organami nienadającymi się do przeszczepu.

– Ha, ha – śmieje się Marcelina, trochę nie rozumiejąc. – Wzięłaś już?

– Owszem. Ha, ha.

– To zdupcando.

I wchodzi ponownie tam, gdzie jest bar, dwie księżniczki ciemności na sztucznym zasilaniu. Tamara bierze Jacka Daniel'sa z colą, Marcelina nie schodzi poniżej Glenfiddich. Marcelina rozgląda się wkoło, wciąż ma nadzieję na jakąś ostatnią żyjącą legendę, na jakiś mariaż swoich organów płciowych z organami płciowymi osobnika przeciwnej płci, którego legendarność zasługiwałaby przynajmniej na wpis w Wikipedii. Bezskutecznie. Tamara natomiast wpatruje się w swojego drinka, chciałaby właśnie z nim zamienić słowo, jako że to jest jej najlepszy, najbardziej oddany przyjaciel od czasów licealnych. To był ten pokarm życia, który przez kilkanaście lat przyjmowała, i teraz złowrogie hasło „jesteś tym, co jesz” w niej właśnie się wypełniło: jest Jackiem Daniel'sem, Carlo Rossim, Jimem Beamem, zastępem mężczyzn o obco brzmiących imionach, którzy zrobili sobie z jej ciała miejsce stałych spotkań, najmodniejszy klub w mieście.

Przez chwilę cieszy się swoim odlotem, śmieje się sama do siebie jak pacjent zakładu

zamkniętego, bez powodu, bez przyczyny, mówi coś do kogoś, rozdaje wkoło swoje słowa w prezencie, hojnie, pełnymi garściami. Aż wreszcie nastrój się zmienia. Zamykają się nad nią czarne skrzydła skrzyni – znów wpada w to miejsce, do którego nikt nie ma dostępu. Działanie narkotyków mija, kokainowe samozadowolenie ustępuje miejsca alkoholowym myślom, jakby opuściła pełen śmiechu i zabawy tor dla gokartów i wjechała samotnie na ciemną autostradę.

Chciałaby być wszędzie tam, gdzie już jej nie ma od tak dawna, że wymówiono jej kartę stałego pobytu, wszystkie pieczętki się zdezaktualizowały, a wstęp jest tylko za okazaniem ważnej legitymacji. Chciałaby, żeby czas – suma rzeczy utraconych – jej nie dotyczył. Chciałaby wyjść z cienia. Ale nie umie, nie umie przewrócić tej ciężkiej kartki, którą sama zapisała, coraz wyraźniej czuje, że wypełnia się coś ciemnego i nieuchronnego. Ostatnie guziki, ostatnie elementy pompującej w nią życie aparatury zostają kolejno odłączane przez dłonie w czarnych rękawiczkach. Ktoś zabiera jej poślisk mapkę wyrwaną z dziecięcego podręcznika, to na niej dawno temu piórem na granatowy atrament zaznaczyła kierunek, w którym ma iść. Jeśli się dobrze wpatrzyć, jeśli się postarać, jeszcze widać ostatnie, cieniutkie jak żyłki strzałki. Jej strach się potęguje: „wydobądź, wydobądź mnie z mroku – szepcze – zdejmij z mojej twarzy to skórzaste, ciemne skrzydło, zapal mi latarkę”.

Piosenkarz śpiewa na temat korzyści płynących z uprawiania seksu analnego. Marcelina mówi: „klubik, jakiś klubik, jakiś dalszy koks”. Szklanka Jacka Daniel’sa, do której Tamara wznosiła swoje prośby, jest niewzruszona. Jest jak dzisiejsi doradcy duchowi, którzy chętnie dostarczają instrukcję obsługi życia, jednak za stosowną, niemałą opłatą. Wersja skrócona dostępna w promocji na mejla. Tamara wypija do dna swoją whisky, czuje się równie pusta, jak jej szklanka, równie wyzuta z uczuć. Mówi: „klubik, jasne, że klubik, jakiś dalszy koks”. Marcelina prezentuje uśmiech numer sześć, jej białe zęby błyszczą w mroku sali, złowroga reklama trutki. Wszystko jest jednostajne, nieznośnie znane, oklejone czarną, pozbawioną wzorów tapetą. Taksówka przyjeżdża na życzenie, w przeciwieństwie do dobrego nastroju Tamary. Koledzy, którzy akurat usiedli obok i mimo swojego braku legendarności chcieliby zmontować swoje genitalia z cudzymi, mówią: „zostańcie, ależ zostańcie”. Tamara i Marcelina mówią: „nie”, połączone wspólnym, narkomańskim sekretem.

I wtedy noc otwiera kolejne drzwi, światło układa się w złowrogi hologram na kantach krzeseł, ścianach, na ich twarzach. Pod lokal podjeżdża taksówka z zamówionej korporacji. Dziewczyny zbierają z baru swój dobytek, torebki, szminki, nielegalne substancje. Zostawiają

tam swoje DNA, ślinę na szklankach, nieopatrznie upuszczone włosy, czasem nawet tak zwane imponderabilia; jednak to, co jest oprawione w ich ciała, ich tak zwana kwintesencja wchodzi do taksówki, śmiejąca się, rozweselona, nieświadoma przyszłych zdarzeń. Złowrogie chmury dopiero wpełzają na niebo, woskowe zbroje są jeszcze w czyszczeniu. Życie jeszcze nie postawiło kropki nad i, choć owo i z całą pewnością zostało już napisane.

Nocne kluby. Z pewnej perspektywy wszystkie wyglądają tak samo. Obcy ludzie, muzyka, alkohol, narkotyki, światło stroboskopu samotnie wijące się na ścianie. Przedzieranie się przez gęstą tkanę nocy ma w sobie coś z hazardu – za każdym razem myślisz, że teraz się uda, teraz wygrasz coś w tej loterii zwanej życiem, koło ruletki zatrzyma się na tej jednej, najważniejszej twarzy, która odwzajemni spojrzenie, wierzysz w to za każdym razem, choć statystyki dają ci marne szanse.

Jeśli chodzi o bywanie w nocnych klubach, to Tamara była w tym weteranem. Często, chodząc do nich samotnie, czuła się, jakby wyjechała do obcego miasta, zresztą Warszawa właśnie tym dla niej była – obcym miastem, którego nie dało się oswoić. Być może to znak szczególny wszystkich metropolii – są jak dzikie, czarne psy, śpiące za dnia i atakujące nocą.

Noc – czas przeklętych, dziwek, złodziei, przestępców i strzyg. To była jej pora. Wychodziła po zmroku i szukała nocnych klubów, rozplątywała się w anonimowym tłumie, poznawała smutek darkroomów i gorączkowego seksu z ludźmi, których kształty mogła jedynie wyczuć dłonią, z ludźmi, którzy w tej ciemności pozbawieni byli nie tylko osobowości i imion, ale nawet twarzy. Czasem, czując na sobie ich dotyk, ich gorący oddech, czuła coś na kształt spokoju, może nawet szczęścia. Ale potem nastawał kolejny dzień i grał w niej już jedynie marsz pogrzebowy, epitafium dla niej samej, dla tych pięciu procent, które z niej zostały. Reszta należy do tego miasta, które ją przejęło, do ludzi, którzy zostawili na niej odciski palców, do przeszłości, która była jak sęp siedzący na próchniejącej, czarnej framudze okna.

Oczywiście czasem zdarzają się nieprzewidziane komplikacje. Takie jak wstęp za zaproszeniem. Można to poznać po tłumie kłębiącym się przed lokalem niczym stado krabów i po atmosferze ogólnej apokalipsy, jakby właśnie ogłoszono alarm bombowy, a klub był jedynym w okolicy schronem. Tak właśnie wygląda sytuacja przed drzwiami lokalu, do którego docierają Tamara i Marcelina, jeszcze wypełnione swoim paliwem, jeszcze roześmiane, ale już z powoli stygnącym wyrazem twarzy na widok rozgrywających się tu dantejskich scen.

Ochroniarz jest przyklejony do drzwi w rejtanowskiej pozie, dziki tłum napiera na niego ciężką falą, fundamenty budynku drżą w posadach, a tynk się sypie, brudząc wznoszoną obok, developerską inwestycję. Listopadowe powietrze rozgrzane jest od wibrujących telefonów

komórkowych („Znasz kogoś w środku?”, „Dasz radę nas wprowadzić?”, „Macie jakieś wolne wejściówki?”), paru pracowników klubowych pałuje niepokornych fragmentami zerwanego, złotego sznura, który blokował wejście. Czerwony dywan umieszczony pod stopami wchodzących przypomina płachtę potraktowaną rogami wyjątkowo agresywnego byka. Pogotowie zabiera parę trupów, jednych pewnie stratowano, drudzy przedawkowali jeszcze przed wejściem do klubu, nie wiadomo. Fotoreporterzy już zmierzają na miejsce tych zaskakujących wydarzeń, a tymczasem...

– Ja to załatwię – mówi Tamara. Nie na darmo traciła zdrowie i pieniądze, sunąc nocnym szlakiem. Wyjmuje telefon i gdzieś dzwoni. Kończy rozmowę. Po chwili dostaje esemesa. Odbiera go. Wykonuje drugi telefon. Odkłada słuchawkę.

Po dziesięciu minutach wydarza się to, co kultura judeochrześcijańska zna od czasów Chrystusa pod nazwą cudu. Drzwi klubu uchylają się, rozepchany, rozgoniony, porażony prądem tłum tworzy wąski przesmyk, jakby świetlisty tunel pośród potępionych dusz, a do dziewcząt macha ich *personal Jesus* trzymający w dłoni iPhone’a, może to zresztą blackberry, zachęca je do wejścia, prędko, nim te krwiożercze hordy przypuszczą nowe oblężenie na klubową fortecę.

– No, zbawienie – mówi z ulgą Marcelina.

Chodziło o to, że jest tu promocja. Albo wernisaż, finisaż, *performance*, *live act* – czy to nie wszystko jedno? Ubrane jak postaci z *Gwiezdnych wojen* hostessy roznoszą coś, co – jak z nieumiejętnie ukrywanym rozczarowaniem stwierdza Tamara – nie jest alkoholem. Jest to, jak się okazuje, ser żółty w wielkich kawałach, ociosany chyba siekierą z sera matki, leżącego, teraz widać to wyraźnie, na podwyższeniu, na białym obrusie, w królewskiej pozie. Niczym serowa królowa pszczół.

– Gdyby nie powiedzieli, że to ser, pomyślałabym, że wyrwane psu z gardła kawałki materaca – mówi Tamara. – Kto tam wie, co teraz modnie jest jeść!

Ale Marcelina jej nie słucha, już napycha się serem, ewidentnie zapomniała, że ma już w sobie dzisiejszy przydział kalorii. Wygląda na to, że trochę sera dostanie się dziś klubowej toalecie, gdy tylko dziewczynie wróci zdrowy rozsądek.

Poza tym w środku dość typowo. Tańczący wkoło ludzie przypominają ponurą instalację, ich kolorowe stroje i peruki są jak wykrzykniki pod aktem zgonu, a pierwsza wypatrzona w ciemności twarz wskazuje na bliską zażyłość z wysokoprocentowym alkoholem i kokainą. Muzyka dudni jak trąby jerychońskie, za deckami stoi parę osób, które w ciemnościach wciągają

kokę, a potem włączają z winyli nikomu nieznane piosenki, uznając to za najwyższą formę sztuki. Na suficie kręci się kolorowa kula, żalosne nawiązanie do imprez pod hasłem „gorączka sobotniej nocy” – niestety, kultura disco ma się do współczesnego clubbingu jak formacje zbieracko-łowcze do kapitalizmu. Zażyłość i bliskość zostały zastąpione przez indywidualizm i samotność. Tamara pamięta czas, kiedy klubowe imprezy w Polsce były novum, wszyscy tłoczyli się wtedy wokół didżeja jak wyznawcy wokół bóstwa; taniec i słuchanie muzyki rodziły silne więzi. Dziś nie zostało z tego nic – Tamara, wchodząc do klubu, nawet nie zwróciła uwagi na muzykę, wszystko, co ją interesowało, to to, czy jest już diler od koksu. Jeśli później, naćpana, tańczyła, był to taniec Rzymianina na gruzach dawnego imperium. Taniec na własnym pogrzebie, celebrowanie śmierci. Narracja romantyczna została rozmontowana przez smutek darkroomu, kontestacja polityczna zmieniła się w kontestowanie własnego istnienia, nowy dekadentyzm. Narkotykiem dominującym stała się kokaina – używka najbardziej izolująca, wpędzająca w złudne poczucie pewności siebie i wielkości, silnie hierarchizująca ze względu na cenę.

Marcelina i Tamara nerwowo rozglądają się po lokalu w poszukiwaniu diler. Przed kluczowymi zakupami Tamara postanawia dla ściemy kupić alkohol:

– Małe piwo – mówi, podchodząc do baru.

– Dwanaście złotych – odpowiada barmanka i kładzie przed nią małego lecha.

– Ile?! – Tamara zastanawia się, czy jej przeżarty alkoholem mózg coś przeoczył, jakąś kolosalną inflację albo *anschluss* Polski do krajów skandynawskich.

– Dwanaście. Złotych – mówi barmanka. Jej pokerowa twarz świadczy o braku poczucia humoru, o gotowości do negocjowania ceny nie wspominając.

– A woda ile?

– Piętnaście złotych.

– Co?! Woda jest droższa od piwa?!

– Ścisła zależność między popytem a ceną – mówi barmanka i dmucha wielkiego balona z gumy wprost w twarz Tamary.

– Jacka Daniel’sa, choćbym musiała zastawić zegarek. Którego, tak się składa, nie mam. Zastanawiała się pani kiedyś, ile stracili producenci zegarków na wprowadzeniu telefonów komórkowych? Bo ja sądzę, że sporo.

– Jacka Daniel’sa? – pyta barmanka. Uśmiech gości na jej twarzy chyba tylko 29 lutego.

– Poproszę.

- Dwadzieścia osiem złotych.
- I papierosy marki Marlboro Light.
- Dwadzieścia złotych.

Czy w tym lokalu realizują program o nazwie „Strać z nami wszystkie swoje pieniądze w trzy godziny”?! – zastanawia się Tamara. Rozgląda się wkoło. Marcelina już zagaduje jakiegoś mężczyznę, można mniemać, że za chwilę nie będą mogli opanować namiętności, na czym ucierpi klubowa toaleta.

Kiedy Tamara dostaje drinka, powodującego, że jej rachunek bankowy, który od dłuższego czasu przekazuje jej komunikaty czerwonym kolorem, jeszcze zaniża loty, podchodzi do niej Marcelina. Posilona serem, wpada w melancholijny nastrój:

- No sama nie wiem, sama nie wiem – jęczy.
- Ale że co? – pyta Tamara, bowiem głębia osobowości jej koleżanki trochę ją przerasta.
- No nie wiem... Mogłyby być jakieś akcje.
- Mogłyby być jakieś akcje! – prycha Tamara. – Doskonałe motto współczesności.
- Nie no, ale serio.
- Nie ma koks, nie ma akcji.
- Jeśli już o tym mowa...
- Wiem, wiem.

Tamara doskonale zdaje sobie sprawę ze swojego przeznaczenia. Wie, że na jej wątych barkach spoczywa cały ciężar nielegalnych transakcji. Całą odpowiedzialność wynikającą z działalności przestępczej musi wziąć na siebie. Rozgląda się wkoło z niepokojem. Choć nie jest w ciemną bitę, nie jest z pierwszej łapanki, to nie można też powiedzieć, że od razu wie, gdzie w tej sprawie uderzać. Do którego z tych trzęsących się w transie, rachitycznych drzewek wbijać z trudnym pytaniem.

- Zaraz, zaraz – mówi więc – żeby mi tu nie było jakiegoś dziadostwa.

Jej oczy działają teraz jak oczy sprytnego nocnego zwierzęcia. Przechodzi do etapu polowań. Namierza właściwą osobę. Czytała kiedyś o dziewczynce, która miała rentgena w oczach: patrzyła na kogoś i wiedziała, kto ma jaką chorobę, z jakich części składa się jego mechanizm wewnętrzny. Żałuje, że sama nie ma podobnych zdolności, prześwieciłaby zawartość kieszeni obecnych tu osób.

Ale wtedy przypomina sobie o swoim dzisiejszym osobistym zbawicielu. Wszak to do

niego powinna kierować wszelkie prośby u cuda, o pomnażanie dóbr. Wyciąga więc swój sprzęt komórkowy i pisze mu esemesa o treści: „Ej no bo wiesz, bo ten, może ktoś? Biała łąka?”.

I zaraz dostaje wskazówki, kto w tej tu powiatowej Kanie Galilejskiej jest odpowiedzialny za zamianę wody w wino.

Podchodzi do wskazanego proroka i mówi:

– Masz coś?

Ten milczy dłuższą chwilę, kiwa się w takt muzyki, szczęka chodzi mu nerwowo, jakby miała zamiar wypaść na podłogę i wybiec na zewnątrz z głośnym klekotem. Nie mówi nic.

– Jestem od Aleksa – dodaje Tamara.

– Co chcesz? – pyta. Ewidentnie to polecenie uruchomiło w nim dźwignię handlu.

– Koks.

– Dwie stowy gram – mówi. Szczęka dalej wykonuje harce, teraz już niemal poza jego twarzą.

– Dobra – mówi Tamara. Szpera w torebce, ale właśnie sobie przypomina, że jej obecna sytuacja finansowa nie do końca pozwala na taką rozrzutność. Może by tak zacząć od skromniejszego zakupu, od połówki? – Albo, albo... – jąka się. – Chciałam zmienić zamówienie.

– To nie jest McDonald – mówi koleś. Stroboskop wykonuje harce na jego twarzy, zmienia jej kolor z czerwonej na żółtą. Jego szurze rysy drgają nerwowo, naprawdę wygląda jak gryzoń. – To co w końcu? – rzuca.

– A robisz pół biletu? – pyta Tamara.

– A ty robisz laskę do połowy?! Zaraz mnie zapytasz, czy można płacić kartą! Bierzesz grama albo wypad z baru.

– Ale u kolegów tak się da załatwić...

– Co ty, jesteś na żetony? Nie rozumiesz po polsku? Cały gram albo nic.

Tamara zastanawia się nad następnym ruchem. I nie potrafi opracować żadnej strategii.

– Rany, nie bądź taki, na pewno jest jakaś opcja negocjacji! – mówi więc nerwowo.

– Której części sformułowania „nic z tego” nie zrozumiałaś? – Wyraz twarzy dilera zmienia się. Ten aparat nie ma opcji „negocjacje”.

Tamara niechętnie grzebie w kieszeni, wyjmuje kolejną stowę i wciska ją w spoconą dłoń szurzego dilera. Ten w zaciśniętej pięści przekazuje jej mały worek wypełniony białym proszkiem i znika w ciemnościach klubu.



– I co, i co, dobrze poszło? – emocjonuje się Marcelina. – Bo jakiś nerwowy ten diler.

– No wiem, ale wiesz, jak jest, niewdzięczna praca, nie mogą liczyć na emeryturę – mówi Tamara. I dodaje: – Dobrze, że w ogóle są na miejscu, wiesz, dilerzy to kurwy, którzy godzinami nie odbierają telefonów.

I rozgląda się po lokalu, robi tak zwany research, jak to człowiek rekonesansu. Nic nowego: ćpuni, pijaki, utracjusze. Tamara wsuwa się między nich jak podstępna bakteria i tańczy na środku sali, w nieznanym tłumie ocierającym się o nią jak dzikie trawy, jak wodorosty. Taniec na własnym pogrzebie, taniec depresyjnego klauna. Trwa to może minuty, a może godziny, czas płata wszystkim figle, skręca się niczym mokry kawałek ścierki w dłoniach sprawnej praczki i wypada z rąk, rozpryskując wkoło utracone minuty, zmarnowane sekundy.

Wtem jeden osobnik, który, jak można poznać po kolorze skóry, należy do rasy czarnej, pod pływa bliżej w tym stawie radioaktywnych rybek wyznających filozofię: „Nie należy bać się używek, one są dla ludzi” bądź takiej z przeciwnego obozu: „Chyba za dużo biorę, ale od jutra przestaję” i mówi do niej bezceremonialnie, przecząc zarazem słynnej maksymie, jakoby człowiek był człowiekowi wilkiem:

– Chcesz może kreskę?

Cóż może odrzec na taką propozycję? W ten mechanizm wmontowana jest jedna odpowiedź: TAK. Jakby TAK było nazwiskiem jedyne kandydata do najwyższego urzędu w Korei Północnej. „Tak” – nomen omen – odpowiada więc Tamara na to z gruntu proste pytanie, myśląc sobie: a co, dobry pomysł, zaoszczędzę swój towar – choć nie skończyła uczelni o profilu ekonomicznym, tym właśnie torem biegnie jej rozumowanie; być może winne temu są czasy finansowego kryzysu, zmuszające ludzi do zawstydzających, płytkich kombinacji.

I oto już stoją pod toaletą, ona i ten (bądźmy poprawni politycznie) Afroamerykanin, choć zważywszy na klarowność jego polszczyzny, jest to być może Afropolak. Zazdrość przebywającej gdzieś w czeluściach tego mordoru, niedopuszczonej do kokainowego koryta Marceliny jest wielka, wycieka z niej i spływa gęstą, zielonkawą, przypominającą krew kosmity breją pod same stopy Tamary, pod którymi poza nią znajdują się również: zużyte prezerwatywy, puste worki po towarze, przetrawione obiady z Dzikiego Ryżu i kolacje z Sushi One, odciski rozmaitych butów, rzuciki śliny, a przede wszystkim duże ilości niewidocznej gołym okiem, choć z całą pewnością obecnej, nieznośnej, opadłej z ludzi udręki, która nawet nie domaga się inwentaryzacji, jest tak doskonale przeliczona – jedna sztuka na jedną osobę.

Jakiś przewodnik duchowy powinien wreszcie zrobić z tym porządek.

– Gdzie kupiłeś koks? – pyta Tamara, kiedy tylko zamykają za sobą drzwi toalety. Doprawdy, rozmowy narkomanów nie grzeszą rozpiętością tematyczną. – Tutaj?

– Co ty, tu mają syf. – Murzyn rozpoczyna procedurę ubijania, wiadomo. I dodaje coś o tynku ściennym, sproszkowanej polopirynie, takich tam; zasób żartów na temat towaru również jest ograniczony.

Tamara nie potrafi ukryć miny zawiedzonego konsumenta, to zresztą typowe dla czasów, w których żyje. A więc znów dała się nabrać, zły diler, jednak jej dilerdar słabo działa. Dwieście złotych o kant dupy rozbić.

– To, kurwa, daj mi numer do swojego dilera, bo nie chcę się więcej wyfrajerować – mówi.

Koles przerywa procedurę ubijania, wyciąga swojego smartfona, coś tam naciska, grzebie i mówi:

– Pięćset pięć... – Tamara zapisuje. Murzyn dodaje: – Oskar. Napiszę mu zaraz esa, że będziesz się kontaktować. A be te wu, to jak masz na imię?

– Tamara – odpowiada Tamara.

Przymierze zostało zawiązane. I co więcej – ugruntowane szybko wciągnięta z deski klozetowej ściechą.

– Szcypie w nos – mówi Tamara

– Sama jesteś nos – mówi Murzyn.

– No poważka, szcypie w nos. Co ty myślisz, że ja jestem z harcerstwa, z pierwszej łapanki? To chyba nie koks.

– Gównu wiesz. Koks, koks.

– Koks nie szcypie w nos. Masz mnie za frajerkę?

– Nie, a ty masz mnie za frajera?

– A co?

– Chujów sto, chyba wiem, co kupiłem, nie?

– Ten twój Oskar to jakieś gównu.

– Sama jesteś gównu.

Przekomarzaliby się dłużej, gdyby nie fakt, że usłyszeli dobijanie się do drzwi. Na to ćpuńcze pomieszczenie w klubie jest mnóstwo amatorów, można rzec, że jest ich tylu, ilu na

Tamarę w przeszłości, zanim skończyła dwadzieścia siedem lat.

Wychodzą więc na zewnątrz, choć czasownik „wychodzić” nie oddaje sedna ich doświadczenia. Jest to raczej pływanie, rejs, współuczestnictwo w zdarzeniach, przeciwieństwo tak gnębiącego Tamarę poczucia odłączenia i alienacji.

– Gdzieś była?! – Jej dobry stan zostaje zmałowany poprzez zmasowany atak Marceliny, której obecność jawi się teraz Tamarze jako najlepszy żart tego wieczoru.

– W dupie – mówi Tamara. Chce jej się śmiać, chce jej się tańczyć, chce jej się wypełnić na „tak” wszystkie psychotesty z pytaniem: „Czy jesteś szczęśliwa?”. – Do dupy była pielgrzymka, piesza wycieczka, zamiast do Wieliczki – mówi, śmieje się, jest jej tak lekko, że zaraz chyba oderwie się od podłoża i poszybuję w górę zgrabnym szykiem, zleje się w jedno z kręcącą się na suficie kulą, rzuci na wszystkich spojrzeniem odgórnym, pozbawionym uprzedzeń, jednoczącym.

– Naćpałaś się – stwierdza Marcelina. Jej inteligencja jest dziś naprawdę wysoka. To jest właściwy dzień na testy w Mensie.

– Nie da się ukryć – mówi Tamara. – Co więcej, możesz zrobić to samo. – I wciska jej w łapę swój worek towaru, a co tam, jak się jest naćpanym, nie istnieją takie kategorie jak zazdrość finansowa, skąpstwo, oszczędność.

– Dziwko, ale ja chcę z tobą.

– Oto jak przekonać do siebie niezdecydowaną prostytutkę – mówi Tamara i śmieje się. Nie ma obecnie nóg, nie ma ciała. Jest pojazdem kosmicznym niepodlegającym grawitacji, jest tym rodzajem człowieka, o jaki walczą od lat wszyscy przewodnicy duchowi: pozbawionym złych uczuć, zjednoczonym z kosmosem, w pełni szczęśliwym i zrealizowanym. Jest swoim przyszłym, ostatecznym wcieleniem.

– No ale gdzie byłaś?! – krzyczy Marcelina. Jest zła, jest bardzo zła. Jej twarz jest wielką rysą, wielką dezaprobatą.

– Gdzie indziej – odpowiada Tamara i znów wybucha śmiechem. Zapomniała już, że życie może być takie zabawne. Dlaczego właściwie nie chciała kiedyś żyć?

– Kurwa, jesteś zrobiona jak sto pięćdziesiąt! Masz oczy większe niż moje domowe talerze z rodowej porcelany!

– Tak, to ja byłam wilkiem z *Czerwonego Kapturka*, to ja wszystkich zjadłam i chcę jeszcze jeść! – krzyczy Tamara, rzuca się na Marcelinę w ataku śmiechu, gryzie ją w ramię.

– Ty zwariowałaś, ciebie pojechało! – krzyczy Marcelina, wrywa swoje wypiełgnowane, wymasowane ramię. – Dawaj mi ten towar, ja, kurwa, nie zniosę tej psychozy w stanie trzeźwości! – I zaopatrzona w worek koksu, biegnie gdzieś na dół, do Hadesu, idzie zaprzedać duszę diabłu, czy raczej usłyszeć, że już za późno na te targi, Lucyfer przyjmuje tylko dusze czyste, które będzie mógł osobiście pomalować akwarelkami na czarno i złożyć na swej długowiecznej lokacie oszczędnościowej.

– Kocham te rozrywki wyższych sfer! – krzyczy za nią Tamara, jej śmiech toczy się po schodach równym taktem, wpada tamtej do gardła, dławi ją.

Tymczasem Tamara zaczyna tańczyć, choć przeszkadza jej co nieco uaktywniający się właśnie szczękoscisk. Ale co tam, i tak chciałaby tańczyć, bawić się, chciałaby teraz obwieścić światu, iż obejmuje go swoim joginicznym oddechem, jest wreszcie jego częścią, spełniły się jej gorączkowe modlitwy. I kiedy tak tańczy, a wszechświat przysiadła na jej pobladyłach policzkach i prosi o możliwość dłuższej z nią znajomości, ktoś znowu do niej podchodzi i mówi:

– Co tam?

– Super, cool, zajebicie! – odpowiada Tamara, tańczy, spogląda na swojego nowego kolegę, zabiera mu okulary słoneczne, zakłada sobie na nos, śmieje się. A ten mówi:

– Jest after na Tarchominie. – W mroku sali, przy dudniących odgłosach muzyki widać tylko jego usta, otwierające się i zamykające, przepastne. Tamarze wydaje się, że to Pac-Man, że oto znalazła się w środku komputerowej gry, przed nią stoi Pac-Man i klekocze szczęką, zaraz pożre ją, potem Marcelinę, następnie ten bar łącznie z kelnerami, didżejke wraz z didżejami, wszystkie toalety z ludźmi wypełnionymi kokainą, wypełnionymi obcymi genitaliami, srebrne lampy i złocenia, zdeptane dywany, wytarte sofy, szklane stoliki, wreszcie pożre swą bezkresną paszczą cały ten budynek i padnie niczym bazyliżek oślepiiony nie własnym odbiciem, ale nagłym, jasnym, porażającym, uzmysławiającym rozmiary osobistej nędzy światłem tego warszawskiego poranka.

– Co?! – krzyczy Tamara, śmieje się. Pac-Man jej się podoba, jest fajny, sympatyczny. Wygląda jak skrzyżowanie pekińczyka z pajakiem korsarzem – to znaczy jego twarz jest szczerą, pełną, wyposażoną w duże oczy, które niczym para dorodnych śliwek węgierek błyszczą zwycięsko wbite w koszyk twarzy, a czupurne uczesanie, jakby inspirowane ułożeniem włosów w domowej zmiotce, nadaje mu jeszcze bardziej charakter niesfornego, choć pocziwego psa. Tymczasem jego reszta przeczy całkiem twarzy, potwierdzając tezę o tym, iż człowiek to twór

wysoce skomplikowany. Otóż jego korpus i kończyny – tak górne, jak i dolne – są cienkie, długie, rachityczne, pajęcze. Wydaje się to wręcz nieprawdopodobne, by na tym utkanym z babiego lata ciele mógł nosić tę okazałą, ciężką dynię głowy, którą będzie straszył dzieci na Halloween, gdy tylko pomaluje ją farbami i założy fluorescencyjne soczewki.

– Jest after na Tarchominie! – krzyczy Pac-Man. Tym razem z jego rozwartej szczęki wydobywa się jakiś dźwięk. – Bo tu już końcówka! Jedziesz?!

– Jestem z koleżanką! – odkrzykuje Tamara. I jakby dopiero teraz uświadamia sobie ten fakt, rozgląda się wkoło w poszukiwaniu tamtej, która pojechała na wakacje do Hadesu. I oto jest, właśnie wyłania się z czeluści klubu, promieniująca charliem, doładowana białą damą. Płynie przez salę taneczną gładko, bezszelestnie, jak duch powstały w grobu.

– Spoko! To jedziemy razem! – krzyczy Pac-Man. Tymczasem Tamara macha do widma Marceliny.

I kiedy wszyscy są już zebrani w szeregu, a używki sprawiedliwie podzielone pomiędzy wszystkie kieszenie, wychodzą z lokalu, wystawiając się na dalsze działanie złośliwego przeznaczenia.

I wchodzą, wchodzą do jakiegoś mieszkania, niemożliwego do zlokalizowania na mapie, bowiem jechali tu długo jakąś taksówką, ciemnym miastem, które dopiero powoli zaczynało ujawniać swoje kształty, smukłe i ponure. Jest coś bardzo smutnego w tych wizytach w cudzych mieszkaniach w towarzystwie przypadkowych ludzi; jakby pustka do tej pory ukryta za kotarą, jak zawsze obecna na zakładzie, ale nieprzyjmująca nowych petentów, nagle uaktywniła się z całą mocą, zaczęła wszędzie przybijać swoje czarne, lepkie pieczętki, ale oczywiście wiedza ta dociera do człowieka dopiero następnego dnia, po srogim i bolesnym przebudzeniu z tego narkotykowego snu.

Tamara jest nastawiona pozytywnie, choć dziwi się – kiedy jej chwiejny i chybotliwy niczym zdezelowany stolik wzrok ustali wreszcie pewne fakty – że można tak mieszkać. Przy tym mieszkaniu stajnia Augiasza wydaje się bowiem wzorem porządku. Czego tu nie ma! Zmięte skrawki gazet i porzucone gdzie popadnie opakowania po chipsach, kebabach, pizzach dogorywają na wpół utopione w wypełnionych spleśniałą breją talerzach. W walających się wszędzie filizankach i szklankach o życie walczy fauna – muszki owocówki, mole spożywcze, rybiki i inne, bliżej niezidentyfikowane stworzenia – można to poznać po coraz to bardziej niemrawych ruchach odwłoków i skrzydeł. Co do ubrań, to mieszkanie wygląda, jakby ktoś zrobił napad na Czerwony Krzyż w godzinę po dostawie darów – spodnie, bluzy, koszule, podkoszulki i – co najgorsze – bielizna – walają się wszędzie, wiszą nawet na nocnej lampce i zalegają na kuchence gazowej. Z niektórych plam można by przy odrobinie wysiłku wyciągnąć wnioski na temat jadłospisu i intensywności życia erotycznego właściciela.

Sprzęty elektroniczne wypełniające dom – odtwarzacze wideo, drukarki, konsole, monitory i telewizory – wyglądają, jakby zakończyły swój żywot w okolicach ery Reagana, a jednak prężą się dumnie na wszystkich możliwych półkach i stolikach, od podłogi aż po sufit, prezentując światu swoje zdezelowane brzuchy, swoje zardzewiałe, elektroniczne kości, swoje wołające o pomstę do nieba rachityczne powłoki. Bardziej od nich samych żywy jest zaścielający je kurz i żerujące na nim drobnoustroje; pewnie gdyby użyć pilota, to od energii elektrycznej zapaliłoby się wyłącznie to tałatajstwo, cały sprzęt leżałby dalej bez oznak życia, jak zmarły pacjent na stole operacyjnym, którego mimo bezapelacyjnego faktu śmierci wciąż próbują

ratować nadgorliwi, młodzi, jeszcze potrafiący przejmować się faktem czyjegoś zgonu lekarze.

Wraz z umarłym w zeszłym stuleciu sprzętem elektronicznym półki zaściela korowód różności, wskazujący na to, iż właściciel mieszkania (kimkolwiek on jest, bowiem płaczą się tu różni ludzie, różnej wielkości i płci, różnego koloru skóry, posługujący się dziwną mieszanką obcych języków, koszar wieży Babel zyskuje tu dziś nowe, narkomańskie oblicze) jest zapalonym archiwistą. W jego zbiorach można znaleźć wszystko, od pamiętających zabory patriotycznych pamiątek, przez rozlatujące się ruskie matroszki, upstrzone zgniłym, wielkanocnym jajem zabytkowe numery „Świata Młodych” i klasery ze znaczkami, po kolekcję wyszperanych z okolicznych śmietników, imponujących w swym fetorze i rozkładzie damskich butów. Można powiedzieć, iż ważą się losy tych pamiętających poprzedni ustrój polityczny mebli ze sklejki przemysłowej – pod naporem tysiąca różności rozmaitej proveniencji przypominają one pospiesznie sklecony z byle jakiego materiału statek, który właśnie wpłynął na wyjątkowo niebezpieczną rafę i chyli się ku upadkowi, zgina swoje wielkie cielsko, bokiem zahaczając już o wzburzone morskie fale, którymi w tym wypadku jest po prostu szarobura, doszczętnie zdeptana wykładzina.

Choroba psychiczna zatacza w społeczeństwie coraz szersze kręgi – myśli Tamara – i przybiera coraz to inne oblicza. Ten dom to jedna wielka kompozycja własna! Gdyby Tamara nie wiedziała, iż druga wojna światowa już się odbyła, mogłaby pomyśleć, że odbywa się tutaj. I strzepując coś z ramienia, może larwę mola, może mszycę, może spadły na nią gdzieś z kredensu skrawek wezwania do stawienia się na rozprawę sądową, siada w tym fotelu, który wygląda na najlepiej zachowany, na obiciu posiada zaledwie odrobinę keczupu oraz coś fakturą przypominającego egzotyczny owoc, szerzej znany pod nazwą banana, tutaj jednak występujący w funkcji broni biologicznej.

Dobrze, że jestem solidnie znieczulona – myśli Tamara – bo tu musi jebać jak w zakładach przetwórstwa zwłok ludzkich. Po czym rozgląda się wkoło, by ustalić, z kim ma właściwie do czynienia.

Skład osób na tym afterze pokazuje, jak bardzo Polska jest w Unii Europejskiej: Polacy stanowią mniejszość, występują w osobach Tamary, Marceliny oraz reklamującego tę imprezę Pac-Mana, który, jak się okazuje, nosi imię Piotrek. Reszta składu to ludność napływowa, Polska okazuje się celem migracji na ogromną skalę: Murzyn ze Sri Lanki, kolorowy z Kolumbii, Arab z Kebab oraz dwie osoby płci żeńskiej rodem z Ukrainy, których wygląd sugeruje, że zarobkują

w sektorze usług seksualnych. Jedna ma na sobie parodię sukienki, czyli sięgającą do pasa rzecz barwy różowej, z dziurami. Trochę jakby była syreną pojmaną na plaży w Czarnobylu, ze wszystkimi minusami wynikającymi z miejsca zamieszkania, typu zła cera, niezdrowe włosy, kończyny złego rozmiaru, usta w miejscu rozporka, oczy pozbawione symetrii. Druga wygląda nieco lepiej – nosi bowiem szorty, które przynajmniej jej pośladki trzymają w ukryciu, natomiast już buty biją na głowę obuwie Sashy Grey, również wyraz twarzy wskazuje na solidne używanie życia od momentu wstąpienia do podstawówki.

– Jekaterina – mówi jedna, jakby chciała powiedzieć: jest wiele innych zastosowań ludzkiego nosa niż nudne oddychanie.

Po czym szybko podając rękę Tamarze, steruje swoją twarzą tak, by ta opadła w kierunku szklanego stolika, gdzie już czeka jej paliwo: metadron.

– Metadron? – pyta Tamara. – Nie ma koksu?

Stopień upojenia Tamary, który na pewno przewyższa dozwolony i w niektórych miejscach na ziemi, na przykład w Azji, wskazywany jest jako śmiertelny, powoduje, że ta nie rozumie wysokiego stopnia bezczelności swojej wypowiedzi, za którą w niektórych kręgach mogłaby dostać na wieczność towarzyskiego bana, a w tych bardziej nerwowych nawet kosę.

– A co, nie podchodzą ci kryształki? – pyta ten noszący imię Piotrek. Jego oczy wylażą z orbit, jakby chciały wybić się na niepodległość i samostanowić o dalszym swoim istnieniu bez udziału właściciela przyczepionej do nich głowy.

– No nie, no – Tamara jednak przeżywa coś na kształt zmieszania – po prostu nie lubię tego... Tego efektu. Ale spoko. Jak nie ma koko, to mef da radę.

– Od razu nie ma. Czasem trzeba poczekać na danie główne – mówi Piotrek, jego oczy zarzucają na chwilę gościnne występy poza twarzą, z czeluści swojej obszernej bluzy sportowej wyjmując worek z białą zawartością, lecz tym razem w proszku, nie w kryształach. Dla Tamary kokaina to najwyższy stopień wtajemniczenia narkotykowego, w świecie narkotyków jest ona tym, czym USA na scenie politycznej; drugie miejsce Tamara przyznaje haszowi – Chinom wśród narkotyków. To te dwa środki fundowały jej zawsze najbardziej satysfakcjonujące odloty, po innych rzygała, miała zgony i palpacje serca, a jej mizantropia wchodziła w bardziej zaawansowane stadium – a przecież do tego nie potrzeba żadnych narkotyków, to było jej naturalną, codzienną reakcją. Dlatego uważała, że do tych dwóch należy przyszłość, podobnie jak USA i Chiny zetną się gdzieś pośrodku mapy i stoczą apokaliptyczny bój o wpływy, dwa biblijne



giganty.

– Masz, wciągnij se – mówi Piotrek. – Chociaż taka jesteś nerwowa, że lepiej by ci zrobiła nospa! – i rechocząc, podaje jej zrolowany banknocik dwudziestozłotowy. Dwudziestozłotówka od razu sytuuje go niżej w drabinie społecznej, taka Marcelina nie wciąga przez nic poniżej stu złotych.

A skoro o niej mowa, to nie wiedzieć czemu wpada nagle w jakąś filantropię, w społeczny nastrój, jakby się naoglądała Kena Loacha. Mówi do dilerów:

– Mogłabym ci załatwić posadę w naszej firmie. Wyszędłbyś na prostą.

Nie podcinaj gałęzi, na której wszyscy siedzimy! – myśli gorączkowo Tamara.

– Ale ja mam robotę. Jestem muzykiem – mówi gość.

Czytaj: raz w tygodniu gram w tancbudzie pod piguły, a poza tym skręcam długopisy – myśli Tamara.

– Nie chcę mieć życia sformatowanego do ośmiu godzin pracy – rozwija temat kolega. – Cenię sobie swoją wolność. Wolę oglądać *Breaking Bad* i *Mad Men*, niż poddawać się regulaminom. Kapitalizm, indywidualizm – ten cały system chce nas wyruchać. Kariera to przereklamowana rzecz! – dodaje, wyciąga prawo jazdy i ubija nim nowe kreski towaru, dla tych imigrantów.

Może nie mają karty stałego pobytu, ale na pewno mają ochotę na koks. Tamara mimowolnie zauważa, że chłopak to rocznik dziewięć zero, co powoduje, że jej humor spada z dziewięciu do zera, czuje się tak stara, że gdyby poszła do muzeum, znalazłaby samą siebie wśród eksponatów sztuki paleolitu.

– Jesteś rocznik dziewięć zero? Dzizass, jestem tak stara, że chyba mam dług u samego Mojżesza – przypomina jej się jakiś idiotyczny greps z internetowego forum.

– Mojżesz? – pyta koleś. Jego słowa są jak wystrzały z karabinu: – W czym on robi, bo nie znam tej ksywy? Brałyście od niego koks? Możecie być pewne, że to był tynk, znam wszystkich od koks. Jest Wyspa, jest Sonia, jest Wywar, ale na pewno nie ma żadnego Mojżesza!

– On robi w trawie i spidzie – mówi Tamara i zastanawia się, czy gdyby wypowiedziała słowo „ambiwalencja”, to ten koleś wzięłby je za imię jakiejś urzędującej współcześnie królowej.

– A, to jakaś płotka. A tobie radzę nie zadłużać się u dilerów, wiesz, różnie bywa – raz jest człowiek, raz go nie ma, jednego dnia jest cały, drugiego głowa w Gdańsku, noga

w Zakopanem. Swoją drogą, dziwię się, że ci ktoś dał na kreskę. A o kreskach mówiąc – pokazuje na stół, gdzie już leżą w równiutkich rzędkach białe zaproszenia do raję. I pierwszy nachyla się nad stolikiem, ciągnie jedną, otrzepuje nos, schyla się po drugą.

– Och, ale tak dwie naraz?! – protestuje Marcelina.

– A co? Czytałaś ulotkę dołączoną do opakowania, że tak nie wolno? Czy poradziłaś się farmaceuty? – rechocze gość, chowa do kieszeni swoje prawo jazdy.

– No nie, tylko to niekoleżeńsko.

– Zgłoś spam i naruszenie zasad. – Chłopak zapala papierosa, na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. – A w ogóle to chyba częstuję swoim, nie? Bo nie widziałem, żebyście cokolwiek dziś posypały!

– Skończyło nam się na imprezie – żali się Marcelina.

– A, to tam w klubie kupiłyście? Pewnie od Soni. Ile dałyście?

– Dwie stówy gram – odpowiada Tamara. Nachyla się, bierze swoją dołę, po chwili to samo robi Marcelina. – Nie słyszałam, żeby licytowali taniej na Allegro.

– Ha, ha – śmieje się chłopak – ja ci mogę opchnąć po sto osiemdziesiąt. Chyba że chcesz zajebisty towar, osiemdziesiąt procent koksu, jak to ostatnio wzięłem, to myślałem, że się uduszę! Pięć stów, mogę zadzwonić po kolesia.

– Dzięki, może innym razem – odpowiada Tamara. Koks wbija w nią niczym długo oczekiwany gość na imprezę roku. Czuje się, jakby to ona była srebrną kulą kręcącą się na głowami roześmianego tłumu w sobotnią noc, czuje się jak delfin pływający w przejrzystej wodzie w radosne popołudnie.

– Byłaś z kimś kiedyś dłużej? – pyta Marcelina. Jej oczy są jak dwa wielkie halogeny, zdaje się, że gdyby wystawić ją na ciemną drogę, mogłaby dawać sygnały kierowcom.

– Cztery miesiące – odpowiada Tamara. Normalnie by nie odpowiedziała, ale narkotyki ją otwierają, wraz ze swoją przeszłością jest teraz jak towar wstawiony na straganie, wyprzeda wszystkim wkoło historii swego życia za symboliczną opłatą.

– Co tak krótko?

– A tyś ile była, pięć miesięcy? – kpi Tamara. Znając głębię osobowości Marceliny, podejrzewa, że najintymniejszy związek łączył ją z jej fizjoterapeutą albo specem od masażu shiatsu.

– O, przepraszam! – żywo protestuje Marcelina. – Byłam w związku przez cały rok,

rozważaliśmy zaręczyny! Tyle że on ruchnął moją koleżankę. Zresztą chuj mu w dupę, jego firma już bankrutowała, z dziadem nie będę! Do tego nie wiedział, które widelce są deserowe.

– Aha – mówi Tamara – dobre powody.

– No ale gadaj, gadaj, jak ty!

– Wspólne mieszkanie. Duży błąd. Nie wiem, jak ty, ale ja do dziś nie mogę się pogodzić z takim wynalazkiem jak trawienie i wydalanie. Można sobie ściemniać, że idę poprawiać makijaż, obracać w żart, że wychodzę na dwójeczkę, odkręcać na całą pytę kran, ale prawda jest taka, że właśnie sadsisz wielkie, przysadziste, wałące jak sto lat niemyty kloszard, brunatne gówno! Ale to nie wszystko! Ten mój koleś miał taką przypadłość, że robił to na maksa głośno! To, co się wtedy wydobywało z kibla, przypominało najbardziej wymyślne odgłosy tortur i jęki potępionych połączone z sykiem gazu z przebitej opony i przedzieraniem się lichej łodzi przez mlaskające, gęste błoto. Słowem – było epickie! Czasem odgłosy jego gówna przypominały pojedyncze salwy honorowe, czasem jednak skomasowany, bezlitosny ostrzał bronią artyleryjską. Czasem był to zwarty, cichy stukot dumnego z siebie stolca, czasem znów całe torpedy, potoki, oceany bardziej lub mniej gęstej brei płynącej nieprzerwanym strumieniem w dół mojego sedesu! Każdego ranka, w okolicach godziny ósmej, bowiem muszę ci powiedzieć, że wypróżnianie u niego nosiło znamiona wybitnej regularności, przeżywałam stres – czy i tym razem zostanę wystawiona na tę okrutną akustyczną próbę?! I nigdy nie zaznałam litości! Co rano, o ósmej, z mojej pięknej toalety dobywały się odgłosy tortur, a słysząc, jak coś rozbryzguje się o ściany WC niczym wulkaniczna lava, tryska na nie z impetem wodospadu, nietrudno mi było zrobić sobie wizualizację tego widowiska – innymi słowy, codziennie budził mnie obraz mokrego, epickiego gówna. Trudno mi było w tej sytuacji zachować szacunek do mojego chłopaka, szczególnie że wychodził z tego kibla jak gdyby nigdy nic, jakby mył tam rączki, co, nawiasem mówiąc, się nie zdarzało. Ale to nie koniec! Mówią, że nie istnieje zbrodnia doskonała, i to jest prawda! Za każdym, ale to za każdym, kurwa, razem, kiedy odwiedzałam toaletę, witały mnie w niej strzępy, zlepy, smugi i strzały jego gówna rozsiane po całym sedesie z ułańską fantazją! Nie mogłam tego zrozumieć, nie mogłam zrozumieć, jak cywilizowany człowiek może podchodzić do sprawy wypróżniania się z taką swobodą! No i po dwóch tygodniach mieszkania razem powiedziałam, że nie pasujemy do siebie, że muszę poszukać sobie kogoś innego, kogoś bez jelit, bez odbytu. Nie zrozumiał, o co mi chodzi, ale na szczęście się wyprowadził.

– Jesteś ostro zryta! – mówi Marcelina po chwili milczenia i wpatrywania się w Tamarę

z otwartą buzią. Jej śmiech przypomina przedśmiertne drgawki. – Jesteś ostro zryta! Respekt!

– I *vice versa* – odpowiada Tamara. I postanawia zrobić sobie wycieczkę po mieszkaniu w poszukiwaniu kibla.

Przedziera się więc przez sprytnie zastawione pułapki: pajęczyny, stosy gazet, fury ciuchów przeznaczonych na rozdawnictwo przebywającym w Polsce uchodźcom; czuje się jak bohater jakiejś gry zręcznościowej, zastanawia się, czy uda jej się wyjść z tego cało, czy straci może jedno życie, nim dotrze do kolejnego levelu.

Jednak się udaje: drzwi przed nią, których ze względu na zgromadzony na nich nawóz nie waży się dotykać gołą ręką, wyglądają na drzwi do toalety. Wchodzi. W kiblu jeden człowiek siedzi w wannie, słucha muzyki z komórki. Jego wyraz twarzy świadczy o najwyższym wtajemniczeniu. Tamara zastanawia się, kto tu częstował kwasem, bo jej się nie trafiło. Chce jej się sikać, ale wie, że na tego człowieka nie ma co nalegać, aby wyszedł i podarował jej odrobinę prywatności. Siada więc na sedesie i robi, co do niej należy. Meloman z wanny ani drgnie. Gorzej, że zapomniała zablokować drzwi – te właśnie się otwierają z impetem, do środka wpada Arab z Kebaba w towarzystwie jednej z Ukrainek.

– *Yo, sister!* – krzyczą. Arab podbiega do ustawionego na pralce proszku Dosia, wysypuje jego połowę na pralkę i krzyczy do Tamary: – Chcesz krechę?! Posypię ci! – I śmiejąc się szatańsko, śmiejąc się jak terrorysta dokonujący ataku na niewiernych, terrorysta zmierzający wprost w objęcia Allaha, formuje krechę proszku wielką jak jego ręka. – Wciągaj! – krzyczy. – Wciągaj!

Tamara myśli, że żarty narkomanów są równie słabe, jak te niemieckie. Powoli podnosi się z toalety, bezceremonialnie wciąga majtki i mówi:

– Wolałabym się zarazić kocią odmianą AIDS.

– No dobra, dobra, żartowałem – mówi chłopak. – Ale serio, mam dla nas coś ekstra. Superodlot w tabletkach. – I wyciąga z kieszeni jakieś pudełeczko, otwiera je, pokazuje dziewczynom trzy małe białe pigułki. – Tak w ogóle jestem Mohammed – mówi.

Oryginalne imię – myśli Tamara, milcząco podając dłoń temu wyznawcy Allaha, mierząc go bacznie wzrokiem i zastanawiając się, czy pod koszulką nie ma kamizelki samobójcy. I myśli, że to nie byłoby takie złe rozwiązanie – gdyby nagle przełączył zapalnik, gdyby oni wszyscy nagle wylecieli w powietrze, jak pierze z rozdartej poduszki, ich krwawe resztki wyfrunęłyby pod sufit, odcisnęły swoje piętno na tych brudnych ścianach i wreszcie opadły na podłogę zgrabnym

korowodem.

– Tania – mówi dziewczyna, podaje rękę Tamarze.

To wiem, ale jak ci na imię? – Tamarze przychodzi do głowy strasznie głupi dowcip, śmieje się więc sama do siebie i nic nie mówi, wciągnięte narkotyki usprawiedliwiają jej dobry nastrój. Tania wygląda jak Jekaterina, Tamara ledwo je rozróżnia, mogłyby tańczyć na murze w tym samym klubie.

Mohammed daje dziewczynom łyknąć swojego drinka, który, jak podejrzewa Tamara, składa się z dziewięćdziesięciu procent wódki i dziesięciu procent fanty. Być może nawet chłopak zaprawił czymś skradziony z apteczki spirytus. Następnie Mohammed sięga po tabletkę i unosi ją do już rozchylonych ust Tamary, kolejna jest dla Tani. Dziewczyny są w pełni przygotowane na tę świecką komunię. Z kościelnym majestatem odbierają z rąk Mohammeda to chemiczne, wytworzone w fabryce ciało, które nie zapewni im pewnie życia wiecznego, ale chwilowy pobyt w raju na pewno. Realny, pewny, namacalny. Narkotyki są spełnioną obietnicą. Czekać, aż rozwinie się w nich ten czerwony dywan wiodący do miejsca uciech, oddają się pogawędkom, śmiechom, picciu autorskiego drinka Mohammeda. Była już mowa o tym, iż Tamara jest amatorką produkcji pornograficznej, jednak zdecydowanie tej wyświetlanej na ekranie komputera. Ludzie z krwi i kości, w przeciwieństwie do tych z pikseli, wywołują w niej niechęć, potrzebę zawinięcia własnej cipki w nieprzezroczysty kawałek folii i wystawienia na aukcji z nadzieją, że przywłaszczy ją sobie jakaś nieszczęśniczka, której nie pomogła waginoplastyka ani kurczowe, wielogodzinne zaciskanie mięśnia Kegla i która podczas rozlicznych medytacji i kursów rozwoju duchowego własnych genitaliów modli się o wyraźniejszy, bardziej sprecyzowany ich kształt. A zresztą niechby przywłaszczył je sobie byle kto, Tamara nie jest małostkowa. I, owszem, woli piksele od ciała. Dziwi ją więc, że na widok tej międzynarodowej pary, która tuż przed jej oczami urządza teraz niezbyt wprawny *peep show*, ogarnia ją podniecenie. Oto Arab podciąga spódnicę swej nowej, ukraińskiej koleżance i zdejmuje jej symboliczne majtki – które przy odrobinie dobrych chęci dziewczyna mogłaby utkać sobie sama z dwóch czarnych niteczek – po czym funduje swojej dłoni małą przechadzkę po tym, co znalazł w środku. Następnie, inaugurując nowy etap arabskiej misji cywilizacyjnej, wyrusza na terytorium tej małej Amazonii, przedziera się przez te gąszcze, chaszczę po to, by rozpowszechnić tu swoją dobrą nowinę, zatknąć flagi i proporce. Dziewczyna reaguje zupełnie odmiennie niż plemiona podbijane – jej wyraz twarzy i pomruki świadczą o tym, iż całe życie

czekała na kolonizatora, na buta w twarz. Jest całoliniowo zachwycona, układa się w pozycjach umożliwiających penetrację jej najciemniejszych zakamarków. Arab tymczasem okazuje się osobą kulturalną, taką, co to podzieli się łupem ze stojącymi przy ognisku:

– Może się dołączysz? – pyta Tamarę.

Ta stoi przed nimi jak słup soli, wstyd się przyznać, że udzieliła jej się erotyczna atmosfera tej toalety, czuje pod sobą gęsty śluz, ale przecież nie podejdzie do nich, nie dotknie ich, inni ludzie są nietykalni jak obrazy mistrzów umieszczone w światowych muzeach za szklaną gablotą.

– Nie – mówi zduszonym głosem – ale nie przeszkadzajcie sobie.

Siada na toalecie i ogląda to dalej, voyeryzm był zawsze jej żywiołem, choć wydawało jej się, że działa tylko w odniesieniu do ludzi na ekranie monitora. Arab oplótł dziewczynę swoimi mackami, zaraz pewnie włoży w nią swój narząd kopulacyjny, zaraz odgryzie jej głowę. Tamara widzi, jak cały się napręży, manifestuje siłę, traci nad sobą panowanie – dokładnie takie same reakcje widziała na filmach przyrodniczych.

Kiedy na nią nie patrzą – choć właściwie w ogóle już na nią nie patrzą, całkowicie zajęci sobą, złączeni w jedno jak przedziwna, ohydna budowla – Tamara wsuwa sobie rękę w majtki i wbijając w nich wzrok, sama robi sobie dobrze, cicho, dyskretnie, higienicznie. Kiedy kończy, przyciska twarz do ściany, do brudnego ręcznika, i szczytuje perfekcyjnie bezgłośnie, z konwulsyjnie ściśniętą szczęką, jakby cierpiała na wyjątkowo perfidną odmianę choroby Heinego-Medina. A potem szybko wyciera dłoń, nerwowo wstaje i ucieka z łazienki, nie patrząc już na tamtych, zostawiając ich za sobą jak wyjątkowo nieprzyjemne wspomnienie.

I wtedy noc otwiera przed nią już prawie swój ostatni, czarny lufcik, pełen tak dobrze znanego, lepkiego bezkresu. Coś się z nią dzieje, coś niedobrego. To coś, co niedawno połknęła w łazience, ta mała tabletką, wydaje jej się nagle perfidnym, sinym nasieniem jakiejś tajemniczej rośliny, które teraz, po kilkuminutowym okresie adaptacji w jej własnym organizmie, naraz eksplodowało w niej, zakwitło z wielką siłą. Jego pazerne kłaczka posuwają się ciągle dalej, niszcząc jej własne komórki, jakby wewnątrz niej załagał się wielki, bezimienny pasożyt rozmnażający się w zastraszającym tempie. Ma wrażenie, że zaraz przebije jej skórę, wielkie, mięsne konary wyrosną jej zamiast rąk, a ogromne, drzące żyły korzeni przebiją jej stopy. To coś przytwierdza ją do podłoża, unieruchamia, zabija. Próbuje rozejrzeć się wkoło, ale nic nie widzi. Jakby wszystkie nocne rośliny naraz rozwinęły trujące pąki i teraz rozpościerał się przed nią

ciemny, obcy, matowy ogród. Wszędzie zakwitły czarne tulipany ze spalonego plastiku, ich swąd roznosi się po pokojach jak zasłona dymna. Owinięta nią Tamara nic nie widzi, traci grunt pod nogami.

– Marcelina – szepcze, ponieważ gardło nagle odmawia jej posłuszeństwa. – Marcelina. Marcelina. – Jakby to imię było jakimś zaklęciem, które ma ją przenieść w inny wymiar, w inny czas. Ale zaklęcie, jak to zaklęcie, nie zawsze działa. Tamara czuje, że zapada się w coś przypominającego wielką, obezwładniającą chmurę waty, wata wypełnia jej nozdrza, usta, uszy, powoduje, że dziewczyna się krztusi, nie może iść przed siebie, nie może wydać z siebie głosu ani oddychać, próbuje przez chwilę rozpaczliwie walczyć z niewidzialnym wrogiem, aż w końcu się poddaje, jak pogodzony z losem alpinista przecinający ostatnie więzy trzymające go w przedśmiertnym uścisku ze skałą, odpuszcza i szybuje gdzieś w dół, pozwalając, by ogarnęła ją tak dobrze znana, bezgraniczna ciemność.

– Zerznij ją – słyszy Tamara. A może jej się tylko wydaje, może jest teraz podwodnym robakiem, zawieszonym w nieprzebranej morskiej czerni. Dokładnie tak się czuje – jakby leżała gdzieś głęboko, pod taflą bezkresnego oceanu, a głosy nieznanego gatunku stworzeń dopływały do niej z powierzchni, z oddali, wykrzywione i zniekształcone, jak odbicia w gabinecie krzywych zwierciadeł. Nagle, przez chwilę, wydaje jej się, że ogląda *Asterixa* i widzi dwóch legionistów zmiażdżonych przez Galów, jeden mówi do drugiego z przekąsem: „Mówili: «Zaciągnij się, zwiedzisz egzotyczne kraje»”. Ale po chwili słyszy znów: – Zerznij ją, co ci szkodzi, chcesz, to ją sobie poruchaj, jest kompletnie zworowana.

I ktoś podnosi jej nogę, wydaje jej się to nawet zabawne, jej noga idzie w górę niczym zwodzony most, zupełnie samodzielnie, bez decyzji z jej strony. Czuje, że ktoś ściąga jej buty i rajstopy, kolejne części garderoby opadają na podłogę barwnym korowodem. Zastanawia się, o co chodzi, co się dzieje, gdzie jest, jak tu przyszła i z kim, kim są ci ludzie? Przypomina jej się pornos, którego kiedyś oglądała – jedna z tych wybitnych, wydepilowanych aktorek o kojarzących się z erekcją imionach (Sasha, Michelle, Tyra) udawała, że śpi, a jej równie utalentowany kolega z planu powoli pozbawiał ją odzieży, a później rznął i oczywiście spuszczał się na twarz, wyrywając wreszcie ze snu tę powiatową śpiącą królową. Tamarę to nawet podnieciło, jakoś tej sztuki zrobiła na niej wrażenie. Szczególnie podobała jej się ta swobodna w duchu, choć niezwykle błyskotliwa, postmodernistyczna trawestacja wątków obecnych w baśni Andersena.

Czyżby i ona grała teraz w filmie dla dorosłych? Czyżby, nie wiedząc o tym, przeszła słynne, polegające na stosunku seksualnym z prowadzącym, *audition* i została zakwalifikowana do dalszego etapu erotycznych zmagania? To możliwe, choć jeśli tak, to w głównej roli występuje tu wyłącznie jej ciężkie, obce ciało. Jej w nim nie ma, ona ma wrażenie, jakby ulotniła się z tej zlepionej z tkanek, cielesnej kopuły i lewitowała nad samą sobą, omiatała samą siebie pełnym współczucia spojrzeniem. Może zatem umarła – ponoć tak się często czują osoby martwe; przechodząc etap ezoteryczny, wiele razy czytała w „Nieznanym Świecie” o podobnych wyprawach w zaświaty, o pieszych wędrówkach po świetlistych tunelach. Zastanowiło ją przez chwilę, czy to możliwe, by podobnie miały zwierzęta; czy po zabiciu wyfruwają lekkie



i bezcielesne przez kominy rzeźni, omiatając wzrokiem swoje krwawe powłoki, niezdarnie oparte o całkiem dobrze teraz widoczne rusztowania z żeber.

Ale zaraz wraca do umownej rzeczywistości. Przy odrobinie wysiłku może coś nad sobą zauważyć – mianowicie to, że stoi nad nią dwóch mężczyzn, ten, który jak sobie nagle Tamara przypomina, ma na imię Piotrek, i ktoś inny. Niewiele widać w mroku pokoju, ich zamroczone użytkami twarze oświetla światło świec, palą się jakieś inne rzeczy, skręty, papierosy, neony, uliczne latarnie – ich pożółkła posoka bezszelestnie wpływa do pokoju przez niedokładnie zaciągnięte zasłony. Powietrze jest przesycone dymem, potem i gęstą magmą niezrozumiałych fragmentów rozmów. Jest w tym pewna nerwowość, atmosfera przypomina tę tuż przed ładowaniem nielegalnych imigrantów w szczelnie zakryte przed ludzkim wzrokiem zakątki statków. Całość nosi znamiona jakiegoś spisku, dwóch grabarzy nad kradzionymi zwłokami, dopiero co wygrzebanymi z ziemi, albo dwóch lekarzy nad konającym pacjentem, z którego pragną zedrzeć skórę, by sprzedać ją wytwórcom luksusowych mebli.

Tamara czuje się jak wielki, zraniony i powalony na ziemię orzeł, jego skrzydła rozpostarte w dwie strony, tamci bezkarnie wrywają z niego pióra, zabierają je na pamiątkę, zatykają za swoje skórzane paski. Chce coś powiedzieć, ale jest ptakiem, zwierzęciem, jest innego gatunku niż oni, nie ma głosu. To, co wydobywa się z jej ust, to skrzek, coraz bardziej pozbawiony siły, milknący. Rezygnuje więc i podczas gdy oni dysponują jej ciałem wedle własnego uznania, rozkładają je na niewidzialnych talerzach i wbijają w nie widelce, ona przypomina sobie parę chwil z odległej młodości – jedyne go czasu, kiedy odczuwała coś na kształt szczęścia. Jakiś moment, kiedy stała z innymi na balkonie, całą śmiejącą się gromadą, oni, ich dym z papierosów i noc wkładająca ciepłe ręce pod ich ubrania. Kiedy była z dziewczynami w wesołym miasteczku, żeby – jak żartowały – zapoznać chłopców z Junior High, którzy postawią im watę cukrową, i ach, jak się zawiodły, że ich tam nie ma, ale co tam, i tak kupa śmiechu, lecą w górę na karuzeli i cały świat traci kontur, jak w najlepszym śnie, rzeczywistość zmienia klubowe barwy, podstawy wszystkiego runęły, nie pamiętasz o bólu, śmierci ani dobrym wychowaniu, tylko krzyczysz głośno w rozszalałe powietrze, dokumenty wypadają ci z kieszeni, masz wrażenie, że sam sobie mógłbyś wypaść z kieszeni i się zgubić, ktoś mógłby cię zestrzelić na strzelnicy, mógłbyś zostać nowym różowym prezentem dla dziewczyny albo strachem w gabinecie strachu, przesuwać zimnymi, gumowymi dłońmi po plecach innych i rechotać z powodu ich nedorzecznego przerażenia. Była tam, były tam razem, leciały wysoko nad

miastem i śmiały się ze swoich dowcipów, lekkie jak pestki wiśni, którymi kiedyś spluwały przed siebie, były wtedy dziećmi i bawiły się w ogrodzie, tak małe i niepozorne, tak niewinne, że aż nieważkie, i teraz, w tej chwili, kiedy tak lecą nad miastem, na tej karuzeli, to wszystko powraca, wraz z bolesnym odkryciem, że musiał przyjść dzień, kiedy wyrwały się z rąk zatroskanych rodziców i spadły w otchłań, żeby już zawsze tylko spadać, spadać i spadać, jak gromada małych, ołowianych żołnierzyków wypuszczona z rąk nieostrożnego dziecka, które znudziło się zabawą w wojnę.

Jej sukienka jest już na brudnym dywanie, jej twarz zasłonięta jest włosami, jak słomianą pokrywą, by ona, ta ciepłolubna roślina, mogła przetrwać zimę. Jeden z chłopaków odpina spodnie, paląc papierosa, drugi stoi nad nim i coś mówi, śmieje się, ciężkie powietrze i obce słowa, obce języki, jakby wyrwane z gardła i powiewające na wietrze, krwawe proporce. Ktoś inny mówi: „Dałyby dupy za grama, za grama koksu wylizałyby cię do białej kości, zżarłyby cię jak mrówki ścierwo”. A potem, że takie coś fajnie by było zobaczyć na YouTube, spektakl stargetowany pod dużą widownię. Ktoś zmienia winyla, muzyka atakuje ze zdwojoną siłą jak wojska zasilone nowym plutonem, ktoś rozsuwa jej nogi i po chwili rozgrzewki wchodzi w jej nieprzytomne ciało. Co tu dużo mówić, imprezowa zasada „po piątej rano nic dobrego się nie zdarzy” jest prawdziwa.

Och, gdyby Tamara mogła się teraz zobaczyć – posiada obecnie urodę bałwanka rozplywającego się wniwecz wraz z nadejściem wiosny; gdyby przejrzała się teraz w iPodzie, nie byłaby zadowolona. Na całe szczęście oddający się za pośrednictwem jej ciała uciechom cielesnym mężczyzna nie patrzy jej w twarz, wzrok skierował gdzieś w bok, w dół, na brudny dywan, na którym, jak spostrzega z zainteresowaniem, kontynuując w Tamarze posuwiste ruchy, leży jeszcze jeden worek z czymś białym i nęcącym. A więc musieliśmy coś przeoczyć! Rozbudza to w nim nowe pokłady entuzjazmu, dotychczasowe rozbudziło to, co – można rzec: w sensie dosłownym – obecnie zgłębia. Przyspiesza więc. Gdyby Tamara była bardziej świadoma, gdyby nie posiadała obecnie samowiedzy na poziomie patroszonej ryby, mogłaby poczuć na swoim pokrytym resztką makijażu policzku ten obcy oddech, ciepły i wilgotny, ale przesycony czymś brudnym i ostatecznym, zapachem ze szpitalnego korytarza, z oddziału dla beznadziejnych przypadków. Ktoś przechodzi obok, znowu jakieś słowa, jakieś gesty, cmentarniano-rzeźny dyskurs; zapala się światło, potem gaśnie – w przeciwieństwie do zapachu chłopaka tkwiącego w Tamarze swoim cennym fragmentem ciała. W tę przestrzeń rozmaitych

odgłosów, jęków, pomrukiwań, szumów, trzasków i ciągów włącza się kobiecy głos. Choć wydaje się to mało prawdopodobne, zwłoki Tamary rozpoznają w nim skrzeczący głos Marceliny. Mówi ona coś w rodzaju: „O, ruchacie się, potrzytać ją? Bo się trochę kręci. Myślałam, że ma gorsze cycki”. Powietrze wypełnia się czymś śmiechem, syczącym jak gaz z przebitego balonu. Tamara sama nie wie, czy to, co teraz myśli, to są jej rzeczywiste, realne myśli, czy może tylko wspomnienie pośmiertne o niej samej, o jej tak perfekcyjnie zmarnowanym, choć przecież krótkim życiu. Przypomina sobie, że Max kiedyś radził jej, by napisała autobiografię pod tytułem *Tamara Mortus. Jak przyjemnie zmarnować sobie życie* albo *Tamara Mortus. Od dziewicy do burdelmamy*, które to tytuły po jej wyznaniach dotyczących atrofii seksu w jej życiu polecił zmienić na *Tamara Mortus. Od umiaru do Monaru*.

Mimo wszystko zaczyna jednak odczuwać coś na kształt żalu. Jakkolwiek głupio by to nie brzmiało, chciałaby teraz w wysłużonej kieszeni starego płaszcza znaleźć poźółkłą książeczkę do nabożeństwa, wyjąć ją i móc znowu wierzyć we wszystkie zapisane tam wyblakłe słowa. Chciałaby czytać ją na głos w tym pierwszym jesiennym słońcu z takim zapalem i żarliwą wiarą, z jaką robiła to, gdy miała siedem lat.

Mała retrospekcja chyli swoje mgliste skrzydełka i obraz znika, jednak ziarno zostało zasiane, bowiem po chwili w jej zmęczonym, goniącym resztką sił umyśle pojawia się to skompromitowane słowo „Bóg”. Myśli sobie: Bóg. Albo może nie ona to myśli, bowiem jej możliwości myślenia są obecnie ograniczone, może więc to po prostu *jest myślane*. Że Bóg musi być tym upragnionym gościem na imprezie roku, na którego przybycie wszyscy czekają, omiatając tęsknym wzrokiem drzwi. Mija północ, pierwsza, druga godzina, a drzwi są niewzruszone jak kamień nagrobny. Jak to – myślą wszyscy zgromadzeni, po korytarzach rozlega się szmer rozczarowania – jak to? Wysłaliśmy zaproszenie, określiliśmy *dress code*, nawet poszliśmy mu na rękę, zezwalając na możliwość pojawienia się topless w prześcieradłach, a on potwierdził przybycie drogą mejlową. Obiecywał, że tym razem na pewno wpadnie, tym razem już na pewno znajdzie chwilkę w swym napiętym terminarzu.

I przypomina sobie, że był taki gość, seryjny morderca, co z podejrzanego gardła swojej ofiary zrobił pochwę, wyruchał to gardło. Myśli: o co w tym wszystkim chodzi? Będzie, mówią, koniec świata, Sąd Ostateczny i zjadą się te boskie delegatury ze swoimi zastępami, pieczętkami i co orzekną? Przyjdą, zrobią rozpoznanie w terenie, zasznurowują usta, zaciągną złowrogo brwi, zaczną wbijać w swoje papiery tajemne wyroki, swoje sądy, orzeczenia. Raj musi być odroczone,

prosimy o wstrzeźliwość, bowiem mamy różne w tym względzie nowe pomysły, rozpoznania. Proszę się nie dziwić, szybko uporalibyśmy się, gdyby w grę wchodziło sto, dwieście lat, jednak kilka tysięcy musi spędzić nam sen z powiek, nie wiedzieliśmy, że jest tu aż taka sytuacja, przyznajemy, że nasi urzędnicy często brali L4, jednak kto mógł przypuszczać. Nie wiedzieliśmy, nie myśleliśmy o tym, myśli się tylko na wybrane tematy, to jest niemożliwe, żeby myśleć o wszystkim, o całym świecie, przerastają nas rozmiary tego wszystkiego, nasze moce przerobowe są zbyt małe. I zaraz znowu myśli o tym mordercy, który miał seksualne upodobanie do ludzkich gardeł; dlaczego nie, jest wiele różnych części ciała, jest wiele różnych dla nich zastosowań; tymczasem sama jest ruchana, na szczęście nie w gardło, widocznie czuwają nad nią zastępy aniołów i wszystkich świętych. Choć nie bardzo wie, co się dzieje, myśli sobie, że może w związku z tym później się zadłuży i na Allegro kupi sobie aureolę, z pewnością jest taka oferta, ponieważ nie ma takiej oferty, której by nie było; muzyka dudni wkoło, dudniłaby w jej uszach, gdyby Tamara nie była teraz głucha na wszystko, gdyby nie była głucha jak – nie może się powstrzymać – ten, co olał imprezę, co ma zawsze sto wymówek – a to że nie przyszło zaproszenie, a to, że zmienił mejla – nie знаła go od tej strony, co innego słyszała o tym panu na różnych katechezach, lekcjach religii; przecież lubił wino, lubił te magiczne hocki- -klocki, raz jest mąka, raz amfetamina; co innego mówiono, gdy jako dziecko w koronkową od śniegu noc szła na roraty. Wtedy, gdy sama świeciła sobie w ciemnościach własnoręcznie zrobionym lampionem, nie przeczuwała, jak dobrze to oddaje sedno sprawy, jaka to trafna metafora.

I kiedy wyobraża sobie dawną siebie podczas tej wyprawy – drobny, czarny punkcik na bezkresnych, śniegowych drogach, rozświetlonych tym wątłym, wciąż gasnącym, trzymającym się resztką sił płomieniem – ma ochotę wyszeptać: Mamo, mamusiu.

Każdy seks trwający powyżej dwudziestu minut jest nudny, nawet na trzeźwo, kolega stosuje się do tej znanej zasady, zatem po tym standardowym czasie przejażdżki na ciele Tamary dotuje je jeszcze lepкими, białymi środkami i opuszcza pojazd. Światło świeczek wije się nerwowo po ścianach, transowa muzyka zagłusza ostatnie jęki i pomruki kolegi, jeszcze przez chwilę łączy ich zastygła między udami strużka kleistych wydzielin, potem już nic. Nieprzytomne ciało Tamary zostaje samo, porzucone na podłodze, jak zwłoki żołnierza poległego w jakiejś bitwie toczonyj w odległym kraju, którego nie sposób odnaleźć na mapie.

To już koniec, w jakimś sensie to koniec, choć nie ma jeszcze napisów końcowych, a przygrywająca nam tutaj melodia nie jest muzyką wieńczącą dzieło ani marszem

pogrzebowym; jest to dalej to samo psychodeliczne, narkomańskie granie, taki rodzaj muzyki, w którym co drugi takt mówi: mógłbyś nie istnieć, jesteś tylko szarym powidokiem na znikającej, być może nieistniejącej mapie świata.

I tyle. To, co odpowiadało za wzbijający się kurz, wirujący w powietrzu jak ponury dyrygent tych wydarzeń, to, co odpowiadało za nagłośnienie, za ruchy odwłoków i skrzydeł niemal niewidzialnych, krążących wokoło, czarnych owadów, powoli zamiera, ustaje w tańcu, snop światła pada na zgromadzoną wokoło widownię, teraz nieruchomą, zastygłą w tym nagłym, oślepiającym blasku, purpurowa kurtyna opada.

Dusze potępione – czy to możliwe, by smażyły się nieprzerwanie? Czy ktoś posiada tyle węgla do grilla? Jest to wątpliwe, nawet jeśli tym kimś miałby być Pan Szatan i zastępy jego pomocników. W każdym razie Tamara budzi się i nie czuje pod sobą języków ognia. Nie czuje pod sobą nic prócz twardej, nieznamomej posadzki. Nie czuje na sobie też ubrań od pasa w dół – kiedy zerka na siebie, widzi, że jest w tych rejonach pozbawiona okrycia wierzchniego, jej cipka gra główną rolę w tym niebiletowanym monodramie. Wstęp wolny, spektakl od osiemnastu lat. Jakże smętnie wygląda ta cipka, towarzysza jej udreki, pozbawiona ochrony w postaci włosów, nagi, wystawiony na zaczepki, zawstydzony owoc morza. Między udami Tamara zauważa zaschniętą strużkę krwi i inne lepkie podarki. Poza tym jest brudna, jest cała brudna, jej ciało znów daleko do świętości. Status świątyni nie zostanie mu przyznany również w tym roku, co najwyżej status toi toia.

Tamara budzi się na zgliszczach. To, co widzi wkoło, jest jak krajobraz po bitwie. Kapsle od butelek tarzają się w rozpuszczeniu obok pustych worków po prochach, brudne buty pozbawione właścicieli zastygły przyłapanie na pielgrzymce donikąd, sterta ubrań wznosi się do nieba w ostatecznym geście, opakowania po chipsach proszą o azyl polityczny.

Żarty żartami, ale poranki na kacu w obcych mieszkaniach nie należą do przyjemnych. Stężenie pustki osiąga apogeum. Wczorajsze harce pod wpływem alkoholu i kokainy wydają się teraz czarną serią dokumentu, do zgłoszenia na wszystkie festiwale filmowe sponsorowane przez Monar.

Tamara, ta męczennica pańska, próbuje teraz wstać z brudnej posadzki. Cóż, dalekie to od słynnego powstania Feniksa z popiołów, co najwyżej mamy tu do czynienia z jego tańszą wersją telewizyjną: oskubany kurczak powstaje z paprochów.

Pół siedząc, pół stojąc, zdejmując magmę z oczu, zdzierając z twarzy to, co do niej nie należy, wszystkie narośle, naloty, obce ciała, rozgląda się wkoło, dokładniej. Dwie ukraińskie kurwy leżą pokotem w bliskiej odległości, jak szlachta ścięta miodem pobranym z piwniczki. Ich usta są otwarte i bezwstydnie łapią powietrze, za które nawet nie zapłaciły. Poza tym Tamara nikogo więcej nie widzi w tym pomieszczeniu, w każdym razie żadnego *homo sapiens*, gdyż ilość poległej tu przyrody ożywionej jest na pewno znaczna. Powoli, powoli zbiera swoje członki

– jest to trudne jak zbiórka zwłok z pola bitwy – chce poszukać innych pomieszczeń, których rozkładu ani liczby za cholerę nie pamięta: jednoosobowa inspekcja do spraw życia i śmierci na terytorium tego mieszkania.

W pierwszym pokoju, do którego wchodzi, zniszczenia są porównywalne do wywołanych przez pierwszą wojnę światową. Leży tam ten ze Sri Lanki, z którym nie miała głębszej przyjemności. Nie ma w związku z nim żadnych odczuć, idzie dalej. W pokoju następnym, któremu Sanepid na pewno nie przedłużyłby licencji, w łóżku – jeśli łóżkiem można nazwać to naprędce zaimprovizowane legowisko z dwóch rzuconych niedbale na środek pomieszczenia kurtek – leży ktoś inny płci męskiej. Nie może sobie przypomnieć jego imienia, choć szpera uparcie w pamięci, przerzuca wszystkie zalegające w niej wspomnienia, strzępki listów miłosnych, programów telewizyjnych, urywki ważnych i nieważnych zdań, sny. W każdym razie ten ktoś wygląda jak ZSRR w końcu lat osiemdziesiątych – twór, który zaraz spektakularnie upadnie, rozpadnie się z hukiem i nikt go nie będzie żałował. Najmniej, oczywiście, policja kryminalna – wydział narkotykowy. Rozwarte na oścież usta łapią powietrze, twarz wygląda jak twarz człowieka w początkowym stadium rozwoju, oczy chłopaka, to słynne lustro duszy, są zamknięte, Tamara jest przekonana, iż Mensa nie miałyby tu wiele do roboty. Nie tylko papiery potwierdzające inteligencję raczej nie zostałyby tu wydane, podobny los mógłby spotkać nawet kwit pieczętujący fakt bycia człowiekiem. Jeśli nasz kolega mógłby coś otrzymać, to raczej zaświadczenie o swojej przynależności do świata meduz czy innych jamochłonów żywiących się substancjami psychoaktywnymi. Widząc go, Tamara wzdryga się z obrzydzenia.

Wkrótce porzuca jednak tego rodzaju myśli. Oto bowiem na łóżku stuprocentowym, którego prawdziwość potwierdzona jest przez pochodzenie ze słynnej, monopolizującej rynek fabryki mebli o nazwie Ikea, śpi ona. Marcelina. Królowa HR-u, księżniczka jednonocnych wrzutów, abonentka najlepszych spa w mieście. Leży w łóżku niczym skóra dzikiego zwierzęcia, niedbale przerzucona przez posłanie, jakby przygotowana do sesji w magazynie „Harper’s Bazaar”. Jej jasne włosy tworzą otulinę na upstrzonej nie wiadomo czym pościeli, pokrytej mchem miasta, kryjącej tajemnice wszystkich innych ludzi, którzy jej dotykali i w niej leżeli, przeżywali tu historie swego życia, swoje upadki, być może tu nawet umarli, powierzając swoje ciało tej zużytej kołdrze. Leży na plecach, jedna ręka rzucona w jedną stronę w wiernopoddającym geście, druga złożona blisko piersi, ściśnięta w pięść, manifest oporu. Aż się prosi, by w takiej formie wstawić ją do muzeum sztuki współczesnej jako żywą instalację

współczesnego, kobiecego rozdarcia – między Matką Polką a Lisbeth Salander.

Tamara patrzy na jej twarz: nie jest to twarz, w którą chcieliby patrzeć dziś petenci składający rozliczne podania o pracę. Raczej mogłaby ich odstraszyć jej ponadprogramowa derma wezbrana pod oczami w formie dwóch półwyspów oraz makijaż, z którego zostało tyle, ile misji w telewizji publicznej – jakieś dziesięć procent. Mogłaby ich też odstraszyć woń ciągnąca się leniwą strużką od ust w górę, wabik dla much i innych gustujących w gównie insektów. Nie wiadomo, co wczoraj przeszło przez jej usta, jakie bakterie i pierwotniaki zrobiły sobie w nich pływalnię ani dla jakich części ciała obcych osób były one garażem. Natomiast na pewno się działo. Jest to więcej niż pewne, zważywszy na stopień zużycia tej osoby.

Leży tu i leży, podczas gdy w odległym spa już sprawdzają listę obecności, czytają „Górska” znudzonym tonem, to jest w końcu ta osoba, która ma sto procent frekwencji, podbite wszystkie karty, aktualne wszystkie zniżki. Jakież zdziwienie ogarnia przybyłych na tę nagłą ciszę, która zapada po wyczytaniu jej nazwiska. Coś jak bomba zrzucona na Hiroszimę – było miasto i już gonie ma.

A potem Tamara patrzy na jej ręce i wszystko jej się przypomina. Wszystko, co najstraszniejsze, wyświeśla się w jej głowie jak w kinie, w którym grają filmy *gore* dla rozbawionej widowni, w którym na życzenie i za odpowiednią opłatą puszczają *snuff movies*. A zrobiono je właśnie tutaj. Wczoraj kręcono tu ostre kino dla dorosłych z nią samą w roli głównej, w roli aktorki porno z kategorii *amateur*. „Akcja naszego filmu osadzona jest w byłej Jugosławii, fabuła obejmuje zbiorowy gwałt na jednej z tamtejszych kobiet, mianowicie tobie; ty jesteś obsadzona w tej roli, która, nie da się ukryć, jest dzisiaj rolą główną. Co ważne, to weryzm całej sytuacji, więc wyskakuj z ciuchów, a my cię tu trochę potraturujemy, porysujemy węglem oraz zgwałcimy, celem nagrania. Bilet do Hollywood przyślemy ci później”.

I przypomina sobie powoli inne rzeczy, wspomnienia wychylają nieśmiało główki ze śluzu powlekającego jej niesprawną świadomość. Przypomina sobie, że te ręce, które teraz spoczywają na brudnej pościeli, niedbałe i milczące, wczoraj oplatały się wokół jej szyi, trzymały ją w węzowym uścisku, pozwalając, by męskie ciało brało ją w posiadanie, by na niej wypalało niewidzialny znak, jak na bydle. Ten głos, który teraz ukrywa się, przyczajony w głębi jej strun głosowych, zdradliwy i chytry, jak źle wytresowane zwierzę, wczoraj wydawał komendy zachęcające tamtego do robienia użytku z jej ciała.

I nagle Tamarze się wydaje, że to wszystko, w czym uczestniczyła do tej pory, to był jakiś



pakt złodziejski. Nieuchwytny, pozbawiony imienia złodziej od dawna zakradał się na jej podwórko, plądrował, co się dało, i znikał pod osłoną nocy. Widziała go wiele razy, można powiedzieć, że nawet go tolerowała, tak jak słabszy do pewnego czasu toleruje grabież silniejszych, siłą przyzwyczajenia czy też z bezsilności. Żyli w niepisanej symbiozie. Ale wczorajszej nocy ten złodziej przekroczył granicę. Jeżeli jeszcze miała coś swojego, było to jej ciało – jedyne, co mają zwierzęta. I to właśnie zostało jej ukradzione. Jej ciało zostało potraktowane jak ciała zwierząt – stało się produktem spożywczym o wysokim stopniu atrakcyjności, zostało więc skonsumowane. Stało się ciałem, z którego jedli wszyscy. Mimo że zostało stworzone po to, by nosić w sobie ją samą, było, rzecz można, ostatnią parą wysłużonych butów, w których mogła przetrwać zimę, to nosiło na swych wątych ramionach raczej całe miasto, było chlebem powszednim dla ludzi bez twarzy, którzy wyżerali ostatnie okruchy tej wieczerzy złożonej z niej samej.

Widzi teraz wyraźnie, że jest świat ludzi i świat robaków, a ona należy do tego drugiego. Zatem nie obowiązuje jej żadne człowieczeństwo, jego prawa nie obejmują podziemnego terytorium ślepych larw drążących w ciemności i z wielkim trudem swoje korytarze w wiecznie osuwającej się ziemi. Nie jest częścią tego wszystkiego, co buduje domy z dala od dzikich zwierząt, straszy je swoimi ogniskami, oddaje strzały ostrzegawcze z przygotowanych na noc strzelb.

Od dawna pękały nici łączące ją z gromadą, aż wreszcie została wykluczona na wszystkich możliwych poziomach. Przegrała na każdym z możliwych pól rywalizacji: zawodowym, finansowym, seksualnym i uczuciowym. Jej życie od dłuższego czasu można określić wyłącznie jednym słowem: upokorzenie.

Widzi siebie jako wadliwą komórkę rozwijającego się organizmu na tle zdrowej reszty, której przedstawicielką jest choćby Marcelina. Patrzy na nią, a płynąca w niej krew zastyga w czerwony lód. Czerwone kostki lodu, którymi miałaby ochotę rzucać w tę dziewczynę; te kostki są prawie jak to mięso, które zostało z niej wyrwane.

Czuje, że była tylko przynętą dla jakiejś miażdżącej siły, która każdego dnia zapędza się głębiej w las, na polowanie, spuszcza psy gończe ze smyczy, krzyząc: „bierz” i pokazując ją palcem. Codziennie od nowa wpadała we wnyki, zastawione tak sprytnie, by można było się z nich uwolnić i ciągnąć za sobą coraz bardziej poszarpane kończyny. Niewzruszone tryby sterujących wszystkim mechanizmów kręciły się codziennie od nowa, poczynając od gwizdka

sygnalizującego początek rozgrywek, i wkręcały ją w siebie jak w imadło, aż wreszcie jakaś stalowa część została dociśnięta ze wszystkich sił.

Silniejsze jednostki zjadają te słabsze, tak to jest w przyrodzie. Przyroda objęta słynnym miłosierdziem miała działać inaczej, ale projekt zakończył się niepowodzeniem. Pozostaje siła upokorzenia, siła pogardzanego bezwładu. Ci, którzy posiadają buty, zapominają o podłożu, tymczasem gdzie władza, tam i opór.

Tamara – ten mim o martwym spojrzeniu – podchodzi do Marceliny. Bierze w swoje trzęsące się dłonie szarą z brudu, wymiętą poduszkę. Patrzy w tę twarz, a rosnąca w niej przez lata nienawiść cumuje w niej ostatecznie i zarzuca kotwicę. I przykładła poduszkę do twarzy Marceliny. Siada na niej okrakiem, dławi jej nagły protest, dławi te rozpaczliwe ruchy, nagle przebudzone do istnienia ciało, napiera na nie całą swoją siłą, przygniata do podłoża, krępuje ręce, osłabione jeszcze wczorajszymi posunięciami, przygniata coraz silniej i silniej, nie pozwalając tamtej wydać najcichszego odgłosu, siedzi na niej uparcie i wytrwale, nie myśli o niczym, skupiona jest na swojej nienawiści i na zadaniu, które ma do wykonania. I po chwili opór ustaje, kanty wygładzają się, po buncie przychodzi spokój, nowa jakość. Ma pod sobą ciche, niewzruszone siedzenie zrobione z trupa. Siedzi tak jeszcze jakiś czas.

Poranek wpełza do pokoju, siada na jej twarzy. Nagły strumyk jasności, który niczego nie oświetli. Nie ma nic poza zawsze obecną ciemnością. Wszyscy wkoło śpią. Tamarze przypomina się dziecięca piosenka: „Chodzi lisek koło drogi...” Dlaczego kiedyś nie rozumiała grozy tych słów? „Nie ma ręki ani nogi” – kiedy w końcu uświadomiła sobie, co śpiewa, odebrała lekcję ciemności dla początkujących.

Pusta jasność uderza ją w twarz, powoduje, że musi zamknąć oczy. Przypomina sobie obrazek sprzed lat – jest dzieckiem i spędza lato z rodzicami gdzieś daleko poza miastem. Leniwie brzęczące muchy szybują wokół rozstawionych w ogrodzie, rozgrzanych latarni. Wszystkie siedziby nocnych zwierząt są oddalone od ich domu o miliardy lat świetlnych, tu mogą istnieć tylko oni oraz szwadrony sierpniowych owadów.

A potem wstaje. Sama jest równie nieżywa, co tamta. To zombie ma taką przewagę nad tamtym, że umie chodzić, idzie na trzęsących się nogach do wyjścia, a raczej – próbuje namierzyć wyjście. Jest. Są jakieś drzwi wyjściowe, jakaś klamka.

Naciska ją mocno. Jarzeniówka zawieszona na klatce schodowej świeci jej prosto w zmęczoną, beznamietną, martwą twarz. Idzie, stawia kolejne kroki. Powoli zmierza do wyjścia.

Świat dalej toczy się pod swoją nazwą. Niektórzy wciąż żyją, inni, tak się składa, już nie, a wreszcie są ci, których status w tej sprawie jest wątpliwy – to ci, którzy budują swoje podziemne tunele gdzieś między życiem a śmiercią, w mokrych liściach, wśród splątanych korzeni, i choć od dawna idą w kierunku do życia przeciwnym, wciąż zdarza się, że oświeśla ich jasne, niedostępne słońce.